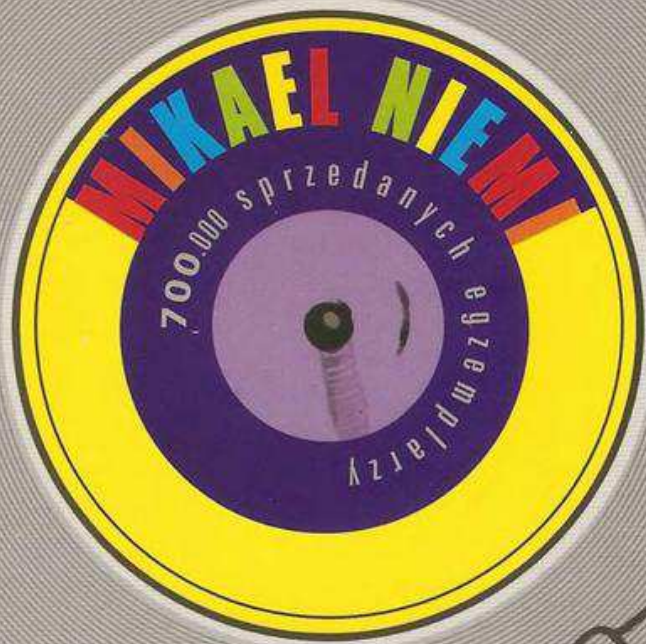


Muzyka pop z Vittuli

Biblioteka



Muzyka pop z Vittuli! Muzyka pop z Vittuli! Muzyka pop z Vittuli! Muzyka pop z Vittuli! Muzyka pop z Vittuli!



MIKAEL NIEMI

Muzyka pop z Vittuli

przełożyła Monika Banach



Wydawnictwo Czarne
Wydawnictwo Jacek Santorski & Co

PROLOG

Narrator budzi się, rozpoczyna swoją wspinaczkę i robi z siebie pośmiewisko na przełęczy Thorong La, po czym może rozpocząć się to opowiadanie

Noc w ciasnym, drewnianym pomieszczeniu była paskudnie zimna. Gdy mój podróżny budzik zaczął piszczeć, zerwałem się gwałtownie, rozsznurowałem niewielki otwór na głowę w śpiworze i wystawiłem rękę w mroźną ciemność. Moje palce posuwały się po omacku wzdłuż szczelin w nieheblowanej podłodze, między drzazgami i ziarenkami piasku, aż dotarły do zimnego plastiku budzika i znalazły wyłącznik.

Przez chwilę leżałem bez ruchu, na pół zdrętwiały, kurczowo uczepony belki, z jedną ręką zwisającą w otchłań. Cisza. Ziąb. Krótkie oddechy w rozrzedzonym powietrzu. W ciele fizyczny ból, jakbym całą noc leżał, napinając mięśnie.

Właśnie wtedy, dokładnie w tamtej chwili, uzmysłowiłem sobie, że nie żyję.

To trudne do opisanie wrażenie. Tak jakby ciało opustoszało. Stałem się kamieniem, nieskończenie wielkim, zimnym i burym meteorytem. A zanurzone, gdzieś w pustej przestrzeni wnętrza, leżało coś obcego, coś podłużnego i miękkiego, organicznego. Zwłoki mężczyzny. Nie należały do mnie. Byłem z kamienia, otaczałem tylko stygnącą postać jak ogromny, szczelnie zamknięty sarkofag z granitu.

Wszystko to trwało dwie, najwyżej trzy sekundy.

Zapałem latarkę. Budzik pokazywał same zera. Przez upiorne mgnienie oka miałem wrażenie, że czas się zatrzymał, że dłużej już nie da się go mierzyć. Później zrozumiałem, że sam wyzerowałem budzik, gdy szukałem po omacku wyłącznika. Zegarek na ręce wskazywał dwadzieścia po czwartej rano. Wokół otworu w śpiworze zauważyłem cienką warstwę szronu. Było poniżej zera, chociaż znajdowałem się w zamkniętym pomieszczeniu. Zmusiłem się do wysiłku i kompletnie ubrany wypełzłem ze śpiwora. Wsunąłem stopy w lodowatozimne traperki. Z niemiłym uczuciem zapakowałem do plecaka mój pusty notes. Dzisiaj też nic. Żadnego szkicu, żadnej, nawet najmniejszej notatki.

Odhaczyłem drzwi i wyszedłem w noc. Rozgwieżdżone niebo otwarło swą nieskończoność. Sierp księżyca podskakiwał nad horyzontem jak łódka na wodzie. Spiczaste zarysy sylwetek ze wszystkich stron wzmagały odczucie ogromu Himalajów. Światło gwiazd było tak intensywne, że zalewało ziemię prysznicem ostrych białych promieni z gigantycznego durszlaka. Z trudem założyłem plecak. Ten niewielki wysiłek wystarczył, abym zaczął ciężko oddychać. Z braku tlenu wszędzie przed oczami migotały plamki. Suchy kaszel spowodowany wysokością, 4 400 metrów nad poziomem morza drażnił gardło. Przede mną majaczyła ścieżka, która pięła się stromo po kamienistym zboczu i zniknęła gdzieś w ciemnościach. Powoli, powoli zacząłem wspinaczkę.

Przełęcz Thorong La, masyw Annapurny, Nepal. Wysokość: 5 415 metrów. Dałem radę. Nareszcie jestem na górze! Ulga jest tak ogromna, że rzucam się na plecy i ciężko dyszę. Nogi bolą od zakwasów, głowa pulsuje w pierwszym stadium choroby wysokościowej. Światło dnia migocze niepokojąco. Nagły podmuch wiatru ostrzega o pogarszaniu się pogody. Mróz szczypie

w policzki, widzę, jak garstka turystów pospiesznie zakłada plecaki i zaczyna zejście do Muktinath.

Zostaję sam. Nie jestem w stanie zmusić się do zejścia, jeszcze nie teraz. Wciąż zdyszany podnoszę się do pozycji siedzącej. Opieram się o wyznaczającą najwyższy punkt stertę kamieni z furkoczającymi tybetańskimi proporczykami modlitewnymi. Przełęcz jest kamienista, jałowy zwirowy nasyp bez jakiegokolwiek roślinności. Po obu stronach piętrzą się szczyty, czarne, surowe ściany z oślepiająco białymi lodowcami.

Pierwsze płatki śniegu pędzone wiatrem uderzają o kurtkę. Niedobrze. Jeśli śnieg zasypie ścieżkę, będzie niebezpiecznie. Zerkam za siebie, ale nie widzę już nikogo. Muszę się pospieszyć ze schodzeniem.

Ale jeszcze nie teraz. To najwyższy punkt, w którym kiedykolwiek się znalazłem. Muszę się najpierw pożegnać. Komuś podziękować. Pchany impulsem, padam na kolana przy najwyższym kamieniu. Czuję się trochę śmiesznie, jeszcze raz się rozglądam i upewniam, że jestem sam. Szybko się schylam jak muzułmanin, zadzierając tyłek w górę, padam na twarz i mamrocze modlitwę dziękczynną. Dostrzegam żelazną tablicę z tybetańskimi literami, napis, którego nie mogę rozszyfrować, ale czuję, że promieniuje powagą i duchowością, więc pochylam się jeszcze niżej i całuję tekst.

W tym momencie pamięć się otwiera, przepastna rozpadlina sięga w głąb dzieciństwa. Tunel w czasie, przez który ktoś ostrzegawczo krzyczy. Ale jest już za późno.

Uwięzłem.

Moje wilgotne wargi przymarzły do tybetańskiej tablicy. A kiedy usiłuję się uwolnić za pomocą języka, przymarza nawet on.

Każde dziecko w Norrlandii musiało kiedyś tego doświadczyć. W jakiś mroźny zimowy dzień poręcz mostu, słup latarni, oszroniony kawałek żelaza. Przypominam sobie bardzo wyraźnie. Mam pięć lat i przymarzam do zamka w drzwiach na ganek w Pajali. Na początku niesłychane zdumienie. Zamek, którego można bez ryzyka dotknąć w rękawiczce albo nawet gołym palcem. I nagle: szatańska pułapka. Próbuję krzyczeć, ale to trudne, gdy ma się przyklejony język. Wymachuję rękami, próbuję go oderwać siłą, ale poddaję się z bólu. Mróz powoduje, że język drętwieje, usta napęlnia smak krwi.

Z rozpaczy i desperacji kopię drzwi i jęczę:

– Eeehhh, eeehhh...

Wtedy przychodzi mama. Wylewa na drzwi miskę ciepłej wody i wargi odrywają się. Kawałki skóry pozostają na żelazie, a ja przyrzekam sobie, że nigdy więcej czegoś takiego nie powtórzę.

– Eeehhh, eeehhh mamrocze, podczas gdy śnieg zacina coraz mocniej. Nikt mnie nie słyszy. Jeśli ktokolwiek jest jeszcze w drodze na górę, z pewnością wkrótce zawróci. Mój zadek sterczy w niebo i marznie. Wiatr nie obchodzi się z nim łagodnie. Usta powoli tracą czucie. Ściągam rękawice i próbuję ogrzać tablicę dłońmi, równocześnie chuchając. Bez skutku. Żelazo pochłania ciepło pozostając wciąż tak samo zimne. Próbuję unieść, oderwać tablicę. Przytwierdzona na amen, ani drgnie. Oblewa mnie zimny pot. Wiatr znajduje sobie drogę pod podszewkę kurtki. Trzęsę się z zimna. Nadciągają niskie chmury, otulają przełęcz mgłą. Niebezpiecznie. Cholernie niebezpiecznie. Strach się potęguje. Umrę tu. Przymarznięty do tablicy na pewno nie przetrwam nocy.

Jest jeszcze jedna szansa. Muszę oderwać wargi siłą.

Na samą myśl robi mi się niedobrze. Ale muszę. Szarpnię ostrożnie na próbę. Ból przeszywa mnie aż po nasadę języka. Raz...dwa... i...

Czerwień. Krew. I ból, który sprawia, że uderzam czołem w tablicę. Nie da rady. Wargi są przyklejone tak mocno jak poprzednio. Jeśli szarpnąłbym mocniej, zostałbym bez twarzy.

Nóż. Gdybym przynajmniej miał nóż. Próbuję dosięgnąć stopą plecaka, ale ten leży kilka metrów dalej. Strach ściska mi żołądek. Czuję, że za chwilę się posikam. Rozpinam rozporek i przygotowuję się do sikania na czworaka, zupełnie jak krowa.

I w tym momencie powstrzymuję się. Chwytam kubek przymocowany do paska. Napelniam go i wylewam zawartość na swoje usta. Ścieka po wargach. Odmarzają. Po kilku sekundach uwalniam się.

Wysikałem sobie wolność. Podnoszę się. Moja chwila modlitwy się skończyła. Język i wargi są zdrętwiałe i poranione. Ale znów nimi poruszam. W końcu mogę zacząć opowiadać.

ROZDZIAŁ 1

W którym Pajala, wkracza w nowoczesność, pojawia się muzyka, a dwaj mali chłopcy wyruszają w świat bez bagażu

Był początek lat sześćdziesiątych, gdy wyasfaltowano naszą ulicę w Pajali. Miałem wtedy pięć lat, usłyszałem łoskot, gdy się zbliżali. Przed naszym domem przepełzła kolumna pojazdów przypominających czołgi. Zaczęli rozkopywać pełną wybojów żwirową drogę. Działo się to na początku lata. Faceci w kombinezonach chodzili po okolicy, szeroko rozstawiając nogi, pluli przeżuwanym tytoniem, wymachiwali łomami i mruclili pod nosem po fińsku, podczas gdy gospodynie domowe zerkały zza firanek. Dla smarkaczy było to niesamowite wydarzenie. Wisiałem uczepiony płotu, zerkałem przez szparę między sztachetami i wdychałem spaliny opancerzonych potworów. Wkrótce zaczęły siekać krętą wiejską drogę, jakby była starą padliną. Droga z ubitej gliny z niezliczoną ilością dołków, zwykle wypełniających się wodą po deszczu, jak ospowate plecy, w czasie odwilży miękła niczym masło, posypywana w lecie solą jak kotlety, by mniej się kurzyło. Droga gruntowa była przeżytkiem. Należała do minionych czasów, czasów, kiedy przyszli na świat nasi rodzice, czasów, które chcieli definitywnie zostawić za sobą.

Ludzie nazywali naszą ulicę Vittulajänkkä, co w tłumaczeniu oznacza Cipowe Błota. Pochodzenie tej nazwy nie jest jasne.

Prawdopodobnie wzięła się z faktu, że rodzi się tu tak dużo dzieci. W wielu obejściach jest ich pięcioro, czasem nawet więcej, nazwa jest więc swego rodzaju prymitywnym wyrazem uznania dla płodności tutejszych kobiet. Vittulajänkkä, albo w skrócie Vittula, była zamieszkała przez ubogich chłopów, którzy dorastali w chudych latach trzydziestych. Dzięki ciężkiej pracy i dobrej koniunkturze dorobili się i stać ich było, aby wziąć kredyt na willę. Szwecja kwitła, gospodarka się rozwijała, nawet Tornedalen, kraina daleko na północy Szwecji, dała się opanować gorączce dążenia do sukcesu. Postęp nadszedł tak niespodziewanie szybko, że ludzie nadal czuli się biedni, mimo że już się wzbogacili. Od czasu do czasu powracał niepokój, że zabiorą im to wszystko. Gospodynie domowe za swymi własnoręcznie uszytymi firankami z trwogą myślały, że jest tak dobrze. Miały dla siebie i potomstwa całą willę. Stać je było na kupienie porządnych ubrań, dzieci nie musiały już chodzić w połatanych i cerowanych. Był nawet samochód. A teraz miała zniknąć gruntowa droga, miała zostać ukoronowana smoliście czarnym asfaltem. Biedę miała przykryć czarna skórzana kurtka. Tak kładziono przyszłość, gładką jak policzek. Tędy miały jeździć dzieciaki na swoich nowych rowerach ku dobrobytowi i wyższemu inżynierskiemu wykształceniu.

Cieżarówki wyły i ryczały. Wywrotki wysypywały żwir. Napędzane parą stalowe walce utwardzały nasypy tak niewiarygodnym ciężarem, że chciałem to wypróbować, wtykając pod nie moją pięcioletnią stopę. Rzucałem pod walec duże kamienie i uciekałem, a potem, gdy już przejechał, chciałem je odnaleźć, ale po kamieniach nie zostawało ani śladu. Znikały w iście magiczny sposób. To było i straszne, i fascynujące. Kładłem rękę na wyrównanej powierzchni. Wydawała się dziwnie zimna. Jakim sposobem kanciasty żwir mógł stać się gładki jak prześcieradło? Podrzuciłem też kiedyś widelec z kuchni, a potem plastikową łopatkę, one

również znikły bez śladu. Nawet dzisiaj nie jestem pewien, czy naprawdę leżą gdzieś tam w nasypie drogi. A może jednak rozpląły się w jakiś magiczny sposób?

Było to wtedy, gdy moja starsza siostra kupiła swój pierwszy w życiu adapter. Wkradłem się do jej pokoju, gdy była w szkole. Stał na biurku cud techniki z czarnego plastiku, błyszcząca skrzynka z przezroczystą pokrywą, która skrywała dziwne przyciski i pokrętła. Wokół niego wałały się papiloty, szminki i aerozole. Wszystko nowoczesne, luksus, oznaka naszego bogactwa i obietnica rozrzutnej przyszłości w dobrobycie. W lakierowanej szkatułce leżały stopy fotosów gwiazd filmowych i biletów do kina. Moja siostra zbierała je miała już całkiem spory plik z kina Wilhelmssona. Po drugiej stronie biletu notowała tytuł filmu, nazwiska aktorów i ocenę.

Na plastikowym stojaku przypominającym suszarkę do naczyń umieściła swój jedyny singiel. Musiałem przysiąc na wszystkie świętości, że nigdy nawet na niego nie chuchnę. Teraz chwyciłem go drżącymi palcami, pogłodziłem błyszcząca okładkę, na której jakiś młody przystojniaczek grał na gitarze. Miał czarny lok zwisający na czoło. Uśmiechał się i patrzył mi w oczy. Delikatnie i uważnie wyjąłem czarną winylową płytę. Ostrożnie otworzyłem pokrywę. Kładąc płytę na talerz adaptera, usiłowałem sobie przypomnieć, jak to robiła siostra. Wpasowałem specjalny krążek w duży otwór singla. Pocąc się ze zdenerwowania, włączyłem zasilanie.

Talerz poruszył się i zaczął wirować. To było zupełnie niesamowite. Zdusiłem w sobie chęć ucieczki. Niezdarnymi chłopięcymi palcami ująłem węzowate ramię. Czarną główkę z jadowitym zębem, grubym jak wykałaczka, opuściłem na kręcący się plastik.

Zaskwierczało tak, jakby ktoś smażył boczek. Wiedziałem już, że coś się popsuło. Zniszczyłem płytę, już nigdy więcej nie zagra. BAM-BAM... BAM-BAM...

Nie, jednak się udało! Mocne akordy. I drżący głos Elvisa.

Stałem jak skamieniały. Zupełnie nie zwracałem uwagi, że ślina cieknie mi po brodzie. Czulem, że kręci mi się w głowie, przestałem oddychać.

To była przyszłość. Tak właśnie brzmiała. Muzyka przypominająca ryk maszyn drogowych, niekończący się łoskot, zgiełk prowadzący za horyzont, w stronę purpurowego wschodu słońca.

Wychyliłem się i popatrzyłem przez okno. Na drodze dymiło się spod ciężarówki. Zauważyłem, że zaczęli już kłaść nawierzchnię. To, co wylewali, nie było jednak gładkim i błyszczącym asfaltem, tylko gruzłową tłąstą masą z piachu i żwiru. Szarym, zakurzonym, ohydny kruszywem bitumicznym.

I po tym my, mieszkańcy Pajali, mieliśmy pedałowac ku przyszłości.

Gdy już zniknęły maszyny, rozpocząłem pierwsze ostrożne przechadzki po okolicy. Świat powiększał się z każdym krokiem. Nasza ulica o nowej nawierzchni prowadziła do innych nowo powstałych dróg, parcele rozprzestrzeniły się jak cieniste parki, czekały na mnie ogromne psy uwiązane na pobrękujących łańcuchach. Im dalej maszerowałem, tym więcej było do zobaczenia. Świat nie miał końca, cały czas się powiększał, a ja odczuwałem zawroty głowy na granicy mdłości, gdy dotarło do mnie, że można tak wędrować i wędrować w nieskończoność. W końcu zebrałem się na odwagę i zapytałem tatę, który właśnie mył nasze nowe volvo PV:

- Jak duży jest świat?
- Całkiem spory odparł.
- Ale gdzie się przecież kończy?
- W Chinach.

To była prosta odpowiedź, po której zrobiło mi się lżej na sercu. Gdzieś tam jednak był koniec jeśli tylko szło się wystarczająco długo. Znajdował się w królestwie skośnookich ludzi mówiących „cing-ciong”, po drugiej stronie kuli ziemskiej.

Było lato, żar łał się z nieba. Koszulka nasiąkała kapiącymi lodami, które jadłem. Opuściłem nasze podwórko, opuściłem bezpieczną strefę. Od czasu do czasu zerkałem za siebie, zaniepokojony, że zabłądzę.

Wybrałem się na plac zabaw, który był właściwie starą łąką. Pozwolono jej pozostać w środku osiedla, a gmina skleciła huśtawki i postawiła w trawie. Usiadłem na wąskiej desce, zacząłem gwałtownie szarpać za łańcuchy, by się rozhuścić.

Chwilę później zdałem sobie sprawę, że ktoś mnie obserwuje. Na zjeżdżalni siedział jakiś chłopak. Na samym szczycie, jakby za chwilę miał się ześliznąć w dół. Czekał jednak, nieruchomo jak drapieżny ptak i przypatrywał mi się szeroko otwartymi oczyma. Stałem się czujny. Coś w nim było nieprzyjemnego. Nie siedział tam przecież, gdy przyszedłem. Wyglądało to tak, jakby pojawił się znikąd. Próbowałem nie zwracać na niego uwagi, tylko huśtałem się tak zawrotnie wysoko, że aż łańcuchy w moich rękach stawały się luźne. Zamykałem oczy i czułem łaskotanie w żołądku, gdy poruszałem się coraz szybciej po łuku, w dół, ku ziemi, i w górę, w niebo, po drugiej stronie.

Gdy otworzyłem oczy, siedział w piaskownicy. Jakby przeleciał tam na rozłożonych skrzydłach, nie słyszałem przecież najłżejszego dźwięku. Nadal obserwował mnie uporczywie, do połowy odwrócony.

Znieruchomiałem i pozwoliłem huśtawce zwolnić. Na koniec zeskoczyłem w trawę, zrobiłem fikolka i leżałem, gapiąc się w niebo. Białe obłoki płynęły nad rzeką. Przypominały duże, wełniane owce śpiące na wietrze. Gdy zamknąłem oczy, zobaczyłem małe stworzonka poruszające się po wewnętrznej stronie powiek. Małe czarne kropki pełzające po czerwonej błonce. Gdy mocniej zacisnąłem powieki, odkryłem fioletowe żyłtka w moim brzuchu. Wdrapywały się jedne na drugie i układały wzory. Nawet tam było życie, nawet tam świat czekał, by go odkryć. Znów niemal zakręciło mi się w głowie na myśl o tym, że świat składa się z niezliczonej ilości torebek, zawiązanych jedna w drugiej. Nieważne, przez ile warstw się przedrzeć, jest ich tam tylko coraz więcej.

Otworzyłem oczy i aż się wzdrygnąłem. Chłopak leżał obok mnie. Wyciągnął się na plecach tuż przy mnie, tak blisko, że czułem bijące od niego ciepło. Jego twarz była osobliwie mała. Sama głowa była normalna, ale rysy twarzy ścisnęły się na zdecydowanie zbyt małej powierzchni. Jak twarz lalki naklejona na piłkę do nogi w kolorze brązowej skóry. Włosy przystrzyżone na jeża, pewnie w domu, bo nierówno, odpadający strupek na czole. Zerkał jednym okiem, tym, które znalazło się wyżej i chwyciło promienie słońca. Drugie oko, szeroko otwarte, pozostawało niżej, w trawie. W ogromnej źrenicy mogłem dostrzec własne lustrzane odbicie.

– Jak masz na imię? zapytałem.

Nie odpowiedział. Nie poruszył się.

– *Mikäs sinun nimi on?* – powtórzyłem po fińsku.

Teraz otworzył usta. Nie był to co prawda uśmiech, ale można było dostrzec zęby; żółte, pokryte nalotem. Wsadził mały palec w dziurkę w nosie inne palce były zbyt grube, by się zmieścić. Zrobiłem tak samo. Każdy z nas wygrzebał swojego własnego gila. Chłopak wsadził go do buzi i połknął. Ja się zawahałem. Wtedy on błyskawicznie połknął kozę, którą miałem na palcu.

Zrozumiałem, że chce się ze mną zaprzyjaźnić.

Usiedliśmy w trawie. Teraz ja nabrałem ochoty, by mu zaimponować.

– Wszędzie można dojechać!

Słuchał uważnie, ale nie byłem pewien, czy zrozumiał.

– Aż do Chin! – ciągnąłem.

Żeby udowodnić, że mówię poważnie, ruszyłem w stronę drogi. Dziarsko, z pompatycznie udawaną pewnością siebie, która skrywała zdenerwowanie. Podążył za mną. Szliśmy w kierunku żółtych zabudowań plebanii. Stał tam zaparkowany na drodze autobus, zapewne przyjechali nim turyści odwiedzający laestadiańską chatę. Ze względu na upał drzwi pojazdu były otwarte, lecz nie dostrzeżliśmy kierowcy. Pociągnąłem kumpla za sobą, wspięliśmy się na schodki. Na siedzeniach leżały torby i kurtki, wszystko odrobinę zalatywało wilgocią. Usadowiliśmy się w tyle autobusu i ukryliśmy za oparciami. Wkrótce kilka starszych dam, spoconych i zasapanych, weszło do środka i usiadło. Rozmawiały językiem pełnym dźwięków „sz” i piły dużymi łykami lemoniadę z butelek. Później dołączyło więcej emerytów, pojawił się też kierowca, który włożył sobie pod wargę porcję snusu – tytoniu do żucia. Ruszyliśmy w drogę.

W milczeniu, szeroko otwartymi oczami oglądaliśmy przemykające za oknem krajobrazy. Wyjechaliśmy z Pajali, szybko minęliśmy ostatnie zabudowania i z łoskotem wtoczyliśmy się w dzikie ostępy. Ogromny las bez końca. Stare słupy telefoniczne z porcelanowymi bańkami izolatorów, pomiędzy którymi druty zwisały w upale ciężkimi łukami.

Zanim ktokolwiek zwrócił na nas uwagę, przejechaliśmy ładnych parę kilometrów. Przypadkowo popchnąłem oparcie siedzenia przede mną, na co w naszą stronę obróciła się jakaś pani o bardzo porowatej twarzy. Uśmiechnąłem się wyczekująco. Odwzajemniła uśmiech, pogrzebała chwilę w torebce i poczęstowała nas słodyczami z dziwnej, przypominającej tkaninę torebki. Powiedziała coś, czego nie zrozumiałem. Wtedy wskazała na kierowcę i zapytała:

– Papa?

Pokiwałem głową z uśmiechem zastygłym na wargach.

– *Habt ihr Hunger?* – ciągnęła.

Nim się zorientowaliśmy, każdemu wcisnęła w garść kanapkę z razowca z serem.

Po długiej autobusowej jeździe po wybojach zatrzymaliśmy się na ogromnym parkingu. Wszyscy wysiedli, ja i mój kolega również. Przed nami znajdował się szeroki betonowy budynek z płaskim dachem i sterzącymi metalowymi antenami. W oddali, za ogrodzeniem ze stalowej linki stało kilka samolotów śmigłowych. Kierowca otworzył bagażnik i zaczął wyjmować walizki. Nasza znajoma miła pani była zdenerwowana i miała zdecydowanie za dużo bagażu. Pot perlił jej się pod rondem kapelusza. Cmokała nieprzyjemnie przez zęby. Wdzięczni za kanapki chwyciliśmy jej ciężką walizkę. Dowlekliśmy ją do budynku, gdzie emeryci już zbili się w głośno paplającą gromadkę przed okienkiem odprawy i zaczęli wyjmować wszelkie możliwe papiery i dokumenty. Jakaś umundurowana pani próbowała cierpliwie zaprowadzić porządek. Później zwartą grupą przeszliśmy przez bramkę i podążyliśmy w kierunku samolotu.

Po raz pierwszy w życiu miałem lecieć. Obaj czuliśmy się nieco nieswojo, ale śliczna ciemnooka pani ze złotymi serduszkami w uszach pomogła nam zapiąć pasy. Mój kolega zajął miejsce przy oknie. Z rosnącym napięciem obserwowaliśmy błyszczące śmigła, które zaczęły się kręcić, coraz szybciej i szybciej, aż całkiem zniknęły w niewidzialnym wirze. Wtedy ruszyliśmy. Wcisnęło mnie w fotel, poczułem, jak podskakują koła, a później lekkie szarpnięcie, gdy oderwaliśmy się od ziemi. Mój kumpel, zachwycony, pokazywał coś za oknem. Lecieliśmy! Świat został gdzieś pod nami. Ludzie, domy i samochody skurczyły się do rozmiaru zabawek, tak małych, że zmieściłyby się w kieszeni. A później ze wszystkich stron pojawiły się chmury, białe z wierzchu, a w środku szare jak owsianka. Przedzieraliśmy się przez nie, wznosząc się w górę, aż do momentu gdy samolot sięgnął najwyższego pułapu nieba i płynął w przód tak wolno, że ledwie można było ten ruch zauważyć.

Sympatyczna stewardesa dała nam soku. I całe szczęście, bo już porządnie chciało nam się pić. Kiedy zachciało nam się siku, pokazała maluteńkie pomieszczenie, gdzie kolejno

wyciągnęliśmy siusiaki. Siuśki leciały w dół do otworu, a ja wyobraziłem sobie, jak lecą dalej ku ziemi jako drobny żółty deszczyk.

Następnie każdy z nas dostał blok i kredki. Narysowałem dwa samoloty, które się zderzają. Kolega odchylił krótko ostrzyżoną głowę w tył i wkrótce zasnął z otwartymi ustami. Po każdym jego oddechu na szybie zostawała para.

Po pewnym czasie wylądowaliśmy. Wszyscy podróżni podążyli z pośpiechem do wyjścia, w zamieszaniu zgubiliśmy starszą panią. Zapytałem jakiegoś pana w czapce z daszkiem, czy to Chiny. Pokręcił głową i wskazał ręką na długi, niekończący się korytarz, gdzie ludzie wchodzili i wychodzili ze swoimi walizkami. Poszliśmy więc tym korytarzem. Kilka razy musiałem grzecznie się dopytywać, zanim zauważyliśmy ludzi o skośnych oczach. Pomyślałem, że z pewnością wybierają się do Chin, więc usiedliśmy obok nich i cierpliwie czekaliśmy.

Po chwili podszedł do nas pan w granatowym mundurze i zaczął zadawać pytania. Widzieliśmy po jego oczach, że będą kłopoty. Uśmiechnąłem się zatem nieśmiało i udawałem, że nie rozumiem, co mówi.

– Tata – mamrotałem i pokazywałem gdzieś daleko za siebie.

– Poczekajcie tu – odpowiedział i oddalił się szybkim krokiem.

Gdy tylko zniknął, natychmiast przenieśliśmy się na inną ławkę. Wkrótce też spotkaliśmy czarnowłosą Chinkę, dziewczynkę w podkolanówkach, która miała zabawną plastikową układankę. Rozłożyła ją na ziemi w kawałkach i pokazała, jak można zbudować drzewo albo helikopter, albo cokolwiek innego. Mówiła dużo i machała szczupłymi ramionami. Chyba powiedziała, że ma na imię Li. Czasami wskazywała w stronę ławki, gdzie starszy pan o surowym spojrzeniu, siedzący obok dziewczynki o kruczoczarnych włosach, czytał gazetę. Zrozumiałem, że to starsza siostra naszej znajomej. Jadła czerwony, ociekający sokiem owoc i wycierała usta serwetką obszytą koronką. Kiedy podszedłem, z powściągliwą miną poczęstowała mnie dekoracyjnie pokrojonymi kawałkami. Były tak słodkie, że poczułem łaskotanie gdzieś w środku, nigdy nie jadłem czegoś równie pysznego, więc popchnąłem do przodu kolegę, żeby on też spróbował. Rozkoszował się smakiem, przymrużywszy oczy. Zamiast podziękowania wyciągnął niespodziewanie z zanadru pudełko od zapalek, otworzył i pozwoił Chinkom zajrzeć.

W środku znajdował się ogromny chrząszcz połyskujący na zielono. Starsza z sióstr próbowała dać mu kawałek owocu, ale wtedy chrząszcz odfrunął. Wzniósł się w górę i z głuchym brzęczeniem zatoczył kółko nad wszystkimi skośnookimi ludźmi siedzącymi w fotelach, krążył wokół dwóch pań ze szpilekami we włosach, które zadarły głowy w osłupieniu. Ominął górę bagaży zwieńczoną niedbale zapakowanymi rogami renifera i poleciał dalej korytarzem, tuż pod świetlówkami, tą samą drogą, którą my pokonaliśmy w odwrotnym kierunku. Mój kumpel wyglądał na zasmuconego, więc próbowałem go pocieszyć, że chrząszcz z pewnością jest już w drodze do domu, do Pajali.

W tej samej chwili usłyszeliśmy komunikat z głośników i wszystkim wokół nagle zaczęło się spieszyć. Spakowaliśmy dziewczynce układankę do torby z zabawkami i wcisnęliśmy się w mrowie pasażerów przy odprawie. Tym razem samolot był dużo większy niż poprzednio. Zamiast śmigieł miał na skrzydłach wielkie bębny gwizdzące po uruchomieniu. Dźwięk urósł do ogłuszającego ryku, ale zmniejszył się do dudniącego grzmotu, gdy unieśliśmy się w powietrze.

Dotarliśmy do Frankfurtu. I gdyby nie to, że mojego cichego towarzysza podróży zaczął boleć brzuch i zabrał się do robienia kupy gdzieś pod stołem, z pewnością, bez najmniejszych wątpliwości dolecieliśmy aż do Chin.

ROZDZIAŁ 2

O żywej i martwej wierze, o tym, w jaki sposób śrubki wywołują agresję oraz o godnym uwagi incydencie w pajalskim kościele

Zacząłem spotykać się z moim milczącym towarzyszem i wkrótce po raz pierwszy poszedłem do niego do domu. Rodzice okazali się laestadianami, należeli do ruchu religijnego, któremu dawno temu, w Karesuando, dał początek Lars Levi Laestadius. Ten niewielkiego wzrostu pastor klął w swych soczystych kazaniach prawie tak jak sami grzesznicy, a pijaństwo i nierząd atakował z taką mocą, że echa dotarły aż do naszych czasów.

Dla laestadianina sama wiara to za mało. Nie chodzi tylko o to, by być ochrzczonym, głośno wyznawać wiarę lub płacić podatek na rzecz kościoła. Wiara musi być żywa. Ktoś zapytał kiedyś starego laestadianańskiego kaznodzieję, jak opisałby tę żywą wiarę. Ten długo się zastanawiał, a później odparł z namysłem, że to jakby całe życie wędrować pod górę.

Całe życie pod górę. Dość trudno to sobie wyobrazić. Wędrujesz w ciszy i spokoju wąską, krętą tornedalską drogą, taką jak między Pajalą a Muodoslompolo. Jest pełen zieleni początek lata. Droga wiedzie przez rzadki sosnowy las, w powietrzu unosi się zapach błota, rozgrzanych słońcem mokradeł i leśnych bajorek. Głuszce dziobią piasek w przydrożnych rowach, furkocząc skrzydłami, zrywają się do lotu i znikają w zaroślach.

Wkrótce docierasz do pierwszej pochyłości. Zauważasz, jak teren zaczyna się wznosić i czujesz, jak napinają się mięśnie łydek. Jednak nie zaprzęta ci to długo myśli, to przecież tylko małe wzniesienie. Tam na górze, już za chwilę, droga znów stanie się płaska i utworzy suchą leśną równinę, polanę usłaną białym, skołunionym chrobotkiem reniferowym wśród wysokich aż do nieba pni.

Jednak podchodzenie trwa. O wiele dłużej, niż przypuszczałeś. Nogi się męczą, zwalniasz i z coraz większą niecierpliwością wypatrujesz szczytu, który przecież już za chwilę musi się pojawić.

Lecz się nie pojawia. Droga wciąż wiedzie pod górę. Las jest taki sam jak wcześniej, bagniste zagłębienia, zbocza pokryte porostami i samosiejkami, gdzie niegdzie szpetne poręby. Ścieżka nadal pnie się w górę. Jakby ktoś rozłamał płytę krajobrazu, podźwignął i podparł kołkami z jednej strony. Podniósł przeciwległą krawędź i podłożył coś pod nią, tylko po to, żeby kogoś wkurzyć. I zaczyna do ciebie docierać, że wciąż będzie pod górę, przez całą resztę dnia. I przez cały jutrzejszy dzień też.

Uparcie wdrapujesz się dalej. Dni przeradzają się w tygodnie. Nogi zaczynają poważnie słabnąć, a człowiek zastanawia się, kto mógł być tak zręczny i silny, aby wypiętrzyć teren w ten sposób. W każdym razie zostało to trzeba z niechęcią przyznać zrobione porządnie. Za Parkajoki teren powinien już stać się płaski, przecież musi być w tym jakiś umiar. Dochodzisz do Parkajoki, ale stok pnie się dalej pod górę, wtedy myślisz, że w takim razie skończy się to w Kitkiöjoki.

Tygodnie przemieniają się w miesiące. Posuwasz się krok po kroku. Zaczyna padać śnieg. I topnieje, i znów pada. Pomiędzy Kitkiöjoki a Kitkiöjärvi jesteś bliski poddania się. Nogi drżą, stawy biodrowe boją, ostatnie zapasy energetyczne organizmu wkrótce się skończą.

Przez chwilę oddychasz ciężko, ale później zmagasz się dalej. Już niedługo powinieneś dotrzeć do Muodoslompolo. Czasem spotykasz kogoś nadchodzącego z przeciwnego kierunku, to nie do uniknięcia. Kogoś, kto mija cię, zbiegając lekko w dół w kierunku Pajali. Niektórzy nawet zjeżdżają rowerami. Siedzą wygodnie na siodelkach i nie pedałuja, mogą bez wysiłku toczyć się całą drogę w dół. Trzeba przyznać, że wtedy budzi się zwątpienie. Wówczas toczy się wewnętrzna walka z samym sobą.

Twoje kroki stają się krótsze. Lata mijają. Teraz już na pewno musisz być blisko, bardzo blisko. Znowu pada śnieg, jest tak, jak być powinno. Mrużysz oczy w śnieżnej zadymce i wydaje ci się, że coś dostrzegasz. Myślisz, że tam w oddali trochę się rozjaśnia. Las rzadnie, otwiera się. Domy mającą między drzewami. To wioska! To Muodoslompolo! I w połowie kroku, tego ostatniego, krótkiego i drżącego kroku...

Na pogrzebie kaznodzieja głosi, że umarłeś w żywej wierze. Wszystko jasne. Umarłeś w żywej wierze, *sie kuolit elävässä uskossa*. Doszedłeś do Muodoslompolo, wszyscy jesteśmy tego świadkami. I oto siedzisz nareszcie na złotym bagażniku naszego Pana Boga Ojca w wiecznej drodze w dół, przy dźwiękach anielskich trąb.

Chłopak, jak się okazało, miał imię, mama nazywała go Niila. Oboje rodzice to gorliwi chrześcijanie. W ich domu pełno było dzieci, a jednak panowała tu iscie kościelna, posępna cisza. Niila miał dwóch starszych braci i dwie młodsze siostry i następne z rodzeństwa, które dopiero wierzało u mamy w brzuchu. A w związku z tym, że dzieci to przecież dar od Boga, miało ich być z czasem jeszcze więcej.

To nieprawdopodobne, że tyle dzieciaków potrafiło być tak cicho. Mieli niewiele zabawek. Większość była z niemalowanego drewna, wystrugana przez starszych braci. Dzieci bawiły się tymi zabawkami, siedząc cicho jak myszki. Nie tylko dlatego, że otrzymywały religijne wychowanie, można to dostrzec i w innych rodzinach w Tornedalen. Po prostu przestawały rozmawiać. Może przez nieśmiałość, a może ze złości. Może dlatego, że wydawało się to zbędne. Rodzice otwierali usta tylko wtedy, gdy jedli, a gdy czegoś chcieli, pokazywali i kiwali głowami, i dzieci to przejęły.

Nawet ja milkłem, gdy przychodziłem do Niili. Kiedy jest się dzieckiem, wyczuwa się takie rzeczy. Zdejmowałem buty na wycieraczkę w przedpokoju i skradałem się na palcach, pochylając głowę i garbiąc plecy. Spoglądało na mnie mnóstwo niemych oczu, z bujanego fotela, spod stołu, od strony szafek kuchennych. Dziecięce świdrujące spojrzenia, które natychmiast pierzchały, gdy je napotykałem, błądziły wokół po kuchennych ścianach, po sosnowej podłodze, ale wciąż wracały do mnie. W miarę możliwości starałem się odpowiadać wzrokiem. Twarzyczka najmłodszej dziewczynki zmarszczyła się ze strachu, mleczone zęby zalsniły w otwartej buzi, do oczu zaczęły cisnąć się łzy. Płakała, ale nawet ten płacz był bezgłówny. Tylko mięśnie policzków napięły się, a pulchne rączki chwyciły maminą spódnicę. Mama miała na głowie chustkę, chociaż była w domu; stała z rękami po łokcie w dzieży. Mąka unosila się kłębami złocącymi się od słońca, wzbudzonymi przez silne ruchy jej rąk zagniatających ciasto. Sprawiała wrażenie, jakby nie zauważała, że tam jestem, a Niila potraktował ten fakt jako milczące przyzwolenie. Zaprowadził mnie do swoich starszych braci, którzy na kuchennej ławie wymieniali między sobą śrubki. A może była to swego rodzaju gra, skomplikowane wybieranie z różnych pudełeczek i przegródek. Z czasem coraz bardziej denerwowali się jeden na drugiego i zaczęli, wciąż w ciszy, wrywać sobie śrubki z rąk. Jakaś nakrętka upadła na podłogę, Niila natychmiast ją chwycił. Najstarszy z braci błyskawicznym ruchem ścisnął mu rękę, tak że Niila aż wstrzymał oddech z bólu. Został w ten sposób zmuszony do wypuszczenia nakrętki z zaciśniętej pięści i wrzucenia jej do przezroczystego plastikowego pudełka. Młodszy brat przewrócił je do góry dnem. Grzechot stali. Zawartość wysypała się na drewnianą podłogę.

Na chwilę wszystko zamarło. Wszystkie spojrzenia skupiły się w punkcie zapalnym – na braciach, jak wtedy, gdy film zacina się w projektorze, obraz ciemnieje, marszczy się, a potem jest zupełnie biało. Wyczuwałem nienawiść, nic nie rozumiejąc. Gwałtownym ruchem bracia chwycili się za koszule. Mięśnie ramion napięły się, przyciągnęli się jak silne magnesy. Cały czas wpatrywali się w siebie nawzajem. Czarne jak smoła źrenice, dwa lustra naprzeciw dwóch luster, bardzo blisko siebie, a odległość rosła w nieskończoność.

W tym momencie mama rzuciła ścierką do naczyń. Ta przeleciała jak pocisk przez kuchnię, ciągnąc za sobą ciekłą smużkę dymu z mąki, niczym kometa z ogonem, po czym piasnęła najstarszego syna prosto w czoło. Mama odczekała chwilę pełną grozy, powoli strzepując ciasto z rąk. Nie miała najmniejszej ochoty spędzić całego wieczoru na przyszywaniu guzików. Wbrew swej woli bracia zwolnili uchwyt. Potem wstali i wyszli przez kuchenne drzwi.

Mama przyniosła ścierkę, umyła ręce i powróciła do wyrabiania ciasta. Niila pozbiierał wszystkie śrubki i z zachwyconą miną wcisnął pudełko do swojej kieszeni. Później zerknął na zewnątrz przez kuchenne okno.

Bracia stali na środku ścieżki. Ramiona wymierzały w szczęki cios za ciosem. Mocne trafienia, aż krótko ostrzyżone głowy skręcały się niczym brukiew. Jednak bez krzyków, bez wyzwisk. Cios za ciosem w niskie czoła, w kartoflane nosy, silne sierpowe w purpurowe uszy. Starszy miał większy zasięg, młodszy musiał atakować z byka. Obaj mieli rozbite nosy. Krew kapiała i rozbryzgiwała się wokół, knykcie były już całe czerwone. A oni jeszcze się bili. Buch. Plask. Buch. Plask.

Dostaliśmy soku i cynamonowych bułeczek prosto z pieca, tak gorących, że trzeba je było potrzymać chwilę w zębach, zanim zaczęło się gryźć. Później Niila zaczął bawić się śrubkami. Wysypał je na kanapę w kuchni. Palce mu drżały. Zrozumiałem, że już od dawna marzył, by móc w nich pogmerać. Posortował je i powkładał do oddzielnych przegródek w pudełku, wysypał, wymieszał i zaczął od nowa. Próbowałem pomagać, ale zauważyłem, że działa mu to na nerwy, więc po chwili poszedłem do domu. Nawet nie odprowadził mnie wzrokiem.

Bracia nadal stali na dworze. Wydeptany żwir przybrał formę kolistego wału. Wciąż te same wściekłe ciosy, ta sama głucha nienawiść, lecz większe zmęczenie i powolniejsze ruchy. Ich koszule były mokre od potu. Zakrwawione twarze zszarzały, lekko przyprószone ziemią. Wówczas zauważyłem, że są odmienieni. Nie byli już normalnymi chłopcami. Szczęki nabrzmiały, zza spuchniętych warg wystawały kły. Nogi były krótsze i silniejsze, jak łapy niedźwiedzia. Nabrzmiały tak, że spodnie pękały w szwach. Paznokcie szczerniały i urosły w pazury. Teraz zobaczyłem, że to co mieli na twarzach, to nie była ziemia. To szczecina, kielkujące futro, ciemność spływająca po jasnych chłopięcych policzkach w dół, wzdłuż szyi i pod lamówkę koszuli.

Chciałem krzyknąć, żeby ich ostrzec. Zrobiłem nieostrożny krok w ich kierunku.

Zatrzymali się. Odwrócili się w moją stronę. Skulili się, poczuli mój zapach. I wtedy zobaczyłem głód. Przerażający głód. Chcieli jeść, chcieli mięsa.

Wycofałem się zmrożony. Pochrząkiwali. Zbliżali się łopatka w łopatkę, dwa czujne drapieźniki. Przyspieszyli. Wyszli poza wydeptany żwirowy okrąg. Wbili w ziemię pazury, gotowi do okrutnego skoku.

Piętrząca się ciemność.

Mój stłumiony krzyk. Przerażenie, jęki, kwilenie prosiaka.

Brzdęk. Ding dong.

Kościelne dzwony.

Święte, kościelne dzwony. Ding dong. Ding dong. Na podwórko wjechała na rowerze postać ubrana na biało, połyskująca istota bijąca w dzwony w rozmytym, świetlnym obłoku.

Zahamowała bezgłośnie. Ogromnymi rękami chwyciła każde zwierzę za kark i zderzyła ze sobą makówki głów, aż zahuczało.

Tato kwilili tato, tato...

Światło zbladło, ojciec powalił synów na ziemię i chwycił za kostki, każdego jedną ręką. Ciągnął ich w ten sposób tam i z powrotem po żwirowej ścieżce. Wyrównywał nasyp, używając w tym celu przednich zębów synów jako grabi, aż podwórko znów stało się płaskie i zadbane. Gdy skończył, obaj synowie płakali i znowu byli chłopakami. Popędziłem do domu, ile sił w nogach. A w kieszeni została mi śrubka.

Tata Niili miał na imię Isak, pochodził z dużej laestadiańskiej rodziny. Już jako mały chłopiec był zabierany na spotkania modlitewne odbywające się w zaparowanych chałupach, gdzie na ławkach siedzieli tyłek przy tyłku ciemno ubrani małorolni chłopcy i ich żony w chustkach na głowach. Było tak ciasno, że czoła spotykały się z plecami osób siedzących z przodu, gdy porwani Duchem Świętym wszyscy zaczynali się kołysać w przód i w tył w modlitewnym uniesieniu. Tam właśnie siedział Isak, drobny chłopak ściśnięty między ciotkami i wujkami, którzy na jego oczach ulegali przemianie. Zaczynali głębiej oddychać, powietrze stawało się przez to cuchnące i wilgotne, ich twarze purpurowiały, okulary zaparowywały, zaczynało im kapać z nosa, a głosy obu kaznodziejów zawodziły coraz głośniej i silniej. Słowa, żywe słowa, tkające Prawdę nitką za nitką, obraży zła, oszustw, grzechów, które próbowały ukryć się w ziemi, a które wyrivano razem z ich paskudnymi korzeniami i potrząsano nimi przed zgromadzonymi niczym nadjeżdżoną przez robaki rzepą. W rzędzie z przodu siedziała dziewczynka z jasnymi, złocącymi się w półmroku warkoczami, ściśnięta z obu stron strwożonymi ciałami dorosłych. Siedziała nieruchomo, do piersi tuląc lalkę, podczas gdy górą przetaczała się nawalnica. To przerażające zobaczyć oboje swoich rodziców płaczących. Zobaczyć mądrych, dorosłych krewnych, którzy podlegają takiej przemianie. Zobaczyć ich załamanych. Siedzieć cichutko, czuć spływający po plecach pot i myśleć: to moja wina. Tak, to moja wina, gdybym tylko była wtedy trochę grzeczniejsza. Isak zaciskał chłopięce dłonie w ciasny węzeł, a w środku roiło się jakby od insektów. Myślał sobie: jeśli rozluźnię uścisk, wszyscy umrzemy. Jeżeli je wypuszczę, zginiemy.

Pewnego razu, pewnej niedzieli, po kilku latach, gdy wyrósł wysoki i silny, wszedł na cienki lód. Pękła krucha powłoka, wszystko się załamało. Dopiero co skończył trzynaście lat i poczuł, że diabeł rośnie mu w brzuchu. Ze strachem większym niż strach przed laniem, silniejszym nawet od instynktu samozachowawczego wstał na spotkaniu i oparł się o plecy przed nim, kiwał się w przód i w tył, a później zapadł całkiem w Chrystusowe łono. Jego ciemienia i klatki piersiowej dotknęły poranione dłonie, to był drugi chrzest, tak właśnie się to odbyło. Otworzył się całkowicie i został oczyszczony z grzechów.

Wśród zgromadzonych żadne oko nie pozostało bez łzy. To było coś doniosłego. Byli świadkami powołania. Pan własną ręką zabrał chłopca, a później oddał go z powrotem.

Po tym wydarzeniu na nowo uczył się chodzić. Gdy stał na chwiejnych nogach, podtrzymywali go. Jego gruba matka uścisnęła go i pobłogosławiła w imię Jezusa i jego krwi, a jej łzy popłynęły po twarzy syna. Droga do zostania kaznodzieją została otwarta.

Isak, jak większość laestadian, stał się pracowitym robotnikiem. Zimą ścinał drzewa w lesie, na początku lata spławiał je i ciężko harował w niewielkim gospodarstwie rodziców, gdzie było kilka krasul i poletko ziemniaków. Dużo pracował, a wymagał mało, unikał alkoholu, kart i komunizmu. To czasem było powodem trudności w leśnych schroniskach dla drwali, ale przyjmował kpiny kumpli jak próbę i przez długie, ciche tygodnie czytał zbiory kazań Laestadiusa.

Natomiast na niedzielę oczyszczał się przez modlitwę i saunę, wciągał na siebie białą koszulę i czarny garnitur. Na spotkaniach mógł wreszcie atakować nieczystość i Szatana, wymachiwać

obosiecznym mieczem Pańskim, Prawem i Ewangelią przeciw wszystkim grzesznikom, przeciw kłamcom, lubieżnikom, złodziejom łaski, tym, którzy miotają przekleństwami, pijakom, dręczycielom żon i komunistom, którzy gnietli się jak wszy w dolinie rzeki Tomealven, na tym ziemskim padole łez.

Młoda, pełna energii, gładko ogolona twarz. Głęboko osadzone oczy. Umiejętnie skupiał na sobie uwagę zgromadzenia, a wkrótce potem ożenił się ze współwyznawczynią, nieśmiałą i dobrze ułożoną, pachnącą szarym mydłem Finką z okolic Pello.

Gdy zaczęły pojawiać się dzieci, Isak został przez Boga opuszczony. Pewnego dnia po prostu zapadła cisza. Nikt już nie odpowiadał.

Została tylko ogromna, bezdenna konsternacja. Smutek. I powoli rosnąca złośliwość. Zaczął grzeszyć, najpierw na próbę. Małe złe uczynki wobec swych najbliższych. Gdy zauważył, że sprawia mu to przyjemność, nie przestawał. Podczas kilku poważnych rozmów z zatroskanymi współwyznawcami przywoływał imię Szatana. Odeszli swoją drogą i nigdy nie wrócili.

Pomimo opuszczenia, mimo swej pustki wciąż nazywał się wierzącym. Kulturował rytuały i wychowywał dzieci według przykazań. Ale na miejscu Boga umieścił samego siebie. To była najgorsza forma laestadianizmu, najzimniejsza, najbardziej bezlitosna. Laestadianizm bez Boga.

Na takim właśnie zmrożonym terenie dorastał Niila. Podobnie jak wiele dzieci w otoczeniu pełnym nienawiści nauczył się, jak przeżyć dzięki niezwracaniu na siebie uwagi. Tego właśnie byłem świadkiem przy naszym pierwszym spotkaniu na placu zabaw – przemieszczania się bez najmniejszego dźwięku. W jakiś sposób przyjmował barwy otoczenia do tego stopnia, że niemal nie można go było odróżnić. Był typowym tornedalskim *jante*, istotą, która nie powinna wierzyć, że jest kimś znaczącym. Człowiek kurczy się, aby zatrzymać ciepło. Ciało twardnieje, mięśnie ramion napinają się i w średnim wieku zaczynają boleć. Kroki stają się krótsze, oddech płytszy, a skóra szarzeje od niedoboru tlenu. Tornedalski *jante* nigdy nie ucieka przed napaścią, bo to nie ma sensu. Lepiej skulić się i mieć nadzieję, że przejdzie bokiem. W miejscach publicznych zajmuje miejsce gdzieś z tyłu, co często można zauważyć w Tornedalen przy okazji imprez kulturalnych. Między oświetloną reflektorami sceną a publicznością ziele pustką kilkanaście rzędów krzesel, podczas gdy te najbardziej oddalone rzędy są pełne.

Niila miał na przedramionach małe rany, które nigdy się nie goiły. Z czasem zauważyłem, że wciąż je rozdrapuje. To było coś nieświadomego, brudne paznokcie samowolnie tam wędrowały i drapały. Gdy tylko zrobił się strup, skubał go, łamał, odrywał i pozbywał się go pstrykając palcami. Czasem taki strup lądował na mnie, czasem Niila połykał go z nieobecny wyrazem twarzy. Nie wiem, co wydawało mi się bardziej obrzydliwe. Gdy byliśmy u mnie w domu, próbowałem zwracać mu uwagę, ale wtedy wyglądał tylko na niewinnie zaskoczonego. I za chwilę robił to samo.

Najdziwniejsze u Niili było jednak to, że nie mówił. Miał już przecież pięć lat. Czasem otwierał usta i już jakby coś wypowiadał, można było usłyszeć poruszającą się w gardle ślinę. Wychodziło z tego swego rodzaju chrząkanie, wydawało się, że knebel puści. W takich chwilach powstrzymywał się i wyglądał na wystraszonego. Rozumiał, co do niego mówiłem, to się dało zauważyć, czyli nie był to problem z głową. Niemniej coś pozostawało zatrzęsnięte.

Na pewno dużą rolę odgrywało to, że jego mama pochodziła z Finlandii. Była to zawsze milcząca kobieta z ciemzonego narodu wyniszczzonego zarówno wojną domową, Wojną Zimową i dalszym ciągiem walk, podczas gdy tłusty zachodni sąsiad – Szwecja – wzbogacił się, sprzedając Niemcom rudę żelaza. Czuła się gorsza. Chciała dać swoim dzieciom to, czego sama nie otrzymała, miały stać się prawdziwymi Szwedami, dlatego chciała je nauczyć szwedzkiego zamiast swojego ojczystego fińskiego. Lecz sama niewiele umiała po szwedzku, dlatego milczała.

U nas w domu często siedzieliśmy w kuchni, bo Niila lubił słuchać radia. U mojej mamy – zupełnie inaczej niż w jego domu – radio całymi dniami grało gdzieś w tle. Treść nie miała znaczenia, wszystko od „Radia Kierowców” i „To trzeba uczcić” aż po bicie dzwonów w Sztokholmie, kursy języków obcych i nabożeństwa. Ja sam nigdy tego nie słuchałem, wpadało jednym uchem, wypadało drugim. Niila natomiast rozkoszował się najwyraźniej samym dźwiękiem, tym, że nigdy nie było naprawdę cicho.

Pewnego popołudnia podjąłem decyzję. Nauczę Niilę mówić. Uchwyciłem jego wzrok, pokazałem na siebie i powiedziałem:

– Matti.

Potem pokazałem na niego i czekałem. On też czekał. Nachyliłem się i wsadziłem palec między jego wargi. Otworzył szeroko usta, ale nadal milczał. Zacząłem masować jego szyję. Łaskotało, odepchnął moją rękę.

– Niila! – powiedziałem i próbowałem nakłonić go, żeby powtórzył. – Niila!, powiedz Niila!

Wytrzeszczał oczy, jakbym był jakimś idiotą. Wskazałem na swoje krocze.

– Ptaszek.

Zaśmiał się niepewnie z żartu z grubej rury. Pokazałem na swoje pośladki:

– Pupa! Ptaszek i pupa!

Pokiwał głową i po chwili znów słuchał radia. Wskazałem na jego własne dupsko i pokazałem, jak coś stamtąd wychodzi. Spojrzałem na niego pytająco. Odchrząknął. Zamarłem i czekałem w napięciu. Lecz dalej nic. I cisza. Zirytowany popchnąłem chłopaka i potrząsnąłem nim.

– To się nazywa srać! Powiedz: srać!

Spokojnie oswobodził się z mojego uścisku. Zakaszłał i jakby wygiął język w ustach, żeby stał się miękki.

– *Soifa* – powiedział.

Wstrzymałem oddech. Po raz pierwszy usłyszałem jego głos. Jak na chłopięcy głos, był dość niski, zachrypnięty. Niezbyt piękny.

– Co powiedziałeś?

– *Donu al mi akvon.*

I jeszcze raz. Na dłuższą chwilę zupełnie mnie zatkało. Niila mówił! Zaczął mówić, ale ja nie rozumiałem z tego ani słowa.

Wstał z godnością, podszedł do zlewu i wypił szklankę wody. Potem poszedł do siebie.

Stało się coś bardzo ważnego. W swej niemocie, w swym odosobnionym lęku Niila zaczął tworzyć własny język. Bez rozmawiania, bez konwersacji wymyślił słowa, zaczął je łączyć ze sobą i budować zdania. A może nie tylko on sam. Być może leżało to głębiej, zaszyte gdzieś w najgłębszych warstwach podświadomości. Prastary język. Bardzo dawne, zlodowaciałe wspomnienie, które pomału tajało.

I nagle role się zamieniły. Zamiast uczyć Niilę mówić, sam stałem się jego uczniem. Siedzieliśmy w kuchni, mama zajmowała się ogrodem, radio grało.

– *Ci tio estas sego* – powiedział i wskazał na krzesło.

– *Ci tio estas sego* – powtórzyłem.

– *Vi nomigas Matti* – wskazał na mnie.

– *Vi nomigas Matti* – powtórzyłem posłusznie.

Gwałtownie potrząsnął głową.

– *Mi nomigas!*

– *Mi nomigas Matti* – poprawiłem się. – *Vi nomigas Niila.*

Cmoknął podniecony. W jego języku były reguły, był porządek. Nie można było mówić nim byle jak.

Zaczęliśmy używać go jako naszego sekretnego języka, urósł i stał się przestrzenią, która była tylko nasza, gdzie mieliśmy spokój. Dzieciaki z naszej ulicy zazdrościły i stały się podejrzliwe, ale to tylko powiększało nasze zadowolenie. Mama i tata niepokoiili się i myśleli, że mam jakąś wadę wymowy, ale lekarz, do którego zadzwonili, powiedział, że dzieci często mają swój wymyślony język, ale to wkrótce powinno minąć.

Natomiast u Niili knebel w końcu puścił. Poprzez niby-język przewyciężył swój strach przed mówieniem, a niedługo później zaczął mówić też po szwedzku i po fińsku. Dużo rozumiał i posiadał już spory bierny zasób słów. Trzeba je było jedynie ubrać w dźwięki, wygimnastykować ruchy ust. To jednak okazało się dużo trudniejsze, niż można było przypuszczać. Przez długi czas dźwięki, które wydawał, brzmiały bardzo dziwnie, podniebienie zmagало się ze wszystkimi szwedzkimi samogłoskami i fińskimi dyftongami, a wargi ociekały śliną. Później jako tako dało się go zrozumieć, ale nadal najchętniej trzymał się naszego sekretnego języka. To tu czuł się u siebie. Gdy w nim rozmawialiśmy, rozluźniał się, a ruchy ciała stawały się lżejsze i płynniejsze.

Pewnej niedzieli w Pajali wydarzyło się coś niezwykłego. Kościół wypełnił się po brzegi. Była to zwyczajna msza święta, odprawiał ją jak co tydzień pastor Wilhelm Tawe. Normalnie byłoby jeszcze dużo miejsca, ale tym razem kościół był przepełniony.

Chodziło o to, że mieszkańcy Pajali po raz pierwszy w życiu mieli zobaczyć najprawdziwszego, żywego Murzyna.

Zainteresowanie było tak wielkie, że poszli nawet tata z mamą, a oni rzadko facygowali się tam częściej niż na pasterkę. W ławce przed nami siedział Niila, jego rodzice i całe rodzeństwo. Tylko raz odwrócił się i spojrzał na mnie znad oparcia, ale natychmiast dostał silnego kuksańca od Isaka. Zebrani szeptali i szemrali. Byli tam i urzędnicy, i robotnicy leśni, a nawet kilku komunistów. Temat rozmów był oczywisty. Zastanawiano się, czy Murzyn jest naprawdę czarny, czarny jak smoła, tak jak muzycy jazzowi na okładkach płyt. A może jest tylko brązowawy.

Gdy zabrzmiały dzwony, otworzyły się drzwi zakrystii i wyszedł Wilhelm Tawe. Za swoimi okularami w czarnych oprawkach wydawał się nieco spięty. A za nim, z tyłu, też w szacie liturgicznej i w afrykańskim mieniącym się płaszczu, tak...

Czarny jak smoła! Wśród nauczycielek ze szkoły niedzielnej rozległ się szmer. Ani cienia brązu, już prędzej granatowoczarny. Tuż obok Murzyna dreptała stara chuda diakonisa o żółtej cerze, która przez wiele lat była misjonarką. Mężczyźni pokłonili się przed ołtarzem, a kobieta dygnęła. Następnie Tawe rozpoczął mszę, witając wszystkich zgromadzonych, a szczególnie gościa z daleka, z ogarniętego wojną Konga. Tamtejsze parafie chrześcijańskie usilnie potrzebowały pomocy materialnej, więc ofiary złożone na tacę miały być w całości przeznaczone dla kongijskich braci i sióstr.

Rozpoczęły się obrzędy mszy świętej. Wszyscy się gapili, nie mogli się napatrzeć. Głos Murzyna dał się usłyszeć dopiero podczas psalmów. Znał melodie, pewnie w Afryce mają podobne psalmy. Śpiewał w swoim narzeczu, głębokim i jakby zapalczywym głosem, a cały kościół śpiewał coraz ciszej, aby móc go usłyszeć. Gdy już nadszedł czas na kazanie, Tawe dał znak. Stało się wówczas coś niesłychanego, Murzyn i diakonisa weszli na ambonę razem.

Niepokój ogarnął parafian, to były lata sześćdziesiąte i nadal uważano, że kobieta powinna milczeć w zgromadzeniu. Tawe natychmiast pospieszył z uspokajającym wyjaśnieniem, iż diakonisa będzie tylko tłumaczyć. Na ambonie zrobiło się nieco ciasno, gdy ostrożnie wcisnęła się obok postawnego obcokrajowca. Pot spływał jej obficie spod diakońskiego kapelusza, chwyciła mikrofon i rzucała nerwowe spojrzenia na zebranych. Murzyn ogarniał spokojnym

wzrokiem cały kościół. Jego wzrost był dodatkowo podkreślony przez szpiczasty, złoto-niebieski kapelusz. Twarz miał tak ciemną, że widać było tylko błyskające białka oczu.

Potem zaczął przemawiać. W języku bantu. Bez mikrofonu. Prawie wołał, głośno i zachęcająco, jakby szukał kogoś w dżungli.

– Dziękuję Panu, dziękuję Panu Bogu mojemu – tłumaczyła diakonisa.

Po czym upuściła mikrofon, jęcząc pochyliła się do przodu i spadłaby z ambony, gdyby Murzyn jej nie chwycił.

Najszybciej ze wszystkich zareagował kościelny. Wspiął się pospiesznie na schody, zarzucił sobie jej kościste ręce na potężny kark i przeniósł do przejścia.

– Malaria – wyjęczała.

Mdlała w ataku gorączki, jej skóra była ciemnożółta. Kilku parafian pomogło wynieść ją z kościoła do samochodu, który popędził do szpitala.

Murzyn i parafianie pozostali na swych miejscach. Wszyscy mieli mętlik w głowie. Tawe wysunął się do przodu, aby zabrać głos, ale Murzyn nadal stał na ambonie. Jeśli przejechał przez pół kuli ziemskiej, to poradzi sobie i z tym. W imię Boże.

Po krótkim namyśle przeszedł z języka bantu na swahili. Język, którym posługuje się wiele milionów ludzi, rozprzestrzeniony wprawdzie na kontynencie afrykańskim, był niestety raczej nieznan w Pajali. Odpowiedziały mu puste spojrzenia. Znów zmienił język, tym razem na kreolski. Dialekt był tak osobliwy, że nawet nauczycielka francuskiego nie rozumiała jego wymowy. Coraz bardziej zdenerwowany przeszedł w kilku zdaniach na arabski. Ogarnięty zwątpieniem, próbował jeszcze flamandzkiego, którego liźnął trochę w podróżach ekumenicznych do Belgii.

Zero kontaktu. Nikt nie rozumiał ni w ząb. W tych odległych stronach obowiązywał tylko szwedzki albo fiński.

W zupełnej desperacji zmienił język po raz ostatni. Wyteńczył się tak, że głos aż odbił się od chóru, obudził babcię, która zdążyła przysnąć, przeraził niemowlę, które zaczęło płakać, a karty mszału zaszeleściły.

Wtedy Niila w ławce przede mną wstał i odkrzyknął coś w odpowiedzi.

W kościele zapadła grobowa cisza. Wszyscy zgromadzeni odwrócili się i wpatrywali w bezczelnego dzieciaka. Murzyn zwrócił błyszczące białka oczu na chłopca na dole, akurat w tym momencie, gdy Isak usadził syna bolesnym szturchnięciem. Afrykanin podniósł swą dłoń w powstrzymującym geście, skóra po wewnętrznej stronie była dziwnie biała. Isak poczuł na sobie spojrzenie i puścił syna.

– *Cu vi komprenas kion mi diras?* – zawołał Murzyn.

– *Mi komprenas cion* – odparł Niila.

– *Venu ci tien, mia knabo. Venu ci tien al mi.*

Niila niepewnie przecisnął się między ławkami, wyszedł i stanął w przejściu. Przez moment wyglądało to tak, jakby chciał uciec. Afrykanin zaprosił go bliżej gestem jasnej dłoni. Niila zrobił kilka chwiejnych kroków pod spojrzeniami wszystkich obecnych. Przygarbiony zbliżał się do ambony – nieśmiały chłopiec nierówno ostrzyżony na jeża. Murzyn pomógł mu wejść po schodach. Niila ledwie coś widział ponad krawędzią, ale Afrykanin uniósł go swymi silnymi rękami. Trzymał go w objęciach jak baranka. Drżącym głosem na nowo podjął swoje przerwane kazanie:

– *Dio nia, kiu auskultas niajn pregojn...*

– Panie nasz, Ty słyszysz nasze modlitwy – tłumaczył Niila bez zająknięcia. – Dziś zesłałeś nam chłopca. Dziękujemy Ci, Panie, dziękujemy Ci...

Niila rozumiał wszystko, co mówił Murzyn. Mieszkańcy Pajali słuchali jak sparaliżowani, gdy chłopiec tłumaczył całe kazanie. Rodzeństwo i rodzice Niili siedzieli z przerażonymi minami jak skamieniali. Byli w szoku, zrozumieli, że Boży cud zdarzył się na ich oczach. W ławkach liczni wybuchnęli płaczem w uniesieniu, wszyscy byli poruszeni do głębi. Szmery zachwytu rozprzestrzeniały się, aż cały kościół szumiał. To znak! To cud!

Ja sam nie potrafiłem tego wszystkiego pojąć. Jak Murzyn nauczył się naszego tajnego języka? Bo właśnie tym językiem się posługiwali, on i Niila.

O tym wydarzeniu dużo się mówiło, przede wszystkim w kościelnych kręgach. Jeszcze przez długi czas dzwonili i z gazet, i telewizji. Chcieli zrobić wywiad z chłopcem, ale Isak zabraniał im.

Niile spotkałem dopiero kilka dni później. Wśliznął się do naszej kuchni pewnego popołudnia, nadal wyglądał na przejętego. Mama zrobiła nam kanapki, zajadaliśmy je ze smakiem. Od czasu do czasu Niila zamieniał się w słuch.

W tle jak zwykle gadało radio. W pewnej chwili coś mnie tknęło i zrobiłem głośniej.

– *Gis reaudio!*

Zamarłem. Nasz tajny języki Krótki sygnał programu, a później głos prowadzącego:

– Właśnie usłyszeli państwo kolejny odcinek naszego kursu języka esperanto.

Kurs esperanto. Nauczył się esperanto z naszego radia.

Ostrożnie odwróciłem się w stronę Niili. Siedział ze wzrokiem zatopionym w dal.

ROZDZIAŁ 3

O dramatycznych wydarzeniach w magazynie Szkoły Dziergania oraz o nieoczekiwanym spotkaniu, kiedy to uprzedzamy bieg wydarzeń

Tuż obok parku stał duży, przypominający dwór, drewniany budynek z mnóstwem okien na frontowej ścianie. Był to dawny internat, gdzie obecnie dziewczęta kształciły się w gotowaniu i robótkach ręcznych. Zamiast być bezrobotnymi, nastolatki zawsze przecież mogły zostać dobrze wykształconymi gospodyniami domowymi. Przy szkole, którą my, dzieciaki, nazywaliśmy Szkołą Dziergania, znajdował się stary, pomalowany na czerwono magazyn pełen żelastwa i starych pomocy szkolnych, w których uwielbialiśmy grzebać. W jednej ze ścian szczytowych kilka desek było obluzowanych i można się było tamtędy precyzyjnie przesuwać do środka.

Był to upalny dzień pełni lata. Skwar wisiał ciężko nad wsią, zapach siana z parkowych łąk był mocny jak herbaciana esencja. Przemknąłem samotnie pod ścianą magazynu. Niespokojnie wypatrywałem woźnego. My, maślaki, baliśmy się go. Ten atletyczny facet w pochłapanym farbą kombinezonie nie cierpiał myszkujących dzieciaków. Zawsze pojawiał się znikąd z oczami jak radary. Nosił drewniaki, które jednym kopnięciem zzuwał z szybkością błyskawicy, zanim kilkoma tygrysimi susami dopadł ofiary. Żaden urwis nigdy mu się nie wywinął. Woźny zaciskał pięści niczym obcegi wokół kręgów szyjnych i podnosił, aż głowa niemal oddzielała się od reszty ciała. Kiedyś widziałem, jak jeden z chłopaków z sąsiedztwa, przebojowy wyrostek, który w niewłaściwym miejscu z piskiem opon zajechał motorowerem, płakał po tym jak dziecko.

Mimo to podjąłem ryzyko. Nigdy wcześniej nie byłem w magazynie, ale słyszałem opowieści o tych, którzy się odważyli. W napięciu, wyężając wzrok, rozglądałem się wokół. Panowała cisza. Wszystko wydawało się spokojne. Szybko podczołgałem się, odchyliłem deski, wetknąłem głowę przez ciemny otwór i wpełzłem do środka.

Po świetle słonecznym wszystko teraz stało się czarne jak smoła. Ośleple oczy puchły od ciemności. Przez długą chwilę stałem całkiem nieruchomo. Później stopniowo zacząłem rozróżniać kontury. Stare regały, uszkodzone ławki, stos drewna, sterta cegieł. Pęknięty sedes bez klapy. Pudła z resztkami kabli i izolatorami. Zacząłem się ostrożnie poruszać, uważałem, by niczego nie potrącić. Pachniało sucho, trocinami, zaprawą murarską i rozgrzaną, miękką od słońca papą na dachu. Prześlizgiwałem się dalej, prawie pływałem w głuchej ciemności. Było oliwkowozielono, jak pod drzewami w świerkowym lesie. Poruszałem się jak między śpiącymi. Oddychałem cicho przez nos, czułem łaskoczący kurz. Miękkie kocie podeszwy moich płóciennych butów były bezgłośnie na betonowej posadzce.

Stop! Przedemną wypiętrzył się jakiś olbrzym. Wzdrygnąłem się, widząc czarną sylwetkę w ciemnościach. Cały zamarłem.

Nie był to jednak woźny. Tylko stary piec. Wysoki i ciężki od pancерnej blachy. Gruby jak gosposia. Drzwiczki z żeliwa. Otworzyłem największe z nich. Zajrzałem do zimnego, czarnego otworu. Cicho krzyknąłem. Głos tam w środku dźwięczał podwójnie. Konstrukcja była pusta – stalowa panna, której zostały tylko wspomnienia trawiącego wewnętrznego ognia.

Ostrożnie wetknąłem głowę przez otwór. Błądziłem ręką po wewnętrznych ściankach i czułem odpadające płaty rdzy albo może sadzy. W środku pachniało metalem, rdzą i dawnym ogniem. Zastanawiałem się przez chwilę, zbierałem odwagę. Potem wpełzłem przez wąski otwór.

Byłem w niej. Siedziałem w kucki w jej okrągłym brzuchu, skulony jak płód. Próbowałem wstać, ale uderzyłem się w głowę. Cicho zamknąłem za sobą drzwiczki, przyciągnąłem, aż zniknął ostatni słaby promień światła.

Otoczony. Zawarła się wokół mnie. Chroniła niczym brzemenna swymi kuloodpornymi stalowymi ściankami. Byłem w niej w środku, byłem jej dzieckiem. Odczucie było podniecająco wstrętne. Bezpieczeństwo połączone z dziwnym poczuciem wstydu. Zrobiłem coś zakazanego. Zdradziłem kogoś, pewnie moją matkę. Z zamkniętymi oczami skuliłem się i oparłem brodę na kolanach. Ona była taka zimna, a ja byłem ciepły i młody – mały, tłący się kłębek żaru. Gdy nadstawiłem ucha, doszło do mnie jej szeptanie. Cichy szum przez szyber albo jakiś odcięty koniec rury, czułe słowa pocieszenia i miłości.

Wtedy dał się słyszeć hałas. Do magazynu wszedł ciężkimi krokami woźny. Był wściekły i groził laniem wszystkim cholernym gówniarzom. Wstrzymałem oddech i słyszałem, jak, szukając, chodził dookoła, podnosił meble, kopał i potraçał rupiecie, zupełnie jakby polował na szczury. Nosiło go po graciarni i straszył, na pewno zauważył mnie ktoś ze Szkoły Dziergania i wypaplał. Woźny rzucał choleraми i po szwedzku, i po fińsku, dybał na moje życie w obu językach.

Tuż przy piecu zatrzymał się i jakby węszył w powietrzu. Zupełnie jakby coś wyczuł. Usłyszałem skrobanie w blachę, zrozumiałem, że oparł się o nią. Jedyne, co nas teraz dzieliło, to trzy centymetry żelaznej skóry.

Sekundy wlokły się bez końca. Później usłyszałem jeszcze jedno skrobnięcie i oddalające się kroki. Drzwi magazynu zatrzasnęły się. Wciąż siedziałem w środku. Nieruchomo czekałem, a minuty upływały. I nagle znów usłyszałem dudnienie drewniaków. Woźny tylko udawał, że sobie poszedł, żeby wywabić zwierzynę z całą przebiegłością dorosłego człowieka. Tym razem dał za wygraną, teraz naprawdę sobie poszedł, słyszałem na zewnątrz oddalające się po żwirze kroki.

Wreszcie odważyłem się zmienić pozycję. Stawy bolały, pchnąłem drzwiczki. Zaklinowały się. Spróbowałem mocniej. Ani drgnęły. Oblała mnie fala zimnego potu. Przerażenie urosło do paniki. Woźny musiał przypadkowo przesunąć rygiel. Byłem w potrzasku.

Gdy pierwszy paraliż minął, zacząłem krzyczeć. Echo wzmacniało mój głos, zatkałem uszy palcami i darłem się raz po raz.

Nikt jednak nie przyszedł.

Zachrypnięty i wyczerpany osunąłem się bezwładnie. Czy tu umrę? Umrę z pragnienia, uschnę w tym sarkofagu?

Pierwsza doba była okropna. Mięśnie bolały, łydki zdrętwiały w skurczach. Plecy zeszywniały, bo cały czas musiałem siedzieć skulony w kłębek. Pragnienie doprowadzało mnie niemal do szaleństwa. Wilgoć z mojego ciała osiadała kroplami na pokrytych sadzą ściankach, czułem jak kapią i próbowałem je zlizywać. Smakowały metalem, a pragnienie stało się od tego tylko jeszcze bardziej nieznośne.

W drugiej dobie przyszło osłabienie. W północy na długie chwile wpadałem w odrętwienie. Pustka wydawała się wyzwoleniem.

Znikło poczucie czasu, zapadałem w miłe zapomnienie i wychodziłem z niego, rozumiałem, że umieram.

Gdy się ocknąłem następnym razem, stwierdziłem, że upłynęło sporo czasu. Zielonkawe światło sączące się przez dławik osłabło. Dni stawały się krótsze. Noce były dużo chłodniejsze, wkrótce też nastały mrozy. Utrzymywałem ciepło skacząc jak żaba małymi, szarpanymi ruchami.

Niewiele pamiętam z zimy. Zwinąłem się w kłębek i spałem przez większość czasu. Tygodnie znikają w zimowym śnie. Gdy wreszcie powróciło wiosenne ciepło, odkryłem, że urosłem. Ubranie uwierało i stało się niewygodne. Szamocząc się strasznie, zdjąłem je i dalej czekałem nagi.

Stopniowo moje ciało zajmowało coraz więcej z ograniczonej przestrzeni. Musiało już upłynąć parę lat. Wilgoć sprawiła, że stal rdzewiała, miałem jej odpadające płatki w zmierzwiionych włosach. Już nie mogłem skakać, tylko kołysałem się na boki jak kaczka. Gdyby nawet drzwiczki otworzyły się teraz, wyjście i tak byłoby zbyt wąskie.

Z czasem to wszystko stawało się nie do wytrzymania. Nawet na boki nie mogłem się już ruszać. Głowa była wciśnięta między kolana. Barki nie mogły rosnąć wszcz.

Przez kilka tygodni myślałem, że już po wszystkim.

To już koniec. Całkowicie wypełniłem pojemność pieca. Nie było już miejsca, aby oddychać, z trudnością łapałem powietrze tylko dzięki niewielkim ruchom. Mimo to, wciąż rosłem.

I pewnej nocy stało się. Słaby trzask. Jakby ktoś stłukł lustro. Krótka przerwa, a później długie trzeszczenie od strony moich pleców. Gdy naprężyłem mięśnie, ścianka puściła pod naporem. Wygięła się i rozprysła chmurą odłamków, a ja wystrzeliłem na świat.

Nagi, nowo narodzony, czołgałem się wśród rupieci. Stałem na wiotkich nogach i przytrzymałem się półki. Zdziwiony spostrzegłem, że świat się skurczył. Nie, to ja stałem się dwa razy wyższy. Wokół genitaliów urosły włosy. Stałem się dorosły.

Na zewnątrz panowała przenikliwie mroźna zimowa noc. Nie było widać nikogo. Brnąłem przez śnieg, prawie biegłem, boso przez wieś, wciąż nagi. Na skrzyżowaniu między sklepem z farbami a kioskiem leżało czworo młodych ludzi, na środku ulicy. Zdawali się spać. Stałem i oglądałem ich zdziwiony. W świetle latarni pochyliłem się nad nimi.

Jednym z nich byłem ja.

Z dziwnym uczuciem położyłem się obok samego siebie na pokrytej lodem jezdni. Mroziła skórę, lód topił się i zamieniał w wilgoć.

Zdecydowałem się czekać. Już czas na nich. Powinni się obudzić.

ROZDZIAŁ 4

O tym jak dzieciaki z wioski wkraczają w progi Starej Szkoły, uczą się o południowej Szwecji oraz jak odrabianie lekcji diabli biorą

Pewnego pochmurnego sierpniowego poranka zabrzmiał gong i zacząłem pierwszą rundę w szkole. Klasa pierwsza. Uroczyste wmaszerowanie z mamą do wysokiego, żółtego budynku z drewna, w którym uczyły się młodsze klasy, wiekowej szkoły, która z fantazją ochrzczona została mianem Starej Szkoły. Poprowadzono nas skrzypiącymi schodami do klasy na piętrze, kroczyliśmy po szerokich poźółkłych deskach podłogi pokrytych grubą, błyszczącą warstwą pokostu, każdemu pokazano jego miejsce w antycznej szkolnej ławce z otwieranym drewnianym blatem, szufladką na pióra i otworem na kałamarz. Gdzieniedzie widać było znaki wydłubane nożami przez niezliczone pokolenia uczniów. Mamy wymaszerowały, a my zostaliśmy. Dwadzieścioro dzieci z chwiejącymi się mlecznymi zębami i knykциями pełnymi kurzajek. Niektóre miały wady wymowy, inne okulary, wiele mówiło w domu po fińsku, niejedno wychowywano za pomocą lania, prawie wszystkie były nieśmiałe, pochodziły z robotniczych domów i wiedziały już od początku, że to nie ich miejsce.

Nasza nauczycielka była po sześćdziesiątce, miała okulary w metalowych okrągłych oprawkach, kok w siatce upięty szpilkami na karku i długi zagięty nos, co sprawiało, że była podobna do sowy. Zawsze nosiła wełnianą spódnicę i bluzkę, do tego często sweter na guziki, który zapinała do połowy i miękkie czarne buty przypominające kaptcie. Łagodnie, aczkolwiek stanowczo przystąpiła do swoich obowiązków, aby z tych niedbale wyciosanych klocków drewna wyrzeźbić coś, co da sobie radę w szwedzkim społeczeństwie.

Na początku każdy miał podejść do tablicy i napisać swoje imię. Niektórzy potrafili, inni nie. Na podstawie tego naukowego testu pani podzieliła klasę na dwie grupy: pierwszą i drugą. Do pierwszej trafili ci, którzy zdali – większość dziewczynek plus kilku chłopców z rodzin urzędniczych. Do drugiej trafiła reszta, między innymi ja i Niila. I choć mieliśmy dopiero po siedem lat, stempel już znajdował się dokładnie tam, gdzie powinien.

Z przodu sali, tuż pod sufitem, wisały Litery. Budząca grozę armia zakrętasów i słupków, od jednej ściany do drugiej. To z nimi mieliśmy się zmagać, pokonywać jedną po drugiej, rozkładać na łopatki w naszych zeszytach i zmuszać do wydawania dźwięku. Dostaliśmy też ołówki, kredki w pudełkach, elementarze o Li i Lo i sztywną tekturkę z farbami akwarelowymi, które przypominały kolorowe landrynki. I tak rozpoczęła się praca. Trzeba było wyłożyć papierem wnęki pod blatami i obłożyć książki, zaczęło się więc gwałtowne szeleszczenie rulonami woskowanego papieru, które przynieśliśmy z domu, i zaciekle klekotanie tępych szkolnych nożyczek. Na koniec, po wewnętrznej stronie otwieranego blatu został przymocowany taśmą klejącą plan lekcji. Nikt nie mógł się połapać we wszystkich tych tajemniczych tabelkach, ale plan był częścią Ładu i Porządku i oznaczał, że dzieciństwo się skończyło. Teraz tydzień miał sześć dni, szkoła od poniedziałku do soboty, a siódmego dnia jeszcze szkółka niedzielna dla tych, którym było mało.

A zatem Ład i Porządek. Ustawić się w rzędzie przed drzwiami klasy po dzwonku na lekcję. Z panią na czele iść gęsiego do stołówki. Podnieść rękę, gdy chce się mówić. Podnieść rękę, gdy

chce się siku. Odwrócić kartkę dziurkowanym bokiem do okna. Wyjść na przerwę po dzwonku na przerwę. Wrócić na lekcję natychmiast po dzwonku na lekcję. Wszystkie nakazy podane z typową szwedzką uprzejmością; tylko czasami zdarzało się, że silne palce nauczycielki chwyciły za czuprynę kogoś bezczelnego z drugiej grupy. Lubiliśmy panią. Ona naprawdę wiedziała, jak stać się dorosłym.

Z przodu, przy katedrze, stała brązowa fisharmonia. Używano jej podczas porannych apeli. Wtedy pani siadała na taborecie i zaczynała zawzięcie wciskać pedały. Jej grube łydki w beżowych podkolanówkach napinały się, okulary zaparowywały, rozcapierzała pomarszczone palce na klawiszach i uderzała akord. Wibrujący sopran i ostre spojrzenia na boki, by sprawdzić, czy wszyscy śpiewają. Światło słońca przez szybki okien, w ławkach pod samymi oknami żółto i ciepło. Zapach kredy. Mapa Szwecji. Mikael, któremu często leciała krew z nosa, siedzący z głową odchyloną do tyłu i kawałkiem ligniny. Kennet, który nigdy nie mógł usiedzieć spokojnie. Annika, mówiąca szeptem, w której kochały się wszystkie chłopaki. Stefan, świetny w nogę, ale trzy lata później zabił się, wpadając na drzewo na stoku narciarskim Yllästunturi. I Torę, i Anders, i Eva, i Åsa, i Anna-Karin, i Bengt, i cała reszta.

W Pajali było się bez szans, to ustalono już na początku. W atlasie najpierw była Skania, wydrukowana w bardzo dużej skali, cała upstrzona czerwonymi liniami, które oznaczają drogi, i czarnymi kropkami, które oznaczają miejscowości. Później inne krainy już w normalnej skali, coraz dalej na północ, im dłużej przewracało się kartki. A na samym końcu – północna Norrlandia, wydrukowana w skali bardzo małej, żeby się cała zmieściła, a mimo to niewiele było tam linii czy kropek. Prawie całkiem na górze mapy leżała Pajala, otoczona brązową plamą tundry, tam właśnie mieszkaliśmy. Gdy wracało się do pierwszych stron, widać było, że jeśli chodzi o powierzchnię, Skania zajmowała tyle miejsca, co cała północna Norrlandia, z tym, że zaznaczona była na zielono, ze względu na piekielnie żyzną glebę. Uplłynęło dużo czasu, zanim pojąłem system skal i dotarło do mnie, że Skania, cała nasza południowa kraina, od krańca do krańca, spokojnie zmieściłaby się między Haparandą a Boden.

Uczyliśmy się o wzgórzu Kinnekulle, wysokim na 306 metrów nad poziom morza. Lecz ani słowa o Käymävaara o wysokości 348 metrów. Musieliśmy wyrecytować Viskan, Ätran, Spyan i Gallan, czy jak tam się one nazywają, cztery największe rzeki, które odprowadzają wody z wyżyny na południu Szwecji. Wiele lat później zobaczyłem je na własne oczy. Musiałem zatrzymać samochód, wysiąść i przetrzeć oczy. Rowy. Wąskie leśne strumyki, które nie podołałyby spławianiu drewna. Nie były większe od potoków Kaunisjoki czy Liviöjoki.

Taką samą obcość odczuwałem w dziedzinie kultury.

– Czy spotkałeś pana Kurkę

Pod jałowcem tam na górze?

Na to pytanie z dziecięcej piosenki mogłem krótko odpowiedzieć: nie. Ani pana Kurki, ani pani Kurki, ani żadnego z ich krewnych o żółtych kapeluszach.

Czasem dostawaliśmy z banku „Grosze Szczęścia” – gazetkę reklamową – odłamki z wiekowego dębu, symbolu kasy oszczędnościowej Sparbanken. Dowiedzieliśmy się, że jeśli oszczędza się pieniądze, rosną one jak to drzewo. Ale dęby wcale nie rosły w okolicach Pajali, więc weszliśmy w reklamie coś podejrzanego. To samo z krzyżówką towarzyszącą „Groszom”, gdzie często pojawiała się wysokie, podobne do cyprysa drzewo na osiem liter. Prawidłowa odpowiedź: jałowiec. Przecież jałowiec za nic tak nie wyglądał. Jest poplątanym rozłożystym krzakiem wysokim do kolan.

Lekcje muzyki same w sobie były rytuałem. Pani stawiała na katedrze niezgrabny szpulowy magnetofon, ogromną skrzynię z dźwigniami i pokrętłami, nastawiała taśmę i rozdawała śpiewniki. Potem zerkała na klasę swymi sowimi oczami i wciskała włącznik. Szpule przewijały

taśmę, a z głośników dobiegał dziarski zwiastun. Potem słyhać było energiczny kobiecy głos, który mówił po sztokholmsku. Pokrzykując ze swadą, prowadził perfekcyjną lekcję muzyki! Uczniowie byli ze szkoły muzycznej w Načka. Do dziś zastanawiam się, dlaczego zmuszano nas do słuchania tych południowców, którzy czystymi anielskimi głosami śpiewali o przylaszczkach, pierwiosnkach i innej tropikalnej roślinności. Czasem ktoś z uczniów szkoły w Načka śpiewał solo, a najgorsze było to, że jeden z chłopców miał na imię tak samo jak ja.

– Proszę bardzo, Mattias, powtórz partię pierwszego głosu – szczebiotała pani, a dziewczęco brzmiący chłopięcy sopran intonował głosem czystym jak dzwoneczek. Wtedy cała klasa obracała się i gapiała na mnie, szczyrzyła zęby i szyderczo parskała. Chciałem zapaść się pod ziemię.

Po kilku pedagogicznych powtórkach mieliśmy śpiewać razem z taśmą, zespołem „Hesa Fredrik” i Wiedeńskim Chórem Chłopięcym. Oczy pani przybierały bardzo srogi i czujny wyraz, więc dziewczynki nieśmiało zaczynały nucić, przypominało to szum wiatru w kępie traw. Ale my, chłopaki, siedzieliśmy niemi jak ryby, a gdy omiatał nas radar nauczycielki, poruszaliśmy wargami – nic więcej z tego nie było. Śpiewanie było niegodne mężczyzny. *Knapsu*. Milczeliśmy zatem.

Z czasem zrozumieliśmy, że nasze rodzinne strony właściwie nie należą do Szwecji. Dołączyliśmy jakby przez przypadek. Północny skrawek ziemi na doczepkę, trochę posępnych mokradeł, gdzie można natknąć się na ludzi, którzy tylko po części są Szwedami. Byliśmy inni, odrobinę gorsi, odrobinę niewykształceni, odrobinę ubodzy duchem. Nie mieliśmy ani saren, ani jeży, ani słowików. Nie mieliśmy żadnych znanych osobistości. Nie mieliśmy ani wesołych miasteczek z kolejkami górskimi, ani sygnalizacji świetlnej, ani zamków czy dworów szlacheckich. Mieliśmy tylko niezliczone ilości komarów, tornedalsko-fińskie przekleństwa i komunistów.

To było dorastanie w niedostatku. Nie w sensie materialnym, oczywiście. Materialnie radziliśmy sobie. Lecz w sensie tożsamości. Byliśmy nijacy. Nasi rodzice byli nijacy. W szwedzkiej historii nasi przodkowie znaczyli zero i nic. Naszych nazwisk nie potrafiono przeliterować, a tym bardziej nie potrafili ich wymówić przyjeżdżający na zastępstwo nieliczni nauczyciele z prawdziwej Szwecji. Nikt z nas nie odważył się napisać do programu „Dozwolone do lat trzynastu”, ponieważ Ulf Elfving myślałby, że jesteśmy Finami. Nasze rodzinne wioski były zbyt małe, by widać je było na mapach. Nie mogliśmy sami się utrzymać, tylko żyliśmy z dotacji. Widzieliśmy, jak umierają rodzinne gospodarstwa, a łąki porastają samosiejki, oglądaliśmy ostatnie spalanie drewna na rzece Torneälven, widzieliśmy, jak czterdziestu silnych robotników leśnych zastąpiono jedną spalinową wyciągarką, widzieliśmy, jak nasi ojcowie odwieszali rękawice na gwóźdź i ruszali w drogę, znikali na tydzień, bo dojazdy do kopalni w Kirunie trwały długo. Mieliśmy najgorsze w całym królestwie wyniki w ogólnokrajowych testach. Nie umieliśmy się zachować przy stole. W domu nosiliśmy czapki. Nigdy nie zbieraliśmy grzybów, unikaliśmy warzyw i nigdy nie mieliśmy rakowych uczt w sierpniu. Nie potrafiliśmy zabawiać rozmową, deklamować, pakować prezentów ani wygłaszać mów. Chodziliśmy, stawiając stopy palcami na zewnątrz. Kłóciliśmy się z fińskim akcentem, nie będąc Finami, kłóciliśmy się ze szwedzkim akcentem, nie będąc Szwedami.

Byliśmy niczym.

Istniało tylko jedno wyjście. Jedna jedyna możliwość, jeśli chciało się zostać czymś. Mianowicie: wyjechać. Nauczyliśmy się wiązać z tym nadzieje, przekonani, że to nasza życiowa szansa i byliśmy posłuszni. W Vasteras można nareszcie być człowiekiem. W Lund. W Södertälje. W Arvika. W Borås. To była wielka ewakuacja. Fala, która wyludniła nasze osady, co dziwne, zdawała się zupełnie dobrowolna. Niewidzialna wojna.

Jedynymi, którzy wracali z południa, byli ci, którzy umarli. Ofiary wypadków. Samobójcy. Z czasem również ofiary AIDS. Ciężkie trumny zakopywane między brzozaami w zamrożonej ziemi pajalskiego cmentarza. Znowu w domu. *Kotimaassa*.

Dom Niili znajdował się w jednej z najstarszych części Pajali. Miał widok na rzekę. Był to przestronny, solidnie zbudowany, drewniany dom z końca dziewiętnastego wieku, o dużych oknach ze szprosami wzdłuż frontowej ściany. Jeśli bliżej się przyjrzeć fasadzie, można było zobaczyć spoinę po dobudowywaniu bliźniaczego domu. Pozostałością były tylko dwa kominy dwóch oddzielnych pieców, dom był zbyt duży, by ogrzać go tylko jednym źródłem ciepła. Za czasów świetności laestadianizmu dom był naturalnie szary, ale w latach czterdziestych przemaalowano ściany na ciemnoczerwono, a framugi na biało. Stare drewniane narożniki na zrab usunięto wedle współczesnej mody, aby domu nie mylono z przerośniętą szopą – ku rozpaczy konserwatorów i innych miłośników sztuki. Nad rzeką leżały nawożone przez tysiąclecia mułem wylewów łąki, dające obfite, mlekopędne siano. Właśnie w tym miejscu kilkaset lat temu jeden z pierwszych osadników postawił na ziemi swój plecak i wykarczował sobie działkę. Lecz od pewnego czasu nie kosiło się już łąk. Samosiejki wyrastały wszędzie saunowymi witkami. Miejsce tchnęło posępnością, upadkiem. Nikt nie czuł się tu mile widziany. Był tu chłód, jak u kogoś, kim w dzieciństwie pomiatano, kto skierował całą swą złość do środka.

Stodoła pozostała, z czasem przebudowano ją na szopę i garaż. Właśnie skończyliśmy lekcje i jechałem z Niilą do niego. Na jeden dzień zamieniliśmy się rowerami. On pożyczył mój, z siodełkiem w kształcie bochna i odchylną w tył kierownicą. Ja natomiast pedałowalem na jego Reksie „lekko jak na keksie” – tak właśnie krzyczeli za Niilą złośliwi trzecioklasiści. Gdy tylko dojechaliliśmy, Niila zaciągnął mnie do stodoły.

Wśliznęliśmy się na strych po stromych, ręcznie ciosanych schodach, wypolerowanych chodzącymi tędy przez stulecie stopami. Na górze panował półmrok, tylko jeden oszklony otwór wpuszczał do środka popołudniowe światło. Wszędzie piętrzyły się stopy rupieci, zniszczone meble, zardzewiała kosa, emaliowane wiadra i zwinięte chodniki zalatujące pleśnią. Zatrzymaliśmy się przy dłuższej ścianie. Przed nami wyrósł ogromny regał pełen książek o zniszczonych skórzanych grzbietach. Książki ku pokrzepieniu w wierze, zbiory kazań, pisma o historii Kościoła zarówno po szwedzku, jak i po fińsku, rząd za rządem. Nigdy nie widziałem tylu książek naraz, pomijając bibliotekę na poddaszu w Starej Szkole. W pewnym sensie czułem się nienaturalnie, po prostu nieswojo. Zdecydowanie za dużo książek. Kto da radę je wszystkie przeczytać? I dlaczego stoją tutaj, ukryte w stodole, jakby były napiętnowane?

Niila otworzył tornister i wyciągnął elementarz o Li i Lo. Mieliśmy zadane przeczytać kawałek, przewracał więc niedbale kartki niezdarnymi chłopięcymi palcami. Skupiony zaczął wymawiać głoskę po głosce i z nieskończonym wysiłkiem łączyć je w słowa. Potem sprzykrzyło mu się i z hukiem zatrasnął książkę. Następnie, zanim zdążyłem się połapać, cisnął ją gwałtownie w dół. Wylądowała tak, że róg okładki złamał się, uderzając o twarde deski podłogi.

Niepewnie popatrzyłem na Niilę. Śmiał się, na twarzy miał wypieki, swymi długimi kłami przypominał lisa. Wyjął z ogromnego regału katechizm, niewielką książkę w miękkiej okładce. Krnąbrnie zrzucił również to. Cienkie bibułkowe kartki zaszeleściły jak liście, zanim z praskiem upadły. Prędko tą samą drogą poleciało kilka tomów dzieł zebranych, brązowych opasłych cegieł, którym grzbiety rozklejały się z krótkim trzaskiem.

Niila spojrział na mnie zachęcająco. Poczułem, jak serce zaczęło mi walić w podnieceniu. Chwyciłem jakąś książkę. Wywaliłem ją i patrzyłem, jak wypadło z niej kilka furkoczających kartek, zanim grzmotnęła w zardzewiałą brzozę. Wyglądało to przekomicznie. W rosnącej ekstazie niszczyliśmy coraz więcej książek, podjudzaliśmy się nawzajem, wypróbowywaliśmy

podkrecone podania, kopaliśmy energicznie jak w futbolu, aż kartki wirowały i śmialiśmy się do rozpuku, a półki pustoszały.

Nagle stanął przed nami Isak. Szeroki w barach jak zapaśnik, czarny i oniemiały. Ani jednego słowa, tylko grube, mięsiste palce, które drżąc, rozpięły klamrę paska. Gwałtownym gestem kazał mi się odsunąć. Zmykałem niczym szczur, w dół po schodach i na zewnątrz. Ale Niila został. Gdy drzwi stodoły się zatrasnęły, usłyszałem, jak Isak spuszcza mu lanie.

Na moment podnoszę wzrok znad notatnika, który zacząłem zapisywać jeszcze w Nepalu. Pociąg zbliża się do Sundbyberg. Poranny tłok, zapach wilgotnych ubrań. W teczce mam swój nauczycielski skoroszyt z dwudziestoma pięcioma poprawionymi wypracowaniami. Lutowa plucha i jeszcze ponad cztery miesiące do jarmarku w Pajali. Zerkam przez okno. Wysoko nad trasą Huvudstaleden szybuje stado kawek, krąży i krąży podekscytowanym kołem.

– Mój wzrok powraca do Tornedalen.

ROZDZIAŁ 5

O niezdecydowanych zimowych żołnierzach, łańcuchach porachunków i sztuce uklepywania stoku narciarskiego

Codziennie, gdy kończyły się lekcje w Szkole Dziergania, hordy szesnasto-, siedemnastoletnich dziewczyn przechodziły obok naszego domu. Ładne babki. To były lata sześćdziesiąte: duża ilość tuszu i sztuczne rzęsy, mini i obcisłe wysokie kozaczki. Niila i ja mieliśmy w zwyczaju wdrapywać się na śnieżną zaspę przy naszym domu i patrzeć na nie. Plotkując, przechodziły obok grupkami, zawsze bez czapek, choćby było nie wiem jak zimno, by nie popsuć fryzur. Paliły mnóstwo i zostawiały za sobą wstrętne słodką mieszankę zapachów popielniczki i perfum, który do dziś kojarzę z pożądaniem. Czasami mówiły nam: cześć. Byliśmy wtedy okropnie zakłopotani i udawaliśmy, że budujemy fortecę ze śniegu. Bądź co bądź, jako siedmiolatek miało się już pewne zainteresowania. Powiedzieć, że było się napalonym, jest zupełnie nie na miejscu, to była raczej natrętna tęsknota. Bardzo chciałem je pocałować, być blisko. Łasić się jak mały kociak.

W każdym razie zaczęliśmy w nie rzucać śnieżkami. Myślę, że głównie po to, by dostrzegły w nas mężczyzn. Dziwne to, ale działało. Postawne szesnastoletnie walkirie czmychały jak renifery, piszcząc i krzycząc, osłaniając się torebkami. Całkiem im odbijało. Przecież rzucaliśmy tylko lekko zlepione kulki, które rzadko trafiały; miękkie śnieżne kleksy, spadając, wirowały jak grube wełniane rękawice. Lecz to wystarczyło, aby im zaimponować. Byliśmy siłą, z którą należy się liczyć.

Trwało to przez kilka dni. Gdy tylko wracaliśmy ze szkoły, przygotowywaliśmy zapas śnieżnych pocisków. Czuliśmy się wówczas jak zimowi wojownicy z Vittulajätkä, dwaj weterani naznaczeni bliznami, wysłani z zadaniem na obcy kontynent. Oczekiwanie łaskotało w dołku. Walki budziły w nas namiętności, które dopiero mogliśmy przeczuciwać. Z każdą batalią rosły nasze kogucie grzebienie.

Wówczas nadciągały stadka dziewcząt. Kilka gromad w nierównych odstępach, w każdej od pięciu do dziesięciu. Przy kucaliśmy za ramą pługa, gdy się zbliżały. Plan był starannie przemyślany. Zwykle przepuszczaliśmy pierwszą grupę, potem atakowaliśmy od tyłu, podczas gdy inne stadka zatrzymywały się dokładnie przed nami. Wywołać zamęt i panikę. I oczywiście podziw dla naszej męskiej przedsiębiorczości.

Czekaliśmy pochyleni. Słyszeliśmy zbliżające się głosy dziewcząt, kaszel od papierosowego dymu, chichot. W odpowiedniej chwili prostowaliśmy się. Każdy ze śnieżną pigułą w garści. Niczym dwaj rozwścieczeni wikingowie obserwowaliśmy, jak dziewczyny pierzchają z wrzaskiem. Właśnie mieliśmy rzucić kolejne pociski w sam środek zamieszania, gdy nagle spostrzegliśmy, że jedna z dziewcząt została. Zaledwie kilka metrów od nas. Długie jasne włosy, umalowane oczy. Utkwiła w nas wzrok.

– Jak jeszcze raz rzucicie, to was zabiję – zasyczała. – Tak wam złoję skórę, że nie będziecie mogli chodzić, skopię wam mordy tak, że wasze matki aż jękną, gdy was zobaczą...

Niila i ja sztywno opuściliśmy ręce uzbrojone w śnieżki. Dziewczyna omiotła nas ostatnim straszliwym spojrzeniem, po czym obróciła się i dołączyła do koleżanek.

Niila i ja staliśmy jak wryci. Nie patrzyliśmy na siebie. Zostało tylko uczucie ogromnego, nieznośnego nieporozumienia.

Gdy było się chłopakiem, dzieciństwo w Pajali upływało pod znakiem łańcuchów porachunków. Właśnie dzięki nim między chłopakami we wsi utrzymywała się równowaga sił. Już jako pięcio-sześcioletek wplątywało się w nie, a wyplątywało w wieku czternastu-piętnastu lat. Łańcuchy porachunków powstawały mniej więcej tak: dwóch smarkaczy się pokłóciło. Anders uderzył Nissego tak, że Nisse zaczął beczeć. Nie będę się zagłębiać w przyczynę kłótni, we wcześniejsze animozje ani w ewentualne stojące za tym niesnaski między rodami. Po prostu jeden chłopak pobił drugiego i obaj idą do domu. I tu zaczyna się łańcuch.

Pobity, czyli Nisse, opowiada natychmiast o zdarzeniu swemu dwa lata starszemu bratu. Starszy brat, chodząc po wsi, ma oczy szeroko otwarte i bacznie wypatruje przeciwnika, a gdy tylko zobaczy Andersa, spuszcza mu w odwecie odpowiednio dotkliwe lanie. Wtedy Anders z kolei, płacząc, idzie do swojego brata, starszego o cztery lata, który chodząc po wsi, ma oczy szeroko otwarte. Gdy dojrzy albo Nissego, albo jego brata, leje ich porządnie i do tego sypie pogroźkami. (Nadażacie?) Pięć lat starszy od Nissego, wyrosnięty kuzyn otrzymuje krótkie streszczenie sytuacji i spuszcza lanie Andersowi, jego bratu i paru kolegom, którzy towarzyszyli im jako goryle. Starsi o sześć lat bracia kumpli Andersa chodzą po wsi i wypatrują wroga. Pozostali bracia, kuzyni i krewni otrzymują krótkie sprawozdanie o tym, kto już się bił z kim i w jakiej kolejności. To samo dzieje się po stronie Andersa. Przesadzanie w celach propagandowych jest na porządku dziennym. Do osiemnastoletnich braci ciotecznych kuzynów, a również do ojców udają się energiczne delegacje, ale ci mają w nosie awantury smarkaczy.

Tak to się właśnie rozwijało. W największe łańcuchy wciągani byli koledzy z klasy, sąsiedzi i wszyscy możliwi kumple, szczególnie gdy zarzewia sporu pochodziły z różnych części wsi. I tak Vittulajänkä walczyła z Paskajänkä, a Texas z ulicą Strandvägen i wojna stawała się faktem.

Zycie takiego łańcucha mogło trwać od kilku dni do miesięcy. Zwykle ciągnęło się przez kilka tygodni i przypominało opisany powyżej proces. Pierwszą częścią była więc faza bójek, kiedy to spadały ciosy, a dzieciaki beczały. Potem przychodziła faza gróźb, wówczas najsilniejsi chodzili po wsi i wypatrywali wroga, a dzieciaki zaszywały się w domach. Jeśli tylko złapano kogoś z narybku, wcale nie było mu do śmiechu, wierzcie mi. Ta właśnie faza była dla mnie najgorsza, ten ciągły strach między szkołą a względnym bezpieczeństwem domu. Na koniec, gdy nikt już nie mógł się połapać w skomplikowanych siatkach odwetów, powiązaniach i rozgałęzieniach, następowała faza rozbrojenia i wszystko rozchodziło się po kościach.

Nim to jednak nastąpi, panuje równowaga terroru. Jest zima, stojąc na płozach fińskich sanek i odpychając się nogą, jedziesz do kiosku, by kupić słodczy za koronę, wokół wczesny popołudniowy zmierzch, a rzadkie płatki śniegu padają z niekończącego się, ołowianoszarego nieba i połyskują jak gwiazdy w świetle latarni. Gdy odpychasz się między zwałami śniegu, płozy z niejakim trudem brną przez świeży puch, a na drodze do Kiruny słychać ryk pługą przebijającego się przez zimę. A tam w dali, na skrzyżowaniu, staje nagle jeden ze starszych chłopaków. Czarna sylwetka wyrostka z wyższych klas. Zbliża się, przestajesz się odpychać i próbujesz zgadnąć, kto to. Masz zamiar zawrócić, ale z tyłu pojawia się jeszcze jeden. Trudno w ciemności dostrzec kto, ale z pewnością jest wysoki. Jesteś w pułapce, mały chłopiec z sankami. Nie masz szans, pozostaje ci tylko mieć nadzieję. Napinasz ramiona i zbliżasz się do pierwszego, do tego, który uważnie cię obserwuje. Śnieg sypie w świetle latarni, jego twarz jest w cieniu, robi krok do przodu i serce zamiera w piersi. Próbujesz się przygotować, na śnieg za kołnierzem i spływający niżej, po plecach, aż do spodni, na siarczyste policzki, od których czaszka zdaje się pękać, na czapkę rzuconą wysoko na brzozę, smarki, grymas i poníženie. Stajesz się sztywny jak

cielę w rzeźni, a chłopak podchodzi coraz bliżej. I staje przed tobą tak, że musisz zahamować. Jest wysoki jak dorosły mężczyzna, nie poznajesz go. Pyta, co ty za jeden, a ty myślisz o tym, że właśnie teraz w wiosce ciągną się co najmniej trzy łańcuchy, które wyliczasz w pamięci, potem odpowiadasz, kim jesteś, i masz nadzieję, że to dobra odpowiedź. Chłopak marszczy brwi i strąca ci czapkę. A później mówi:

– Masz szczęście!

Strzepujesz śnieg z czapki, odpychając się, jedziesz dalej i marzysz z utęsknieniem, by być dorosłym.

Zaczęło się przedwiośnie, najgorsze mrozy zelżały. Dni nadal były krótkie, ale w czasie przerwy obiadowej można było dojrzeć tarczę słońca jak czerwoną pomarańczę nad oblodzonymi dachami domów. Piliśmy światło zachłannymi haustami, a ognistożółty sok napełniał nas radością życia. To tak, jakby wypełnić z nory, ocknąć się z zimowego snu.

Pewnego przedwiosennego dnia Niila i ja postanowiliśmy przetestować Stok Laestadiusa. Zaraz po szkole przypięliśmy nasze drewniane narty z kandaharami i popędziliśmy na przełaj przez park. Zmierzchało, narty zapadały się w puszysty śnieg na jakieś dwadzieścia – trzydzieści centymetrów. Niila robił ślad, ja podążałem za nim, dwie niewyraźne postacie w mroku. Za chatą laestadiańską wznosił się – jak kościelne wieże – rząd sięgających nieba, iglastych świerkowych olbrzymów. Ciche i święte pradrzewa, przepełnione myślami donioślejszymi niż nasze.

Klekocząc nartami, przecięliśmy pokrytą lodem drogę Laestadiusvagen, latarnie już były zapalone. Szybko wspięliśmy się na wał śniegu po drugiej stronie jezdni i zniknęliśmy w ciemności coraz ostrzej nachylającej się ku rzece. W ciszy minęliśmy popiersie Larsa Leviego. Wpatrywał się gdzieś między brzozy, cały pokryty śnieżną czapą. Wkrótce zostawiliśmy światło latarni za sobą, ale nie zrobiło się jeszcze całkiem ciemno. Światło odbijane przez miliony lodowych kryształków rosło, aż zdawało się unosić nad ziemią. Oczy powoli się przyzwyczajały. Pod nami rozpościerał się długi stok, szusem w dół aż do rzeki. Nie nadawał się jednak do jazdy, pokrywał go śnieg po uda. Ustawiliśmy narty w poprzek stoku i zaczęliśmy udeptywanie. Narta przy narcie przemieszczały się w dół. Uklepywaliśmy śnieg, zbijaliśmy go ciężarem naszych chłopięcych ciał w jeden tor, w dół przez masy śniegu, przez całą długość stoku, aż do lodu pokrywającego rzekę. Pracowaliśmy ramię w ramię, a pot spływał nam pod ubrania. A gdy już wreszcie dotarliśmy na sam dół, zawróciliśmy. Tą samą drogą, po własnych śladach, z oślim uporem wspinaliśmy się z powrotem. Dalej udeptywaliśmy śnieg, równaliśmy i utwardzaliśmy na tyle, na ile tylko daliśmy radę.

I w końcu stajemy. Ponownie w punkcie wyjścia, po straszliwej robocie. Nogi drżą, płuca pękają, ale pod nami leży przygotowany stok. Szeroka i równa droga z tysięcy śladów nart. Zajmujemy pozycje obok siebie. Wpatrujemy się w ciemność. Stok pochyła się w dół, w ciemny i mglisty świat marzeń, ginie jak żyłka w przerębli. Niewyraźne cienie, ciche ruchy w głębi. Cienka nić w sen. Porozumiewamy się spojrzeniem. I obracamy się, zapieramy bambusowymi kijkami. Odpychamy się dokładnie w tej samej chwili.

Nic nas nie trzyma. Śmigamy przed siebie. Szusujemy coraz szybciej w noc. Chrzęst śniegu. Zimno szczypiące w policzki. Dwa parujące ciała, dwie świeżo ugotowane, norrländzkie pyzy wrzucone do zamrażarki. Coraz szybciej, coraz większe szaleństwo. Ramię w ramię, rozdziawione usta, ciepłe otwory, w które wciska się wiatr. Doskonale ubity stok, doskonale! Kolana sprężynują, stopy zapierają w ciasno zasznurowanych butach. Szum, który rośnie w ciele, prędkość na granicy niemożliwego, śnieg, który się skrzy, wycie wiatru, wiry powietrza.

I wtedy. Przerazający huk toczy się po lodzie rzeki Torneälven aż do Peräjävaara, a powietrze roztrzaskuje się jak lustro. Przełamujemy barierę dźwięku. Niebo robi się twarde i kruche jak

żwir, obaj padamy, równocześnie. Wciąż obok siebie wbijamy się każdy we wznieconą przez siebie chmurę śniegu, dymiące kule z rozpostartymi ramionami, a nasze kijki, zadarte w górę, wskazują kosmos, każdy swoją lśniąca gwiazdę.

ROZDZIAŁ 6

O tym jak wiedźma zajmuje miejsce po prawicy Pana i o trudach podziału ziemskich dóbr

Pewnego pochmurnego wiosennego dnia babcia Niili opuściła ziemski padół. W pełni świadoma na łożu śmierci wyznała swoje grzechy słabym szeptem, zanim polizała opłatek czubkiem brązowego języka, a jej wyschnięte usta zwilżono winem. Później powiedziała, że stało się jasno, że widzi anioły pijące kwaśne mleko ze skopków, a gdy wydała ostatnie tchnienie, jej ciało straciło na wadze dwa gramy, bo tyle ważyła jej nieśmiertelna dusza.

W dniu, w którym nastąpiła śmierć, zwołano najbliższych na *ulosveisu*. Synowie przepchnęli trumnę z otwartym wiekiem, nogami do przodu, przez wszystkie pomieszczenia chaty, by dać babci możliwość pożegnania się z domem, śpiewano psalmy, pito kawę i na koniec odwieziono zwłoki do chłodni w kostnicy.

Następnie wzywano na sam pogrzeb. Centrala telefoniczna w Pajali przegrzewała się, a z poczty zaczęły płynąć rzeki zawiadomień po całym Norrbotten, Finlandii, południowej Szwecji, Europie i reszcie świata. Babcia zaludniła świat na tyle, na ile zdążyła i dała radę. Urodziła dwanaścioro dzieci, liczbę apostołów, i tak jak apostołowie dzieci wypuściły się we wszystkich możliwych kierunkach. Niektóre mieszkały w Kirunie i Luleå, inne pod Sztokholmem, ktoś w Växjö, w Kristianstad, we Frankfurcie, w Missouri i w Nowej Zelandii. Tylko jeden pozostał w Pajali, był to ojciec Niili. I wszyscy oni przybyli na pogrzeb, nawet obaj jej zmarli synowie, czego świadkami były jasnowidzące kobiety w zgromadzeniu. Zastanawiały się, co to za chłopcy stoją pochyleni nad trumną już w czasie psalmu na wejście, zanim zorientowały się, że ich obrys był odrobinę jaśniejszy, a stopy unosiły się na szerokość palca nad ziemią.

Przybyły także wnuki i prawnuki, wyrosłe na całym świecie, osobliwie odświętnie ubrane istoty, mówiące wszystkimi możliwymi dialektami. Wnuki z Frankfurtu miały niemiecki akcent, a Amerykanie i Nowozelandczycy gadali po szwedzko-angielsku. Jedynymi, którzy jeszcze potrafili posługiwać się dialektem tornedalsko-fińskim byli Niila i jego rodzeństwo, ale oni przeważnie milczeli. W pajalskim kościele zebrało się mrowie języków i kultur, namacalne podsumowanie tego, co mogła zapoczątkować jedna jedyna płodna tornedalska macica.

Mowy nad trumną były liczne i pełne szczegółów. Opowiadano, jak zmarła pracowała w pocie czoła, w modlitwie i wyrzeczeniach. Taszczyła i dźwigała, dźwigała i taszczyła, karmiła cielaki i dzieciaki, grabiła siano nie gorzej niż trzy pary stalowych konnych grabi, utkała pięćset metrów gałgankowych chodników, zebrała trzy tysiące wiader jagód, wyciągnęła ze studni czterdzieści tysięcy wiader wody, narąbała tyle drewna, ile odpowiada przynajmniej solidnej porębie pod Käymäjärvi, wyprała całą górę Jupukka brudów, wytaczała beczki z latryny bez najmniejszego narzekania i wykopywała ziemniaki tak, że aż dudniły w blaszanym wiadrze jak fiński karabin maszynowy. Tylko tyle tytułem przykładu.

Przez te ostatnie lata, gdy była przykuta do łóżka, przeczytała Biblię od deski do deski osiemnaście razy, oczywiście w starym fińskim tłumaczeniu, nieskażonym przez ateistów ze współczesnych komisji biblijnych. Wprawdzie Słowo Pisane było niczym w porównaniu z

Żywym, tym, którym cięto jak mieczem obosiecznym na spotkaniach modlitewnych, ale skoro i tak miała tyle czasu...

Jak zwykle przy pogrzebach tornedalskich bohaterów, kaznodzieje mówili przede wszystkim o piekle. Odmalowywali dokładnie ten wieczny, płonący piec, gdzie grzesznicy i złodzieje łaski smażyli się jak kotlety w smole, na rozżarzonej do czerwoności patelni Szatana, a on dźgał trójzębem, by sok wyciekał. W kościelnych ławkach ludzie kulili się, córki babci, w swych trwałych ondulacjach i w modnych ubraniach, ronili sporo wężowych łez, a wżenieni mężczyźni o zatwardziały sercach wiercili się. Ale tu właśnie trafiała się szansa, by zasiać ziarno skruchy i łaski na całej niemal planecie, i byłoby niewybaczalne, gdyby nie spróbować. Poza tym babcia zostawiła cały zeszyt, w którym zapisała, jaki pogrzeb chciała mieć, w kazaniu miało być dużo Praw, a umiarkowanie Ewangelii. Żadnej łatwizny przebaczenia.

Lecz gdy na koniec otwały się wreszcie bramy niebios, a w pajalskim kościele chóry anielskie tchnęły słodkim oddechem łaski, gdy ziemia zatrzęsła się i babcia została wpuszczona przed oblicze Ojca Niebieskiego, wtedy wstrząśnięte paniusie w chustach na głowach szlochały, drżały i obdarzały się nawzajem Chrystusowym uściskiem w imię Jezusa i Jego krwi, i pachniało świeżym sianem na chórze i w przejściach, a cały budynek kościoła uniósł się pół centymetra nad swoimi fundamentami i opadł później z potężnym głuchym grzmiotem. Prawowierni widzieli też światło, światło raju, przypominające to, które widzi się, gdy w bezgłośną letnią noc, w środku snu otwiera się oczy na krótką chwilę, kieruje się je ku oknu i widzi łagodny poblask północnego słońca na nocnym niebie, tylko przez moment we śnie, zanim znów się zamknie powieki. A o poranku, gdy człowiek się budzi, zostaje poczucie czegoś wielkiego i niesłychanego. Miłości być może.

Po pogrzebie wszyscy zostali zaproszeni do chaty na kawę. Atmosfera od razu stała się lżejsza, prawie wesoła. Babcia jest u Jezusa. Można odetchnąć.

Tylko Isak nie pozbył się swojej naburmuszonej sztywności. Krążył w swoim starym garniturze kaznodziei, i choć od dawna był zatwardziały, to jednak spodziewano się kilku bożych słów przy trumnie. Świadectwa marnotrawnego syna. Może się wręcz nawróci; zaprawdę większe cuda zdarzały się przy okazji pogrzebów rodziców, gdy przemijanie i śmiertelność podpełzały jedno pokolenie bliżej i czuć było ich fizyczną bliskość. Żelazny Palec Boży, który wbija się w zatwardziane serce i łamie lód, działanie Ducha Świętego, wyznanie grzechów, oczyszczające skruszonego tak, jak opróżnia się przepełniony nocnik, który po odpuszczeniu grzechów, wyszorowany, zamienia się w Niebiański Kielich, gdzie Łaska może kapać niczym deszcz. Isak jednak wymamrotał tylko coś nad trumną, zupełnie cicho, do siebie. Nawet w pierwszej ławce nie było słyhać, co.

Przy stole dla dzieci podano sok i drożdżówki. Było nas tak dużo, że musieliśmy jeść w turach. Niila czuł się nieswojo w zapiętej pod szyję niedzielnej koszuli. Podczas gdy ciotki i wujkowie w czarnych ubraniach wciąż siedzieli i krakali jak wrony, wymknęliśmy się na dwór. Chłopaki z Missouri poszli za nami. To byli ośmioletni bliźniacy, każdy w chłopięcym garniturze i krawacie. Gadali ze sobą po angielsku, a my z Niilą po tornedalsku, ziewali niekiedy z powodu zmiany strefy czasowej i trochę dygotali z zimna. Obaj byli krótko ostrzyżeni jak żołnierze piechoty morskiej, jasnorudzi jak ich irlandzko-amerykański ojciec. Widać było, że są oszołomieni przeniesieniem do Starego Świata, do matczynych korzeni. Był maj, topniały śniegi, na rzece nadal trzymał lód. Brzozy stały jeszcze nagie, zeszłoroczna żółta trawa leżała płasko na łące, gdzie śnieg właśnie stopniał. Dreptali w swoich lakierkach i niepewnie wypatrywali arktycznych drapieźników.

Zaciekawiony zacząłem ich zagadywać. Opowiadali mieszaniną szwedzkiego i amerykańskiego, że w drodze tutaj mieli międzylądowanie w Londynie i widzieli Beatlesów. Powiedziałem, żeby nie kłamali. Ale obaj obstawali uparcie przy tym, że Beatlesi przejeżdżali obok ich hotelu długim cadillakiem z odkrytym dachem, a stojące tam dziewczyny piszczały. Wszystko było filmowane z ciężarówki jadącej tuż za nimi.

Bliźniacy nawet coś kupili. Z papierowej torby wyciągnęli singiel z angielską metką.

– Beatles – przeliterowałem. – Roskn roll musis.

– *Rock'n'roll music* – poprawili moją wymowę z szyderczym uśmiechem. I podali płytę Niila.

– *It's a present*. Dla nasz *cousin*.

Niila wziął płytę obiema rękami. Zachwycony wyciągnął okrągły kawałek winylu i gapił się na rowki cienkie jak włos. Trzymał płytę tak ostrożnie, jakby bał się, że ją połamie, jak milimetrowej grubości płytkę lodu z zamrożonego wiadra. Chociaż ta płyta była czarna. Jak grzech.

– *Kiitos* – wymamrotał. – Dzięki. Senk ju.

Uniósł płytę i powąchał plastik, obrócił później w górze do wiosennego słońca, tak że rowki połyskiwały. Bliźniacy zerknęli na siebie i uśmiechnęli się. W myślach już układali opowieść o spotkaniu z pierwotnym ludem, którą będą mogli sprzedać kolegom w Missouri, siedząc nad hamburgerami i colą.

Niila odpiął kilka guzików i ukrył płytę pod koszulą, blisko ciała. Przez chwilę się wahał. Potem kiwnął na bliźniaków, poszli w stronę drogi. Zaciekawiony poszedłem za nimi, przez łąkę, między ostatnimi brudnymi zaspami śniegu.

Zatrzymaliśmy się przy rowie. Pod nasypem biegł tunel z grubych betonowych kręgów. Kiedy się schyliliśmy, zobaczyliśmy biały okrągły otwór po drugiej stronie. Brudnoszara pośniegowa woda wypływała z tunelu i chlupała pod naszymi stopami, tworząc podłużne bajoro. Niedaleko zalegały topniejące, kurczące się zwały śniegu, usypane tam przez pług, jak stosy zafajdanej, starej pościeli. Niila pokazał w ciemną głębię wody.

– Prezent – powiedział przyjaźnie do bliźniaków.

Pochylili się. Tuż pod powierzchnią leżały duże oślizłe grudy.

Z bliska dostrzeżliśmy, jak w ich wnętrzu się kotłuje. Małe czarne stwory gwałtownie prężyły się i wiły. W mroku wody kawałek dalej śmigają już wyklute stworzenia.

– Z cmentarza – powiedział krótko Niila.

Bliźniacy z powątpiewaniem popatrzyli na mnie, a ja usiłowałem pojąć, do czego Niila zmierzał.

– Jak śnieg topnieje, woda płynie przez trumny – dopowiedziałem ściszym głosem – i wtedy splukuje dusze umarłaków tutaj.

Niila znalazł starą zardzewiałą puszkę po kawie. Bliźniacy przyglądali się szeroko otwartymi oczami kijankom w bajorze.

– Anioły – wyjaśnił Niila.

– Jak się je złapie i zatrzyma, zrobią się z nich anioły i pofruną do nieba – potwierdziłem.

Jeden z bliźniaków wziął puszkę i zaczął rozsznurowywać swoje lakierki. Drugi się zawahał, ale poszedł za przykładem brata. Szybko ściągnęli skarpetki i spodnie w kant i stanęli boso na granicy śniegu w swoich obszernych amerykańskich kałesonach do kolan. Krótkimi, niepewnymi krokami weszli w błoto. Wkrótce cali byli pochłonięci łowieniem dusz. Woda sięgała im do pól uda albo wyżej. Zaczęli marznąć i dygotać, ale żądza polowania była silniejsza. Po chwili wydali okrzyk radości i unieśli w górę puszkę z kilkoma pływającymi kijankami. Ich wargi zaczęły przybierać kolor niebieski.

Nagle z tunelu spłynęła ciemna, sflaczała gruda i z pluskiem wpadła do bajora.

– Babcia! – krzyknął Niila.

Jeden z bliźniaków szybko wsadził ręce do wody, szukał i grzebał. Pośliznął się i upadł. Głowa zniknęła pod powierzchnią mazi. Brat go chwycił, ale sam stracił równowagę i runął, trzepocząc ramionami. Wyczołgali się obaj na brzeg, prychając, tak zmarznięci, że prawie nie mogli się ruszać. Ale puszka z pływającymi kijankami stała w trawie.

Niila i ja staliśmy oniemiałi wobec takiej odwagi, podczas gdy bliźniacy się ubierali. Trzęśli się z zimna, musieliśmy im więc pomóc zapiąć guziki. Kalesony zdjęli z siebie i wykręcili, potem wyczesali z włosów śmieci, każdy swoim eleganckim szylkretowym grzebieniem. Oczy im błyszczały, kiedy zaglądali do puszki. Garść małych kijanek uganiała się dookoła, machając ogonkami. Na koniec bracia obdarzyli nas skostniałym, ale serdecznym uściskiem dłoni.

– *Thank you!* Dzięki! *Kiitos!*

Trzymając puszkę między sobą, powędrowali z powrotem do chaty, zaciekle dyskutując po amerykańsku.

Jeszcze tego samego popołudnia rozpoczął się spór o spadek. Oczekano, aż obrzędy pogrzebowe dobiegną końca i sąsiedzi wraz z kaznodziejami sobie pójda. Wtedy zamknięto dla postronnych drzwi chaty. Różne odgałęzienia rodu, odrosty i elementy wszczępione – wszyscy zebrali się w dużej kuchni. Dokumenty rozłożono na blacie stołu. Z torebek wygrzebywano okulary do czytania i zatykano na błyszczących od potu nosach. Odkaszlnięto. Oblizano wargi ostrym, sztywnym językiem.

I wtedy się rozpętało.

W rzeczy samej babcia spisała testament. Wchodził w skład zostawionego przez nią notatnika i był, delikatnie mówiąc, obszerny. Wszystkie szczegóły zanotowane jej drżącym pismem wyliczone zostały strona po stronie. Ten i ten ma dostać to i to pod takimi warunkami. Ale jako że babcia przygotowywała swoje odejście przez przynajmniej ostatnie piętnaście lat, a poza tym miała swoje humory, roiło się tu od zmian, skreśleń i dopisków na marginesach i do tego była jeszcze cała osobna kartka gęsta od przypisów. Niektórzy krewni zostali w kilku miejscach pozbawieni spadku, co później wiele razy anulowano. Inni mieli otrzymać spadek, ale jedynie pod pewnym warunkiem, mieli mianowicie w obecności krewnych głośno wyznać swą żywą wiarę lub wyrzec się grzechu opilstwa albo też błagać zebranych tudzież Jezusa Chrystusa o wybaczenie szczegółowo opisanych grzechów, które przydarzyły im się na przestrzeni lat. Cały tekst został kilkakrotnie poświadczony i opatrzony podpisami, niestety z wyjątkiem ważnej osobnej kartki. Poza tym wszystko zapisano po tornedalsko-fińsku.

Odczytanie tego wszystkiego w dusznej chacie zajęło kilka ładnych godzin. Każde słowo musiało być przetłumaczone na szwedzki, fiński, angielski, niemiecki i perski, ponieważ córka w Växjö wyszła za mąż za imigranta, sunnitę. Ogromnych problemów przysporzyły przede wszystkim sprawy religijne. Podstawowym warunkiem otrzymania spadku było wyznanie żywej wiary; coś, co większość tornedalczyków zinterpretowała jako laestadianizm. Przeciw takiej wykładni zaprotestowali zarówno sunnita, wżeniony Nowozelandczyk, który był Żydem, oraz córka z Frankfurtu, która przeszła na baptyzm, wszyscy oni po kolei wyjaśniali, że ich wiara jest równie żywa, co wiara każdego innego wśród zgromadzonych. Młodszy brat babci z Ullatti grzmiącym głosem obstawał, że jako zachodni laestadianin jest z całego towarzystwa najbardziej chrześcijański, na co kuzyn, wschodni laestadianin, z jeszcze jednym ze Zgromadzenia Laestadian Pierworodnych i kilkoma laestadianami starowiernymi z mocą zaprotestowali. Ciotka z fińskiego odłamu mchu natychmiast weszła w trans *liikutuksia* i zaczęła skakać i szaleć w ekstazie, aż pot z niej kapał. Inni przyłączali się na wszelki wypadek i wyznawali grzechy, wymachiwali rękami, płakali, obejmowali się i potykali o gałgankowe chodniki.

Na koniec Isak wyszedł przed wszystkich, wrzeszcząc po szwedzku i po fińsku o gębach, które trzeba stulić. Dalekiego kuzyna alkoholika z Kainulasjärvi przyłapano na gorącym uczynku, jak własnoręcznie coś dopisywał i wyrzucono. Okrzyknięto zawieszenie broni i po serii protestów i wzajemnych oskarżeń osiągnięto stan napiętego spokoju. Wielu domagało się, by ich dopiero co dokonane wyznanie grzechów i inne dowody żywej wiary zostały odnotowane w protokole, do czego przychyłono się po głosowaniu.

Po odczytaniu testamentu zapanowała całkowita, definitywna konsternacja. Spokojny inżynier z Uppsali, który zajmował się nową technologią maszyn liczących, zaproponował, żeby cały testament, wszystkie dodatki i zmiany zapisać jako program na kartach perforowanych, by po kilku przejściach przez maszynę, z pomocą logiki sprawiedliwie podzielić spadek. Liczni krewni natychmiast oznajmili z mocą, że południowiec – *ummikko* i osoba jedynie wżeniona – powinien przede wszystkim zamknąć dziób, gdy dyskutuje się o sprawach rodziny. Następnie rodzeństwo, kuzynostwo i pociotki zebrali się w mniejszych mamroczących grupach, by omówić taktykę. Rozpoczęła się zażarta szeptanina. Pomiędzy szepczącymi gromadkami wysyłano wywiadowców, składano i odrzucano propozycje, tworzyły się i rozpadały koalicje, przez posłańców przesyłano bardziej lub mniej ukryte groźby. Kilku facetów udało się wspólnie za róg, by się odlać, i wrócili podejrzenie orzeźwieni. Wymieniono się spojrzeniami. Zakasano rękawy. Spisujący protokół kancelista o rzadkich włosach stukał piórem o kubek i wzywał do gromadzenia się. Ludzie przeciskali się do kuchennego stołu wśród gorączkowego posapywania i nabożnie uciszali się nawzajem.

Hrm. Herrruuummm...

Na ile kancelista w swej bezstronności potrafił ocenić, spadek – czyli razem wzięte gospodarstwo, zabudowania, grunt, sprzęty, ruchomości, zasoby w banku oraz niewielki kawałek lasu – powinien zostać podzielony na sto czterdzieści trzy części o równej wartości, oprócz kołowrotka, który przypadł sąsiadce.

Burza wzburzonych głosów.

Ławnik, emerytowany celnik, poprosił o umieszczenie w protokole zastrzeżenia. W jego nad wyraz skromnym, ale ze wszech miar bezstronnym odczuciu przedmówca nie uwzględnił dodatku na luźnej kartce, a mianowicie trzeciego akapitu, o złu i grzeszności południowej Szwecji, dlatego też dom i sprzęty domowe mają przypaść synowi Isakowi, zaś pozostałe zasoby mają być rozdzielone po równo jedynie między tych, którzy są zameldowani w gminie Pajala.

Zrobiła się jeszcze większa wrzawa.

Sąsiadka zapytała, gdzie stoi kołowrotek, ale została szorstko uciszona.

Bratanek, górnik z Kiruny, utrzymywał, że jego miejsca zamieszkania nawet przy najlepszych chęciach nie można zaliczyć do południowej Szwecji, a poza tym ma letni domek w Sattajärvi i dlatego domagał się wpisania do protokołu jako mieszkańiec Pajali.

Inny bratanek z Kieksiäisvaara zwrócił uwagę, że przedmówca zapomniał o akapicie na stronie czternastej, gdzie koncern stalowy LKAB został nazwany Babilonem Północy, że jego pracownicy skazani są na wieczne potępienie, a samowolki budowlane w Sattajärvi nie mają tu nic do rzeczy.

Kuzyn alkoholik grzmotnął szczapą w drzwi, domagając się wpuszczenia do środka.

Żyd szarpał sunnitę za kołnierz, ale został popchnięty na fotel bujany, obaj wydzielali się i wrzeszczeli, a żony stały obok i tłumaczyły. Coraz liczniejsi żądali dopuszczenia do głosu i postukiwania kancelisty ginęły w rozgardiaszu.

Później oczywiście wzniosła się w górę pięść. Wyszorowana na niedzielę pięść robotnika, która wyrosła jak grzyb z żywej gleby czarnych ubrań. Wibrowała na swej szerokiej łodydze,

obracała się jak głowa sowy. Chyba był to przede wszystkim rodzaj ostrzeżenia. Ze miarka też się może przebrać.

Zaraz potem wystrzeliła druga pięść. Później jeszcze jedna. Ludzie przekrzykiwali się teraz nawzajem. Przekleństwa sypały się we wszystkich językach i dialektach, groźby chłostały jak łańcuchy, aż ściany chałupy zatrzęśły się niczym mury Babilonu.

I wtedy rozpętało się.

Ze względu na krewnych tutaj się zatrzymam. Pomijam opis prania się po mordach, drapania, krwawiących nosów, wirujących sztucznych szczęk, połamanych okularów oraz podstępnych kopniaków i nelsonów. Odmawiam wyliczania broni, takiej jak patelnia, krzesło, kalosz, szufelka, psia miska i fińska biblia domowa. Pomijam wszystkie bluźniercze wyrażenia, wszystkie przekleństwa, przede wszystkim z niewyczerpanej skarbnicy tornedalsko-fińskiej, jak i wszystkie poniżające oskarżenia o głupotę, szpetotę, otyłość, kazirodztwo, zgrzybiałość, chorobę umysłową czy dewiacje seksualne – którymi obrzucano się afektowanymi głosami.

Powiem tylko, że była to gehenna.

ROZDZIAŁ 7

O muzyce rockowej, jej wpływie na pleć piękną i o niebezpieczeństwie wchodzenia bez pukania

Pod wieczór Niila przyszedł do nas z ręką przyciśniętą do piersi. Wciąż był odświętnie ubrany; nadal poruszony popołudniowym spotkaniem z rzeszą krewnych. Po groźbach doniesień na policję i towarzyszących im groźbach doniesień na donoszących, co ciągnęło się długo i zawile, zrobiono wstępny kosztorys przyszłych wydatków na adwokatów, po czym zdecydowano się zatrzymać sprawę w rodzinie. Inżynierowi z Uppsali dano możliwość bliższego wyjaśnienia działania maszyn liczących. Dalszej konsumpcji alkoholu w obrębie obejścia surowo zakazano. Pogotowie w Pajali musiało opatrzeć zaskakująco dużą liczbę osób, które się pośliznęły i uderzyły. Okulary i sztuczne szczęki naprawiono prowizorycznie taśmą izolacyjną i klejem błyskawicznym.

Mojej siostry nie było, więc wśliznęliśmy się do jej pokoju. Niila rozpiął koszulę i wyjął singiel ciepły od ciała. Uroczyście położyłem go na talerzu adaptera i nastawiłem ramię. Podkręciłem głoś. Lekko zatrzęszczało.

Grzmot! Strzelił piorun. Beczka prochu wybuchła i rozsadziła pokój. Tlen się skończył, rzuciło nami o ścianę, przycisnęło do tapety, a chałupa zawirowała z zawrotną szybkością. Przyklejeni byliśmy do ściany jak znaczki, a krew cisnęła się do serca, zbierała w czerwoną bryłę, zanim wszystko odwróciło się i wystrzeliło w przeciwnym kierunku, ku koniuszkom palców u rąk i u nóg, krwawoczerwone ościenie żyłek na całym ciele, aż dusząc się, rozdziawiliśmy usta jak ryby.

Minęła wieczność, nim wirowanie ustało. Powietrze ze świstem wróciło przez dziurkę od klucza, a my plasnęliśmy o podłogę jak dwie mokre szmaty.

Rock'n'roll music.

Beatlesi.

To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

Przez dłuższą chwilę nie mogliśmy wykrztusić słowa. Leżeliśmy tylko i krwawiliśmy, jałowi i szczęśliwi w dzwoniącej ciszy. Potem podniosłem się i włączyłem jeszcze raz.

Znów to samo. Niepojęte. Tego nie mogły stworzyć ludzkie istoty.

Jeszcze raz.

W tym momencie wparowała siostra. Wściekła się, wbiła szpony w moje ramię i zaczęła wrzeszczeć tak, że jej guma do żucia trafiła mnie w oko. Co, do diabła, robimy w jej pokoju, cholerne gówniarze, dziewczęce ramię podniosło się do śmiertelnie ciosu karate.

W następnej chwili znieruchomiała. Muzyka ją ubiegła. Wcisnęła się w nią, nabrzmiała jak członek, trysnęła wokół czerwieni. To była magia, my – trzy ssaki, które zamarły w różnych pozycjach, a obok mały, ryczący, przenośny adapter.

Płyta się skończyła i teraz ona puściła ją od nowa. Co za kawałek! Nie można było przestać.

Tego samego wieczoru popedałowaliśmy z Niilą w dół do rzeki Torneälven. Wjechaliśmy na most drogowy, wysoko nad wodą, balansowaliśmy na wąskiej betonowej linii horyzontu pomiędzy odległymi brzegami.

Cała rzeka była nadal zamrznięta. Ale ciepło dnia roztopiło masy śniegu na połaciach lasu, strumienie wciskały się wąskimi tętnicami pod wielkie lodowe wieko trumny i napełniały siłą zatrzaśniętą w niej istotę. Mięśnie nabrzmiały, odtajałe serce znów zaczęło tętnić.

I teraz, właśnie teraz klatka piersiowa rzeki unosi się w jednym jedynym powolnym wdechu, napręża się pod metrowej grubości wiekiem, napełnia płuca i naczynia krwionośne jak mistrz oswoadzania się, stawia opór, wzbiera i powoli pcha w górę tysiące ton cal po calu. Chociaż nic nie widać, dzieje się to, pod ziemią, napięcie jak we śnie, powierzchnia, która uwypukla się, zatrzaśnięty chłopak, który rośnie, aż wypełni piec mięśniami i ciałem.

Jeszcze pół cala.

Tego nie widać, to się czuje. Być może to powietrze, ciśnienie powietrza, drżenie w morzu światła w dali, tam gdzie Jupukka, sylwetka wrony, która nagle zawraca; albo raczej czuje się to przez filary mostu, przez beton, połyskujący krzyk wody.

Wdech. Stopniały śnieg. Zawracająca raz jeszcze wrona, niewytłumaczalnie.

I właśnie wtedy. Dwa krótkie trzaski. Potem powierzchnia pęka, huczająca szczelina w białej masie. Czarny rwący potok. Grzmot, nowe szczeliny, długie skrzypiące cięcia przez masy lodu. Łukowate sklepienie tworzy się i pęka. I wszystko zamienia się w ruch, wszystko zaczyna się poruszać. Cała ta niezmierna marmurowa posadzka.

W mgnieniu oka rzeka wzbiera osiemdziesiąt centymetrów. Brzegi toną, wystrzelują czarne ramiona wody. Ogromne stutonowe bryły lodu rozpryskują się na kawałki, rozbijają się, druzgoczą nawzajem w przerażającym ścisku. Wypierane w górę na sztorc jak iskrzące się wieloryby, zanim parskając zanurkują w głębiny. Wypychają się jak płyty tektoniczne, łamią, ryczą i skrzypią. Walą czołem w podpory mostu, kruszą się, ogromne dźwięczące igły z lodu. Dźwięki, których nie słyszy się kiedy indziej; wszystko trzeszczy i huczy, zgrzyta, skrzypi, parska, dzwoni, chrzęści, otacza jak muzyka. A człowiek jest w środku.

Po chwili przyjeżdżają mieszkańcy. Parkują tuż przy moście i spieszą w naszym kierunku, ustawiają się w szeregu wzdłuż barierki. Dziadki i babcie, faceci, facetki i małe dzieci trzymane w mocnym uścisku. Kuzynostwo i sąsiedzi, koledzy, a nawet odludki, jakby rzeka skrzyknęła całą wioskę, jakby wszyscy naraz to odczuli.

Tylko się stoi. Niewiele można dodać. Człowiek tylko patrzy, słucha i czuje, jak kruchy beton drży pod podszwami. Kry w niekończącym się szeregu, roztrzaskany, wieczny huk. Na koniec spostrzegasz, jak most zaczyna się poruszać, obłuzowuje się, zaczyna przedzierać się w górę rzeki jak gigantyczny lodołamacz. Stoisz na dziobie, a on brnie przez lodowy pak z przerażającą siłą u początku długiej i brawurowej podróży.

– *Rock'n'roll music!* – krzyczę do Niili.

Zrozumiał.

Gdy człowiek odkryje siłę muzyki, nie ma już odwrotu. To tak, jak po raz pierwszy się onanizować. Nie można przestać. Otworzyło się kapsel i piana tryska wielką strugą na zewnątrz. Ciśnienie, które wyrywa drzwi z garści, odrywa zawiasy i zostawia tylko ziejącą pustkę. Jak w tych filmach o łodziach podwodnych, w które trafiają bomby głębinowe, gdzie usmarowani faceci pędzą do stalowego wjazdu w grodzi wodoszczelnej i próbują go zamknąć, ale rozszalały słup wody odrzuca ich jak łódki z kory na wszystkie strony.

Szkoła muzyczna w Načka była natomiast jak pływanie na sucho.

Mniej więcej tak, jakby stara koścista nauczycielka młodszych klas za pomocą plansz i ubrudzonych kredą rąk próbowała nauczyć chłopców technik masturbacji. A na zakończenie siadła przy fisharmonii, by zaśpiewać pedagogiczną piosnkę onaniczną.

Niila wpadał teraz częściej niż kiedyś, za każdym razem przynosił ze sobą płytę. Dzięki niej moja siostra nagle stała się ludzka i pozwalała nam puszczać krążek na swoim adapterze, a sama

siadała i słuchała. W jakiś sposób zbliżyliśmy się do siebie poprzez muzykę, zaczęła pojmować, że nie będę smarkaczem do końca życia. Czasami przychodziły do niej koleżanki. Siadały na łóżku i na poduszkach na podłodze, fajne dziewczyny ze starszych klas, pachnące lakierem do włosów i z mlaskaniem żujące gumę. Pod ciasnymi sweterkami miały biusty. Oczy miały umalowane na czarno. Patrzyły na mnie i Niilę – szczeniaków, smarkaczy – próbowały nas zawstydzić, aż się czerwieniliśmy. Pytały, czy mamy dziewczyny. Czy się całowaliśmy. Opowiadały, jak się to robi z jęczyzkiem, to było dość obrzydliwe, chociaż się podniecaliśmy, mimo że byliśmy jeszcze przed okresem dojrzenia i ledwie rozumieliśmy, o co chodzi z płcią przeciwną.

Pewnego sobotniego wieczoru, gdy rodzice pojechali na samochodowe bingo na boisku piłkarskim, bez pukania weszliśmy do pokoju mojej siostry. Dziewczyny podniosły krzyk. Na podłodze między nimi stały butelki piwa, pełna torba. Wycofaliśmy się, ale siostra wciągnęła nas do środka i groźnie zamknęła drzwi na klucz. Potem przysięgła nam takie lanie, że mleczone zęby wbiją się nam w mózg, jeśli wypaplamy, do tego wytarga nas za włosy tak, że przedwcześnie wyłysiejemy, czerwonymi ostrymi paznokciami wydrapie nam jelita i będzie nas powoli smażyć lampą lutowniczą, taką, jakiej tata używa do smarowania nart na gorąco, i jeszcze mnóstwo tym podobnych.

Zgrywałem idiotę, żeby ocalić skórę – to dobra taktyka w tornedalskich stronach – i wymamrotałem, że oranżady mogą sobie pić, ile chcą. Na to dziewczyny zarechotały i powiedziały, że musimy spróbować, musieliśmy stać się współwinni, to był jedyny sposób na zamknięcie nam jadaczek. Otworzyły butelkę i podeszły bardzo blisko, trwała łaskotała w twarz, czułem ciepłe oddechy i odświeżacz do ust. Jedna przytrzymała mnie mocno za policzki, prawie je rozciągając, inna przechyliła butelkę, a ja rozdziawiłem usta. Przybliżyła się tak bardzo, że czułem miękkość cycków, odchyliłem się w tył jak niemowlę z butelką, ssałem i piłem, i znów ssałem jak spiczastą kobietą pierś.

Piwo smakowało sianem. Drapało w gardle, pieniało się i syczało. Pótleżąc, patrzyłem w piękne, umalowane oczy – były niebieskie jak rzeka. Dziewczyna miała co najmniej czternaście lat i spoglądała na mnie tak ciepło i łagodnie. Chciałem tak zostać, chciałem zasnąć w jej objęciach, łyzy piekły w oczy. Zauważyła to i ostrożnie odsunęła butelkę. Zdążyłem wychłęptać połowę. Zbliżyła do mnie uszminkowane usta i zniemacka mnie pocałowała.

Dziewczyny wiwatowały. Siostra uśmiechała się z niespodziewanym uczuciem. Czułem mętlik w głowie, siadłem przy ścianie. Niila musiał opróżnić butelkę do końca; walczył długo i dostał oklaski. Zdyszany rozpiął koszulę i wyciągnął płytę. Potem siadł obok mnie, a siostra włączyła adapter.

Dziewczyny oszalały.

Musieliśmy ją puszczać, nie przymierzając, ze dwadzieścia razy.

Oparłem się o Niilę i poczułem, że szczęście mnie rozpiera.

Później, trzęsąc się, staliśmy na podwórzu. Wieczorny chłód spływał z czystego nieba, zapowiadała się wilgotna i zimna noc. Niila ociągał się, chciał o coś zapytać, ale nie miał odwagi. W końcu zaciągnął mnie do garażu. Zamknął bramę tak cicho, jak potrafił, i przysunął się do mojego ucha.

– Jak ona to robiła? – szepnął.

Chwyciłem go za ramiona.

– Wystaw język – powiedziałem. – Nie, nie tak bardzo. Schował go tak, że wystawał tylko koniec, okrągły, mokry i różowy. Wystawiłem też mój. Przez chwilę staliśmy, całkiem nieruchomi. Potem nachyliłem się i pocałowałem go w słone chłopiące usta.

ROZDZIAŁ 8

Gdzie obrabia się deskę, otwierają się usta i następuje pierwsze wejście na scenę

Lata sześćdziesiąte dobiegały końca, w świecie eksplodowała muzyka pop. Beatlesi pojechali do Indii uczyć się grać na sitarze, Kalifornię zalewał Flower Power i psychodeliczny rock, a Anglia wrzała od Kinksów, Procol Harum, The Who, Small Faces i The Hollies.

Niewiele z tego docierało do Pajali. Siostra robiła, co w jej mocy, by być na bieżąco, między sosnami na podwórku rozwiesiła miedziany drut jako antenę do fal średnich i nastawiła Radio Luxemburg w naszym starym lampowym odbiorniku. Czasami jeździła do Kiruny albo Luleå, żeby zobaczyć The Shanes z Tuolluvaara, którzy w 1966 roku występowali z Beatlesami, czy Hep Stars, gdy akurat byli w okolicy, ale dopiero po długich uświadamiających rozmowach na osobności z mamą.

Daleko było z Pajali do świata. A gdy szwedzka telewizja miała wreszcie nadać jeden ze swoich nielicznych koncertów pop, było to leciwe już wówczas nagranie z Elvisem Presleyem. Ale trzeba było brać, co dają. Rozsiadłem się pełen oczekiwania. Siostra otworzyła formirowe drzwiczki chroniące ekran i włączyła zasilanie długo przed czasem, bo kineskop nagrzewał się powoli, jak ciasto na piecu, zanim zaczął emitować obraz. Sygnał elektryczny biegł kablami do wieży telewizyjnej Kaknästornet, gdzie zaczynał swą długą wędrówkę przez kraj. Kolejne stacje przekąźnikowe odbierały go i przekazywały dalej do następnej, i jak długi pociąg zgrzytających wagonów z rudą docierał na koniec do masztu telewizyjnego Pajali na Jupukka, przetaczał się na inny tor i wtaczał jak groch do naszego czarno-białego pudła.

Pojawił się. Elvis. Zanim jeszcze pojechał do Niemiec do wojska, u szczytu kariery, gibki, seksowny młodzieniec z uśmiechem na ukos, tłustym lokiem i nogami giętkimi jak wycior do fajki. Tato prychnął pogardliwie i demonstracyjnie wyszedł do garażu. Mama została i udawała, że robi na drutach, ale nie mogła spuścić oka z tego spoconego samca w czarnej skórce. Siostra tego wieczora długo leżała, gryzła paznokcie i płakała w poduszkę. A ja zapragnąłem gitary.

Następnego dnia po lekcjach zszedłem do szkolnej stolarni w piwnicy i wyciąłem z płyty pilśniowej coś na kształt gitary. Przybiłem deskę – to był gryf. Naciągnąłem gumki zamiast strun. Przywiązałem sznurek, by móc przewiesić dziwoląga przez ramię.

Jedynym miejscem, gdzie miałem spokój, był garaż. Kiedy nikt nie patrzył, wymknąłem się tam, stanąłem na betonowej podłodze w szerokim rozkroku i spojrzałem na morze publiki. Słyszałem krzyki i czułem te tysiące dziewczyn, które pchały się pod scenę. Zacząłem *Jailhouse Rock*, umiałem to na pamięć z płyty siostry. Spróbowałem pokręcić tyłkiem. Poczujęm rosnącą we mnie muzykę, ostrą i wszechwładną. Chwyciłem rolkę papieru toaletowego, zastąpiła mikrofon, i otworzyłem usta. Zacząłem śpiewać. Ale była to piosenka bez fonii, tylko wargi się poruszały, dokładnie tak jak na lekcjach muzyki. Wykrzywiałem się do muzyki. Ruchami ciała wyrażałem muzykę, którą miałem w środku, podrygiwałem i rzucałem się, uderzałem w akordy, aż deska trzeszczała.

Nagle usłyszałem ciche skrzypnięcie, zamarłem przerażony. Przez chwilę byłem pewien, że wrzask publiczności dotarł aż do kościoła. Pozostawałem jednak sam w garażu i zaraz

powróciłem do przedstawienia. Nurzałem się w owacjach, topiłem w świetle i wrzawie. Biodra drżały, scena się trzęsła, a ja wygiąłem się do tyłu w spazmatycznym łuku.

I wtedy zobaczyłem Niilę. Wśliznął się jak ryś i obserwował mnie w ciszy, kto wie jak długo. Zamarłem ze wstydu. Czekałem, aż zaśmieje się szyderczo, rozpląszczy mnie na ścianie pod packą na muchy.

Później jeszcze tylko raz doświadczyłem takiej nagości. Było to w toalecie w pociągu między Boden i Älvsbyn. Właśnie się wysrałem i podcierałem tyłek z opuszczonymi portkami, gdy drzwi się otworzyły i pani konduktor poprosiła o bilet. Twierdziła, że pukała, ale – gówno prawda – nie pukała.

Niila usadowił się na odwróconym do góry dnem wiadrze i drapał w zamyśleniu ropny strup. W końcu zapytał cicho, co robię.

– Gram — wymamrotałem mocno zażenowany.

Znów przez długą chwilę się nie odzywał, tylko przyglądał się mojemu niezgrabnemu instrumentowi z płyty pilśniowej.

– Mogę spróbować? – usłyszałem w końcu.

Najpierw myślałem, że się ze mnie nabija. Ale ku mojemu zaskoczeniu, dotarło do mnie w końcu, że mówił poważnie. Z rosnącą ulgą przewiesiłem mu płytę przez ramię i pokazałem chwyt. Zaczął naśladować mnie naśladowającego Elvisa, próbował kiwać się w przód i w tył.

– Musisz też pracować nogami – instruowałem.

– Po co?

– Dla dziewczyn oczywiście.

Z miejsca się zawstydził.

– W takim razie ty musisz śpiewać.

Nonszalancko trzymałem przy ustach rolkę papieru toaletowego i bezgłośnie udawałem, że śpiewam, potrząsając głową. Niila spojrział na mnie z niesmakiem.

– Musisz śpiewać na serio!

– Kurde, no nieee, no.

– Pewnie, że tak.

– Nieee, nie umiem.

– Musisz! Dla dziewczyn! – powiedział Niila po fińsku.

Wybuchnąłem śmiechem i między nami przepłynął ciepły strumień.

Tak właśnie się to wszystko zaczęło, w naszym garażu pośród nart, szufli do śniegu i zimowych opon. Niila grał, a ja otwierałem usta i pozwalałem wydobywać się mojemu głosowi. Był zachrypnięty, ostry i charczący. Piałem i ryczałem, brzmiało to gorzej niż wycie psa, ale to wtedy po raz pierwszy odważyłem się śpiewać.

Kilka tygodni później wspomniałem przypadkiem na przerwie, że założyliśmy z Niilą zespół. Rzeczywiście tak to czuliśmy – każdego dnia po szkole w garażu nadmuchiwaaliśmy ogromne kolorowe balony marzeń o sławie. Z tym zespołem wyrwało mi się, bo zawsze miałem zbyt słaby instynkt samozachowawczy i zbyt długi język, którego nie umiałem trzymać na uwężni. Sensacyjna wiadomość rozeszła się z szybkością błyskawicy. Były to, jak już wspominałem, lata sześćdziesiąte, Pajala, gdzie wcale nie trzeba było wiadomości na światową miarę. Zostaliśmy z Niilą otoczeni, a działo się to na przerwie obiadowej, znaleźliśmy się w pierścieniu kpin i posądzeń o kłamstwo. Pierścień zaciskał się coraz ciaśniej, w końcu została tylko jedna droga ucieczki. Musieliśmy wystąpić na godzinie wychowawczej.

Nasza nauczycielka niestety przystała na propozycję. Woźny miał wygrzebać stary adapter, a ja podwędziłem od siostry płytę *Jailhouse Rock*. Mieliśmy zrobić pantomimę, pożyczyłem więc od jednej z dziewczyn skakankę na mikrofon. Miałem śpiewać do rączki.

Już w czasie próby na przerwie zrozumiałem, że to będzie kłapa. Adapter był zepsuty, nie działał na 45 obrotach, można było jedynie odtwarzać na 33 albo 78. Płyta brzmiała albo jak pogrzebowe surmy w Tybecie, albo jak Kaczor Donald w cyrku. Wybraliśmy to drugie.

Dzwonek, klasa rozsiadła się w ławkach. Niila ogarnięty paniką trzymał deskę gitary w żelaznym uścisku. Chłopaki zaczęli rzucać gumkami, jeszcze zanim przystąpiliśmy do dzieła. Chwyciłem skakankę i pomyślałem o śmierci. Pani właśnie miała nas przedstawić, ale stwierdziłem, że równie dobrze możemy to już mieć za sobą i opuściłem ramię adaptera.

Zagrzmiała muzyka. Rany boskie, jak myśmy skakali. Podłoga się ugiwała, a ciężka igła pędziła dookoła po bezbronnym winylu jak dziób dzięcioła. Niila miał tak sztywne nogi ze zdenerwowania, że co chwila tracił równowagę. Wpadł na katedrę, popchnął mnie, a potem z łoskotem wleciał plecami na tablicę, aż zgięła się półka na kredę. Ja natomiast w pięknym stylu pogrążałem się w katastrofie, przestałem robić miny, bo płyta brzmiała, jakby ktoś potrząsał puszką gwoździ, zamiast tego zacząłem wrzeszczeć w naprędce kleconym po swojemu języku angielskim. Darłem się tak piekielnie, że nawet rzucających gumkami przystopowało, równocześnie starałem się uważać, żeby Niila nie stratował adaptera. Przez to, że igła przeskakiwała tam i z powrotem, kawałek nie mógł się skończyć. Niila zrobił gwałtowny ruch, sznurek odzepił się, a gitara wyrznęła w mapę na ścianie; w Finlandii, na wysokości Jyvaskyla, powstała głęboka dziura, aż w końcu przez moje wrzaski dotarł do mnie krzyk nauczycielki. W tym czasie Niila zaplątał się w skakankę i jak łoś wpadł na mnie na sztywnych nogach, razem wlecieliśmy na adapter, aż ramię odskoczyło i wszystko nareszcie ucichło.

Leżeliśmy tak jeden na drugim. Niila stracił oddech, mógł tylko nabierać powietrza, ale nie mógł wypuścić, zapał tylko, a płuca napępniały się aż do granic wytrzymałości. Moja warga miała smak krwi i soli. Zaległa taka cisza, że można było usłyszeć kichnięcie myszy.

Później dziewczyny zaczęły klaskać. Słabo, ale z sympatią. Chłopaki mamrotali z zazdrości, a ja dostałem w czaszkę potężny cios gumką.

Wtedy dotarło do mnie, że jednak nie była to taka kompletna porażka.

Kolejne dni nie były lekkie. Niila dostał lanie, kiedy w domu odkryli, co zrobił, ale mężnie powiedział, że warto było. Mnie też groziła śmierć i kastracja, gdy siostra zobaczyła pokiereszowaną płytę. Ledwie uszedłem z życiem, godząc się na mordercze raty – siostra miała odtąd przez niemiłośierne długi czas co tydzień rekwirować moje kieszonkowe.

Bardziej osobliwa była reakcja dziewczyn. Jak większość chłopaków w tym wieku uważałem, że jestem nieśmiały i brzydki, ze skołtunionymi włosami, kartoflanym nosem i zdecydowanie zbyt wątlymi ramionami. Ale nagle zaczęły śledzić nas spojrzenia. Krótkie, nieśmiałe, rzucane w kolejce w stołówce, ukradkowe uśmiechy z grupki dziewczyn przed salą zetpetów. Dostaliśmy zaproszenie do skakania w sznura, z czego nieśmiało skorzystaliśmy. Najbardziej zazdrośni chłopacy przezywali nas czarusiami. Wszystko to zbijało nas z pantałyku i raczej przerażało.

Nadal rzępoliliśmy w garażu piosenki, które usłyszałem w radiu, a potem odtwarzałem z pamięci. Niila skakał z deską, a ja śpiewałem. Nie brzmiało już tak fatalnie od czasu, gdy nauczyłem się nie zaciskać gardła, ale śpiewać bardziej z głębi piersi. Głos stał się pewniejszy i czasem rzeczywiście mógł przypominać muzykę. Wtedy Niila uśmiechał się do siebie i poszturchiwał mnie przyjacielsko. Czasem robiliśmy przerwy między kawałkami, dyskutowaliśmy o związku między dziewczynami a rockiem, piliśmy lemoniadę Merry i czuliśmy się podenerwowani.

Sytuacja się zaostrzyła kilka tygodni później, gdy dziewczyna z ulicy Strandvägen zorganizowała imprezę klasową. Po lemoniadzie i popcornie przyszedł czas na grę w butelkę. Zanim zdążyliśmy z Niilą się wymknąć, zostaliśmy zaciłowani przez dziewczyny, a ja chodziłem z jedną cztery dni, zanim zerwałem i oddałem jej naszyjnik, pierścionek z mosiądzu i zdjęcie, na którym była w swojej koronkowej bluzce umalowana maminą szminką.

Krótko potem wszystko się skończyło. Dziewczyny znalazły sobie bardziej fascynujące obiekty zainteresowania – starszych chłopaków z szóstej. Niila i ja znaleźliśmy się nagle na boczniczy i długo próbowaliśmy przekonać nauczycielkę do ponownego zagrania na godzinie wychowawczej, ale szorstko uciniała rozmowę. Spytałem dziewczynę, którą wcześniej rzuciłem, czy będzie ze mną chodzić, ale dostałem kosza. Był pozostawał niezgłębiony.

ROZDZIAŁ 9

Gdzie nasi bohaterowie zaczynają czwartą klasę i z pewnym wysiłkiem uczą się chwytów

Po trzech latach w Starej Szkole większość smarkaczy potrafiła czytać i liczyć, nadszedł więc czas na klasy starsze w pajalskiej Szkole Centralnej – w klocku z żółtej cegły przypominającym lego. Rok szkolny rozpoczął się kampanią na rzecz mycia zębów. Można by powiedzieć, że było to bardzo potrzebne: podczas ostatniej kontroli dentysta odkrył u mnie sześć dziur, a u Niili dziewięć. U innych w klasie też było niewesoło, gmina musiała zamówić z Linköping dodatkową ciężarówkę amalgamatu. Grupami wchodziliśmy do szkolnego gabinetu i ssaliśmy kolorowe tabletki, aż nalot na zębach stawał się paskudnie czerwony, po czym, patrząc w lustro, ćwiczyliśmy szczotkowanie zębów pod nadzorem surowego babsztyla. Kólecčko, kólecčko, kólecčko, przynajmniej dziesięć razy w każdym miejscu. Nie wiem, czy właśnie dzięki temu, czy raczej zawdzięczamy to fluoryzacji, ale przez resztę szkoły nie miałem już ani jednej dziury.

Dentyści zauważyli oczywiście, że mieli coraz mniej do borowania i szybko zaczęli się rozglądać za innym zajęciem. Wybawieniem okazało się prostowanie zębów. Co tydzień wysyłano do ortodonta jakąś ofiarę, która wracała z gębą pełną drutów i plastiku. Jeśli tylko ząb był choć odrobinę *klinkku*, trzeba go było wyprostować. U mnie chodziło o kieł, który nie stał na baczność – ile ja się, psiakrew, musiałem nabiegać do tej przychodni! Ortodontka ze zmartwienia zawsze marszczyła czoło, po czym wyjmowała obciążki i napinała druty w uździe tak, że cała czaszka pękała z bólu. Natychmiast po wyjściu od niej luzowałem naciąg kluczem do roweru i miałem spokój do następnej wizyty. Czasami przychodził Specjalista, łysy facet z Luleå. Jedyna różnica polegała na tym, że napinał jeszcze mocniej, a jego palce smakowały cygarami, gdy mi grzebał w ustach.

Wraz z przejściem do starszych klas wchodziliśmy w okres dojrzewania. Na przerwach obserwowaliśmy, co nas czeka. Kilka par z siódmej klasy całujących się i trzymających za ręce. Dziewczyny palące po kryjomu za rogiem. Makijaż tym bardziej wyzywający, im starsza klasa. Wydawało się to przerażające, niepojęte. Czy sam też tak się zmienisz? Tak, to było w środku u każdego, czuło się to. Ziarno. Już kiełkuje, wkrótce stracisz kontrolę.

Ponieważ mówi się, że dobrze jest znać inne języki, zaczęliśmy się uczyć angielskiego, a nasz stary miejscowy fiński słyhać było na szkolnym boisku coraz rzadziej. Zacząłem spisywać angielskie hity, słuchając listy przebojów „Tio i Topp”. A że nie mieliśmy jeszcze w domu magnetofonu, musiałem spisywać teksty podczas audycji, najszybciej jak tylko potrafiłem. Nie rozumiałem jeszcze słów, zapisywałem fonetycznie, uczyłem się wszystkiego na pamięć i później śpiewałem Niili w garażu kawałki, jak „Olju nidis law” czy „Łajte szejd ofpejl”.

Niila był pod wrażeniem. Kto mnie nauczył angielskiego?

– Sam się nauczyłem – odpowiedziałem nonszalancko.

Niila rozważał to przez moment. Po chwili podjął śmiałą decyzję. Nauczy się grać na gitarze.

Udało mi się pożyczyć od wujka akustyczną gitarę, którą kupił na wycieczce do Bułgarii. Potem nastał gorączkowy okres: zdobywanie nut dla początkujących w sklepie muzycznym w Luleå, wstęp do tajemnej sztuki strojenia, krótkie, sztywne chłopiące palce, cyfry i kropki, które

powinny stać się dźwiękami, ale się wcale nie stawały, nowe umiejętności w tajemnej sztuce strojenia, wrogi klimat w domu u Niili, zmuszający go do ćwiczenia u nas w garażu, aż do czasu, gdy nadeszły zimowe chłody, przeprowadzka do kotłowni, wciskanie waty pod struny, żeby moi rodzice nie usłyszeli i nie wygadali, pierwszy akord, którym był e-moll, brzmiący tak, jakby ktoś skakał po blaszanym dachu, drugi, a-moll, brzmiący jakby skakanie skuteczniały dwie osoby, moje śpiewanie do akompaniamentu Niili z trwającymi wieczność pauzami na zmianę chwytu, takimi, że traciłem oddech, na co reagował totalnym brakiem poczucia humoru, a to nie raz kończyło się bójką, moja całkowita niemożność – mimo ośmiu prób – odgadnięcia tytułu pierwszej piosenki, jakiej nauczył się Niila, i towarzyszące temu ocalenie gitary na ułamek sekundy, zanim by się roztrzaskała o betonową posadzkę.

Krępujące było to, że sam nauczyłem się grać w dużo krótszym czasie. Moje palce są długie i rozczapierzone, to dziedziczna cecha. Ręce poczuły się na gryfie gitary jak w domu, jak pająk wspinały się i przędły akordy z łatwością, która mnie samego zdumiewała. Zanim zabrzmiał pierwszy czysty akord Niili, ja już nauczyłem się „House of the rising sun” i pokrętnymi drogami zdobyłem książkę o dźwięczącej dżungli chwytów *barré*. Niila zawsze zostawiał gitarę w piwnicy. Kiedy tylko zobaczyłem, że już zniknął, mogłem sobie pofolgować.

Oczywiście nie mogłem pokazać Niili, czego się nauczyłem. To by go załamało. Już w tym wieku zaczęły się ujawniać jego skłonności do czarnych depresji i pogardzania sobą. Tymczasem tutaj czuł się najlepszy ze wszystkich, całkiem głuchy na to, jak fatalnie to wszystko brzmiało, zadufany w sobie i zarozumiały, pewien nadchodzącej sławy. Czasem udawałem, że próbuję grać na gitarze i umyślnie grałem źle, widziałem, jak chichotał przez nos tak mocno, że aż smarki wychodziły. Dobra, w takich wypadkach bliski byłem zdradzenia się, nawet moja cierpliwość miała granice. Ale ze sporym wysiłkiem udawało mi się powstrzymać.

Już w tym czasie kilku chłopaków z klasy zaczęło zażywać snus. Nagle na dzinsach zauważało się okrągłe wybrzuszenia od pokrywek, a na przerwach rozchodził się charakterystyczny, herbaciany zapach tytoniu. Nieprzyzwyczajeni, szybko byli na haju i rozszerzały im się źrenice. Wydzierali się w kącie, który okupowali, potem rozłazili się po korytarzu, próbując przyciągnąć uwagę dziewczyn przez nazywanie ich cipami i kurwami. Po wufie chłopaki stali pod prysznicem i ściągali przed sobą napletki. Zaczęły się opowieści o tych, którzy już się pieprzyli. My – wolniej dorastający albo po prostu bardziej nieśmiali – obserwowaliśmy to z przerażeniem. Przemiana zaszła tak nagle. Ci sami zwyczajni starzy kumple byli teraz podnieceni snusem i hormonami. Prawie jak ćpuni, szukający zaczepki, nieobliczalni. Instynktownie trzymaliśmy się z daleka.

Im więcej tytoniu zażywali, tym bardziej wstrętnei wydawali się dziewczynom. Snus między zębami, brązowe od tytoniu opuszki palców, oślinione lepkie porcje snusu na ścianach i w umywalkach. Na lekcjach nie wolno było żuć tytoniu, ale oni mieli to gdzieś. Przed dzwonkiem na lekcje wciskali porcję tylko trochę bardziej płasko pod wargę.

Kiedyś jeden z amatorów snusu został całkiem niespodziewanie wezwany do tablicy. Miał wygłosić referat, o którym zupełnie zapomniał. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. Gdy tylko otworzy gębę, nauczyciel go zdemaskuje i zmyje głowę, co zawsze było niezwykle interesujące dla widzów. Chłopak miał stracha, to było widać. Twarz mu pobladła, trochę się trząsał. Potem zaczął coś mamrotać pod nosem. Cała klasa gapiła się w napięciu. Chłopak ledwie otwierał usta, nauczyciel kazał mu mówić głośniej. Posłuchał, ale jednocześnie zasłonił kartkami usta.

– Chyba nie zażyłeś snusu? – zapytał nauczyciel.

Kręcenie głową.

– Wiesz chyba, że to zabronione!

Szybkie kiwnięcie.

– Mogę sprawdzić?

Chłopak stał sparaliżowany, a nauczyciel uniósł mu wargę. Upłynęło kilka sekund. Potem ni stąd, ni zowąd pozwolił mu wrócić do ławki. Żadnych wrzasków ani nagany, żadnego grożenia uwagą czy rozmową z dyrektorem.

Wszyscy byli zawiedzeni i zbici z tropu. Na przerwie klasa stłoczyła się wokół chłopaka, pytając, co się stało. Popatrzył spokojnie dookoła.

– Połknąłem – stwierdził chłodno.

Długo się potem o tym mówiło.

Już w szóstej klasie ujawnił się nieporadny stosunek Niili do dziewcząt. Nie chodziło o jego wygląd, nawet jeśli nie był specjalnie piękny ze swoim fińskim kartoflanym nosem, wystającymi kośćmi policzkowymi i wiecznie tłustymi włosami, niezależnie od tego, jak często je mył. Był ode mnie znacznie chudszy, trochę bardziej niezdarny, zbyt zamaszysty w ruchach. Nie był jednak odpychający. Przeciwnie, miał coś w rodzaju niezbyt intensywnej aury, energii, która miota się jak zwierzę w klatce i szuka wyjścia. Wewnętrzny ogień to chyba za dużo powiedziane, prędzej coś ciepłego, ale zranionego. To coś kiełkowało w nim i nie uszło uwagi dziewczyn, to tam tkwiła wola, kręgosłup, twardejacy w korzeń.

Z dziewczynami to jest tak, że są różne. Niektóre szukają stabilizacji, chcą mieć facetów, którzy wstają wcześniej rano, facetów, którzy chwycą za narzędzia czy broń, którzy budują własny dom na ziemi rodziców w Anttis albo Jarhois, przygotowują ziemię pod kartofle kultywatorem wuja. Dziewczyny tego typu czuły się nieswojo, gdy spotykały Niilę. Sam widziałem to wiele razy na przestrzeni lat. Odstraszał je milczeniem i rozbieganym wzrokiem albo jeszcze gorzej – udawał lekceważenie. Próbowiał nauczyć go podstaw sztuki uwodzenia, nie żebym sam posiadał duże umiejętności w tej dziedzinie, ale też nie byłem tak do tyłu jak on. Elementarną zasadą jest wybieranie tych dziewczyn, które cię lubią. Nieważne jak niewiarygodnie to brzmi, zawsze znajdzie się jakaś choć trochę zainteresowana. To na nie trzeba postawić. Niila zawsze postępował odwrotnie, zawsze zakochiwał się w dziewczynach, które go raniły. W dziewczynach, które go nie zauważały, kpiły z niego wobec przeraźliwie chichoczących koleżanek, dziewczynach, które były zdecydowanie za ładne albo złośliwe, które bawiły się nim jak kot pisklęciem. Żał było na to patrzeć. W tle cały czas kręciły się jakieś inne, nie w moim typie oczywiście, ale w każdym razie jakieś były. Dziewczyny, które chciały wyrwać się z domu. Takie, które chciały ryzykować, zwisać na palcach na skalnej ścianie, które chciały nurkować w nocne niebo. Uzdolnione artystycznie panny, zadumane, zapisujące wiersze w pamiętniku, rozmyślające o Bogu i sadomasochizmie, dziewczyny czytające książki dla dorosłych, przesiadujące w kuchni, gdy faceci politykowali. Takiej właśnie potrzebował. Przedwcześnie dojrzałej komunistki o silnych palcach, na przykład z Aareavaara.

Działo się to, gdy dojrzałość płciowa nie ujawniła się jeszcze na dobre. Były to pierwsze lata dorastania, gdy więź z psiapsiółką i naturalna hierarchia zostają zastąpione przez nowy system wartości oparty na sile atrakcyjności. Przygarbione, lęklive małe dziewczynki mogły nagle wyrosnąć na smukłe piękności o wysokich kościach policzkowych. Małe nieopierzone chłopaczki z dołkami w policzkach mogły przemienić się w dorosłe pawiany z wystającymi kłami. Niemowa z Erkheikki mógł nagle zacząć mówić i roztaczać nie rzucający się w oczy, zniewalający czar, a za to jakaś gadatliwa dziewczyna z Pajali mogła zniknąć w niewyjaśnionych depresjach i powoli zamienić się w kogoś, z kim nikt się już nie liczy.

Ja należałem do tych dzieci, które z wiekiem robią się brzydsze, ale moja aura się wzmocniła. Niila zrobił się i brzydszy, i bardziej opryskliwy, a muzyka stała się jego jedynym wytchnieniem na tym świecie.

Próbowałem nauczyć go pewnego prostego chwytu: myśl o śmierci, gdy natkniesz się na dziewczyny. Mnie to pomogło wiele razy w życiu i było zaskakująco skuteczne. Umrę przecież za marne kilkadziesiąt lat. Moje ciało obróci się w proch na wieczne czasy. To samo stanie się z dziewczyną, wszyscy wkrótce zostaniemy zdeptani i znikniemy. Za tysiąc lat nasze życie, nasze najśłodsze marzenia i najgorsze obawy rozsypią się w pył i proch. Jakie to ma znaczenie, czy mnie spławia, czy zadziera nosa, czy śmieje się prosto w twarz? Dzięki temu cynicznemu nastawieniu zdarzało mi się nieraz dokonać doniosłych czynów w sferze miłosnej, miałem na przykład odwagę zadawać się z niebezpiecznie pięknymi kobietami, czasem nawet skutecznie.

To była jedyna rada, której Niila naprawdę posłuchał. Zaczął myśleć o śmierci częściej niż o dziewczynach. Facet stał się, krótko mówiąc, nie do zniesienia. Wkrótce miał potrzebować mojej pomocy, ale nikt z nas jeszcze nic o tym nie wiedział.

ROZDZIAŁ 10

O nieproszonej nocnej wizycie, hojnym szkielecie – biedaczysku i o tym, jak w tarapatach otrzymuje się pomoc

Gdzieś w moim ciele przełącznik zaskoczył i jazda rozpoczęła się na poważnie. Dojrzewanie. To było wiosną, w szóstej klasie, nic dramatycznego się nie zdarzyło, byłem tylko niesamowicie świadomy przemiany. To nie w ciele, jeszcze nie widać było żadnych zewnętrznych oznak, tylko w umyśle. Coś się zdarzyło tam w środku, ktoś nowy zajął tam miejsce. Ktoś przypominający mnie, ale jednak nie ja. W moim życiu pojawiła się kapryśność, z którą nie zawsze potrafiłem sobie poradzić. Niecierpliwość, której sam nie rozumiałem. I niespodziewane, zaskakująco silne zainteresowanie seksem.

Pewnego popołudnia pod koniec szóstej klasy leżałem na łóżku i przerzucałem kartki „Lektury”. Kupiłem ją po kryjomu, kiedy byłem w Luleå, gdzie nikt cię nie zna i nie zacznie szykanować. Nie ma nic gorszego niż znaczące spojrzenia w samie papilotowych panius w średnim wieku, które znają i ojca i matkę, a ich atrakcyjne córki chodzą do równoległych klas. Kupowanie „Lektury” było jednoznaczne z przyznaniem, że jest się napalonym. W ten sposób odślaniałeś się, lądowałeś na słabszej pozycji, zaczynałeś się czerwienić i jąkać.

Nagle w moim pokoju zjawił się Niila. Zerwałem się, schowałem gazetę i podkurczyłem szybko nogi, by ukryć wybrzuszenie.

– Cholera! Myślałem, że to matka!

Nie odpowiedział. Wśliznął się właściwym sobie bezszelestnym sposobem i stał teraz bez ruchu jak ściana. Próbowałem ukryć moje zażenowanie i doszedłem do wniosku, że najlepszą obroną będzie atak. Gburowato otworzyłem rozkładówkę. Czarny koronkowy stanik, pożądlivy wzrok i wysokie czerwone kozaki na szpilkach.

– Powieś ją sobie na ścianie w domu – zaproponowałem chłodno.

Niila wzdrygnął się na myśl o niemożliwym. Ale nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny. Nawet nie próbował wziąć gazety, więc przewracałem za niego kartki i pokazywałem zdjęcie za zdjęciem.

– Zobacz, związała go. Popatrz tu, gumowe ciuchy. A ten list musiałeś napisać ty, Niila: „Przestałem być prawiczkim na obozie przed confirmacją”.

Widziałem, jak to Niile łaskotało. Równocześnie jednak był sztywny, nastawiony negatywnie, dbał o swą godność. Głowa drżała odrobinę, jakby z całej siły napiął mięśnie szyi. Im bardziej się bał, tym mniejszy stawał się mój własny wstyd, dźwigał go za mnie. Rozochocony wcisnąłem mu szmatławca w rękę.

– Niila, musisz wybrać dziewczynę! Jakąś z gazety, którą chcesz?

Wtedy jakby uszło z niego powietrze. Osunął się na krzesło i westchnął, pochylił się do przodu, jakby źle się poczuł – niezbyt dziwne zachowanie u nieśmiałyh tornedalczyków, gdy czują się zmuszeni, by zabrać głos. Odchrząknął i przełknął ślinę, tak by słowa znalazły miejsce w ustach.

– Babcia... – powiedział i ucichł.

– No, co z nią? – próbowałem mu pomóc.

- Ona... ona nie żyje...
- No wiem, już od dawna.
- Ale ona wróciła!

Teraz, gdy knebel puścił, wylała się też reszta, urywana i charcząca. Z rosnącym przerażeniem słuchałem, jak Niila zrzuca ciężar z serca.

Babcia zaczęła straszyć. Przeszło trzy lata po zgonie wróciła do swojego starego domu. Chociaż została pogrzebana ze wszystkimi laestadiańskimi honorami, nie zaznała spokoju.

Pierwszy raz, gdy ją zobaczył, była niewyraźną plamą, przypominającą wędrujące refleksy światła, które można uchwycić kątem oka. Z czasem zaczął też odczuwać słabe powiewy powietrza, jakby ktoś oddychał w jego pobliżu. Z biegiem czasu przybierała coraz bardziej realne kształty, napuchła i nawet zaczęła wydawać dźwięki. Stopniowo odzyskiwała swoje miejsce w rodzinie. Kołysała się w dół ze strychowych schodów na sztywnych biodrach, szeroka i rozeschnięta. Przez kilka nocy siedziała przy kuchennym stole i jadła, gniotła ziemniaki i marchew w niedojedzonej jarzynowej z mięsem na szarą papkę, którą potem głośno siorbała. Cuchnęła okrutnie. Słodkawy zapach potu starej kobiety, zmieszany z odorami stęchłego, podziemnego świata.

Dziwne było to, że jedynie Niila zdawał się zwracać na nią uwagę. Pewnego razu kobiecina stała na środku kuchni i łapała muchy, potem swymi żółtymi opuszkami palców zgmiotła je i wmieszała do miski pólisy na środku stołu. Wszyscy poza Niilą dalej jedli flaki z kaszą z apetytem.

Niila dzielił pokój na piętrze chaty ze starszym bratem Johanem. Brat miał bóle związane z rośnięciem, a przez to niezwykłą potrzebę snu i – jak to faceci – spał mocno i chrapał, Niilę natomiast łatwo było obudzić.

Pewnej nocy, całkiem niedawno, Niila znajdował się w samym środku głębokiego snu. Bardzo głębokiego snu, powtórzył, lekko się czerwieniąc, tak że pojąłem, o co w nim chodziło. Ale w środku przyjemności dotarł do niego ostrzegawczy sygnał, wzdrygnąwszy się, otworzył oczy.

Pochylona nisko nad nim stała babcia. Jej policzki były pomarszczone we wścieklej złości, w jej otwartych bezzębnych ustach kołatały się bezgłośnie słowa, a kwaśna ciecz kapiała mu na twarz. Niila krzyknął tak głośno, że Johan przestał chrapać i obrócił się na drugi bok. Wtedy upiór zniknął.

Tej nocy znów coś go obudziło. Tym razem staruszka objęła szponami jego szyję. Były zimne jak stał. Zaczęła je zaciskać, ale zabrakło jej ostatecznej siły. Ogarnięty paniką, kopiąc, zdołał się uwolnić. Aż do świtu siedział zamknięty w toalecie przy zapalonym świetle, z nożem do obrony. Słyszał postukiwania rygla i widział świetliste opary wciskające się pod próg, ale zniknęły, gdy polał je gorącą wodą.

Niila odchylił kołnierzyk i zauważyłem sinoczerwony ślad wokół jego szyi, jakby ktoś zaciskał sznur. Przypominał odmrożenie, martwe wgłębienie w skórze.

Słuchałem go z rosnącym przerażeniem. Gdy skończył, chciałem coś powiedzieć, spróbować pocieszyć, może dodać mu otuchy. Ale nie umiałem. Jego twarz była pusta i sflaczała, jak twarz starego człowieka.

- To zbyt wiele – wymamrotałem.

Głowa Niili drżała jeszcze bardziej. Wtedy wyjął stary singiel Beatlesów i wyciągnął w moim kierunku. Dostaję go w spadku, poinformował krótko, nic innego wartościowego nie posiadał.

Poprosiłem, żeby nic już nie mówił, ale czułem, jak udziela mi się jego nastrój. Strach wspinał się po moich nogach, zerwałem się gwałtownie.

- Możesz spać u mnie.
- Spać? – wyszeptał, jakby to słowo było pozbawione treści.

Powiedziałem, że to jedyna możliwość. Gdy tylko wszyscy się położą, Niila miał się wymknąć przez okno, zejść po drabinie pożarowej i spędzić noc w moim pokoju. Miał potem wrócić do siebie o świcie, kiedy niebezpieczeństwo minie. Rodzice nie muszą nic wiedzieć, jeśli tylko dobrze to rozegramy.

Następnie należało zdobyć łopaty, odkopać grób na pajalskim cmentarzu i mocno wbić zaostroszone sosnowy kołek, przebijając wstrętne serce staruchy.

Niila, który nie miał w domu telewizji i przez to nie posiadał elementarnej wykształcenia, odmówił na to zgody. Sam również dostrzegałem trudności, nie tylko ze względu na zbyt jasne wiosenne noce.

Pozostała w takim razie tylko jedna możliwość. Obaj z Niilą wiedzieliśmy, że to nieuniknione. Jeden z nas musiał w końcu to zaproponować. Wypadło na mnie.

– Musimy pójść do Ryssi-Jussiego.

Niila pobladł. Zamknął oczy. Złapał się za szyję, jakby zakładał sobie stryczek.

Ryssi-Jussi był jednym z ostatnich prawdziwych domokrażców w Tornedalen i jedną z najbardziej przerażających osobistości w okolicy. Przypominający wronę, pochylony do przodu dziad, pomarszczony jak kartofel do sadzenia, o policzkach pokrytych wątrobianymi plamami. Jego nos był zakrzywiony jak dziób, brwi zrosnięte, a wargi dziewczęco pełne, czerwone i wilgotne. W obejściu był przykry i szydery, pamiętliwy i żądny zemsty. W miarę możliwości unikało się go.

W czasie długich *tournée* między leśnymi wioskami podobny do stracha na wróble pedałowal na damskim rowerze z tekturową walizką na bagażniku. Człapiąc, wchodził do kuchni jak osoba urzędowa i zasypywał kuchenne stoły sznurowadłami, zamkami błyskawicznymi, płynami do włosów, guzikami, chustkami do nosa, żyłkami, szpulkami nici i łapkami na myszy. Ale głęboko w torbie, w specjalnej przegródce miał to, co czyniło go nieodzownym, tak, wręcz upragnionym. Były to słoiczki z brązową, płynną mazią, która miała tornedalską nazwę *nopat*. Substancja posiadała tę właściwość, że potrafiła obudzić pożądanie u najbardziej wyniszczonej baby i uleczyć najbardziej beznadziejnego chłopca. Plotka głosiła, że krople pochodzą ze specjalnego grzyba, który Ryssi-Jussi przywoził z północnej Finlandii i który – sądząc z zeznań świadków – musiał zawierać jakieś halucynogeny.

Jussi urodził się jako bękart w Finlandii – ówczesnej prowincji rosyjskiej – tuż przed końcem wieku. Matka, która była dziewczką do pomocy w oborze, wychowała go w nienawiści do zwierzchności i możnych chłopów, którzy mogli bezkarnie gwałcić służące. W 1918 roku jako nastolatek walczył w wojnie domowej po stronie czerwonych. Po klęsce Jussi uciekł, jak wielu innych współbraci w cierpieniu, do nowo narodzonego robotniczego raju – Związku Radzieckiego. Nie minęło wiele lat, a Stalin zaczął siać spustoszenie. Ponieważ każdego obcokrajowca zaczęto traktować jak szpiega, Jussi został aresztowany i zesłany na Sybir. Tam, w obozie pracy zebrali się fińscy i tornedalscy bracia komuniści i próbowali wmówić sobie, że stali się ofiarami straszliwej pomyłki, którą ojciec narodu Józef wkrótce w swej mądrości odkryje, a oni w jednej chwili zostaną uwolnieni wśród uroczystych przeprosin i honorów.

Jednym ze współwięźniów był stary Lapończyk z półwyspu Kola. Już przy pojmaniu był wychudzony z głodu, bo wioski lapońskie zamienione zostały w kołchozy, a Stalin – co by o nim nie mówić – orłem w sprawach hodowli reniferów na pewno nie był. Szkielet – biedaczysko – czuł, że jego koniec już bliski, a ponieważ dzielił pryczę z Jussim, ten stał się jego powiernikiem. Mieszaniłą lapońskiego, fińskiego i rosyjskiego staruszek mamrotał opowieści o tajemniczych silach i wydarzeniach. O zagojonych czyrakach, o wyleczonym obłądźcie, o stadach reniferów przeprowadzonych bezpiecznie przez gęste od wilków noce. Były słowa. Były oczy wędrujące w powietrzu jak dwa jądra, podczas gdy właściciel leżał przykryty skórą renifera. Była krew, która

ciekła z powrotem do rany, aż pozostała tylko biała blizna. Była też, krótko mówiąc, możliwość wydostania się z obozu.

Podczas długich, mroźnych nocy starszek pouczał Jussiego, jak ma uciec i ocalić w ten sposób odwieczną mądrość dla przyszłych niepewnych czasów, kiedy to z całą pewnością będzie potrzebna.

– Gdy umrę – rzeźił starszek – wyniesiesz mnie i zakopiesz w zaspie. Zaczekasz, aż będę całkiem zamarznięty, to na pewno nie potrwa długo, poczekaś, aż będę skostniały i sztywny. Wtedy odłamiesz mały palec mojej lewej ręki. Tam zebrałem moc. Odłam palec i połknij, zanim zobaczą cię strażnicy.

Wkrótce potem starszek zmarł, był tak chudy, że zagrzechotał, gdy Jussi nim potrząsnął. Potem Jussi postąpił według wskazówek i wystawił starca do syberyjskiej zamrażarki. Z trzaskiem odłamał brudny palec przy stawie, szybko wetknął go do ust i połknął w całości. I już nigdy nie był taki, jak przedtem.

Odczekał do przedwiosennego wieczora pod koniec kwietnia. Nastał właściwy czas, skorupa zlodowaciałego śniegu była twarda i łatwo się po niej chodziło. Gdy strażnicy obozu mieli jeden ze swych melancholijnych, sentymentalnych wieczorów z wódką, Jussi poszedł do wychodka. Tam przemienił się w kobietę. Wyszła. Była brudna i wyniszczona, ale piękna. Delikatnie zapukała do strażników. Łagodnie i sprytnie podjudziła jednych przeciw drugim, a kiedy knykie i wargi krwawiły, droga ucieczki stanęła otworem. Z dwoma suchymi kawałkami chleba i odłamanym kawałkiem noża rozpoczęła swą długą wędrówkę w stronę Finlandii.

Następnego ranka strażnicy rozpoczęli bezlitosną nagonkę. Kiedy żołnierze ją dopędzili, zmieniła ich zapach i rozszarpały ich własne psy. Z zabitych odkroiła sobie porządny zapas mięsa, przypięła ich narty i dzięki temu po niecałych dwóch miesiącach mogła przeczłgać się pod drutem kolczastym na fińskiej granicy. Na wszelki wypadek przemierzyła jeszcze całą Finlandię, ogromne lasy, aż dotarła do rzeki Torneälven. I tam, po drugiej stronie została. W szwedzkiej Tornedalen.

Dopiero tu, w bezpiecznym miejscu, po raz pierwszy Ryssi-Jussi spróbował przemienić się z powrotem w mężczyznę, ale nie całkiem mu się to udało. Uplęnięto zbyt dużo czasu. Dlatego przez resztę życia nosił spódnicę. Najczęściej grubą, długą ze zgrzebnej, sfilcowanej wełny, ale na niedziele zakładał lepszą, czarną. Na długich siwych kłakach miał zawsze chustkę, a gdy odpoczywał w chacie, nosił również własnoręcznie uszyty fartuch, ale w żadnej, najbardziej nawet nieokrzesej wiosce w Tornedalen nikt nie ośmielił się szyderczo uśmiechać na jego widok. Zamiast tego odwracano wzrok i zostawiano drogę wolną, gdy Ryssi-Jussi pedałowal, pochylony do przodu, kiwając się mocno na boki, z przenikliwym wzrokiem i łopoczącą spódnicą. Wiedźma o basowym głosie, szeroka w barach jak drwal, ale z przenikliwą kobiecą przebiegłością.

Wymknęliśmy się w pogodny wiosenny wieczór i pognaliśmy do Niili. Przy narożniku stodoły stał należący do starszego brata trzykołowy dostawczy motorower z bagażnikiem-platformą na przodzie. Niila wrzucił na luz i pchał go przez żółtą zeszłoroczną trawę w stronę wydeptanej ścieżki. Gdy byliśmy już poza zasięgiem słuchu, Niila zastartował. Motorower wykaszłał niebieskobiałe spaliny. Usadowiłem się porządnie na bagażniku. Niila wrzucił jedynkę i nieporadnie pokierował na drogę. Stopniowo zwiększaliśmy prędkość, rżąc skrzynią biegów i terkocząc kłębami spalin w takt na dwa, telepaliśmy się, coraz dalej od Pajali.

Wybraliśmy starą zwirową drogę po drugiej stronie rzeki, która była najmniej uczęszczana i rzadko kontrolowana przez policję z Gällivare. Wszędzie wokół wzbierały ożywcze soki, było tuż przed zieloną eksplozją lata. W mchu gniły zeszłoroczne liście, brzozy stały gołe z nabrzmiętymi pączkami, po nasłonecznionej stronie rowu ciepło obudziło kiełkujące pędy

skrzypu, które w dziwny sposób przypominały smukłe, długie i sterczące fiuty. Szeroka po ruszeniu lodów rzeka przybrała niebieskoczną barwę. Wspinaliśmy się w górę rzeki wąską żwirówką, potem zjeżdżaliśmy w dół przez kolejne pokryte lasem wzgórza, szemrzące rowy, zaczynające się zielenić na brzegach bajor kępy turzyc. Półożąc na bagażniku, napełniałem płuca sokami i wiosenną żywicą. Wieczorny chłód podnosił się z dolin i czułem, jak przenika przez kalesony. Napotkaliśmy tylko jeden samochód, facet wyciskał rekord prędkości ze swojego podrasowanego Amazona na nieobjętym żadnym ograniczeniem prostym odcinku, tuż przed mostem koło Autio. Kamyki bębniły o blachę, kiedy z rykiem zbliżał się do nas. Uniosłem się niespokojnie, a on nawet nie oderwał wzroku od prędkościomierza, kiedy mijał nas jak sygnał grany na trąbce.

Przejechaliśmy przez most na rzece i kontynuowaliśmy jazdę szerszą, wyasfaltowaną drogą na Kirunę. Wioski Erkheikki i Juhonpieti mignęły swymi łąkami i pomalowanymi na czerwono chatami, potem znów pojawił się las. Tu i ówdzie między kępami drzew dostrzegaliśmy migoczącą rzekę, przypominającą wypolerowaną blachę. Leżała wyciągnięta na grzbiecie i gapiła się w górę w jasne wiosenne przestworza z nadciągającymi stadami wędrownych ptaków.

W końcu skręciliśmy w wyboistą leśną drogę. Podskakiwaliśmy i kołysaliśmy się, zjeżdżając z niewielkiej pochyłości, a las rzedł i rozjaśniał się. Na koniec ujrzelśmy rzekę z ostatnimi krami na brzegu. Wyżej leżały liche łąki, niegdyś wyrwane dzikiej ziemi, dziś zarośnięte młodymi osikami i świerczkami. Nieco wyżej na zboczu, poza zasięgiem wiosennych przyborów rzeki stała stara drewniana chałupa. Była szara, z czarnymi szybami okien. Przed gankiem stała damka.

– Jest w domu – wymamrotałem i zgramoliłem się z bagażnika.

Tyłek bolał po długiej jeździe. Niila zgasił silnik i w okolicy zrobiło się niesamowicie cicho. Na trzęsących się nogach skradaliśmy się przez podwórze w stronę ganku. Zasłony w oknie poruszyły się. Zapukałem i pchnąłem nerwowo rozeschnięte drzwi. Wśliznęliśmy się do środka.

Ryssi-Jussi siedział przy stole w kuchni. Miał na sobie poplamiony fartuch, który kiedyś był biały, na głowie brązową, niedbale zawiązaną chustkę. Wystawały spod niej tłuste szare kłaki i zwisały na ramiona. W kuchni czuło się silny zapach starego człowieka, kwaśny i duszący smród, mieszanek przypalonego mleka i zjełczałego mięsa. Była też typowa woń chaty, jaką można spotkać w całej Tornedalen, lekka stęchlizna z wygrzebanej w ziemi piwnicy i gałgankowych chodników; chłodu i starej wełny. Zapachy biedy, które wcisnęły się w sam zrąb domu i nigdy całkiem nie znikają, niezależnie od tego, ile razy się go remontowało.

– *No nykkös tet tuletta*. A więc przyszlście.

Wskazał w stronę stołu, gdzie stały już przygotowane dwa parujące kubki. Musiał przeczuwać, że się zbliżamy. Pod ukradkowym świdrującym spojrzeniem zaczęliśmy siorbać kawę, która miała dziwny posmak kwaśnej wody ze studni.

Po szorstkiej zachęcie Niila zaczął mamrotać po fińsku całą swoją opowieść. Wszystko, od zgonu babci przed trzema laty do jej okropnego powrotu i próby zabójstwa przez zaciskanie rąk na gardle Niili. Ryssi-Jussi pogładził się po zaroście szczupłym palcem wskazującym. Paznokciec był długi i dokładnie opiłowany w szpic. Przy nasadzie widać było resztki czerwonego lakieru.

Kiedy ucichliśmy, staruch dziwnie na nas łypnął. Oczy zamarały, stały się jakby szklane i skostniałe. Twarz pofałdowała się i skurczyła w supeł. Pośrodku, pomiędzy zmarszczkami źrenice rozszerzyły się, przypominając czarne wyloty dubeltówki. Jego lewa ręka zaczęła się trząść, mały palec trzepotał jak proporczyk na wszystkie strony, aż zamarał zadarty w górę. Powoli skóra na twarzy zmiękła i stała się ciemnoniebieska od żył. Nie śmieliśmy się poruszyć.

– Tak, jest sposób – powiedział spokojny i bardzo piękny głos po fińsku.

Charczenie starucha znikło. Zastąpił je zaskakująco ciepły, dźwięczny alt. I nagle ujrzelśmy kobietę. Była tam cały czas, ukryta wewnątrz. Teraz wychyliła się jakby zza ciemnej szyby,

precisnęła się przez zmarszczki starca i wygładziła je od środka. Była piękna. Pełne kobiece usta, wysokie, gładkie czoło, łukowato sklepione brwi, gorzkie i bardzo smutne oczy.

– Jest sposób... – powtórzyła pomału i odwróciła się od nas do połowy. – Wiedźma się pogrzebie... wiedźma zniknie, jeśli tylko odetniecie jej fiuta...

Zamilkła. Dreszcz przebiegł po długim ciele, jak gdyby śnieg obsuwał się ze starego świerka. Z ust wymknęło się parsknięcie, wzdrygnęliśmy się od żywicznego oddechu. Pomału Ryssi-Jussi wracał. Wydawał się zmęczony i zmarznięty, objął się ramionami.

– Przenocujcie u mnie – powiedział błagalnie, sprawiając wrażenie żałośnie samotnego.

Podziękowaliśmy i odmówiliśmy, jak tylko potrafiliśmy najuprzejmiej.

– Zostaniecie, do cholery! – rozkazał bardziej opryskliwym tonem i ściągnął brwi w nieprzebyty gąszcz.

Dziękowaliśmy i opróżniliśmy kubki, ponownie dziękowaliśmy, i znów dziękowaliśmy, równocześnie wycofując się w stronę drzwi. Ryssi-Jussi wstał i zaczął iść za nami. Uśmiechał się zapraszająco wilgotnymi wargami i rozłożył ramiona do uścisku. Rzuciliśmy się do drzwi i popędziliśmy do motoroweru. Spanikowani wskoczyliśmy na niego. Nie chciał zaskoczyć. Niila dawał ssanie i gaz, ale nie zapalał. Silnik był całkiem martwy. Próbowałem go zastartować na pych. Ryssi-Jussi z błagalnym wzrokiem zszedł w kapciach ze schodów.

– Potrzytać trochę... tylko dotknąć...

Nagle w plecy wbiły mi się jego szpiczaste paznokcie. Zaczęły się drobnymi ruchami posuwać w dół, jak pazury, do pasa.

– *Hiiri tullee...* Szczur nadchodzi...

Niżej, na tyłek. Odwróciłem się gwałtownie. Jego usta były nade mną, mokre i duże, niczym wór. Ciekło po twarzy, a ja tonąłem. Za mokro, zdecydowanie za mokro...

Gładził mnie powoli i spoglądał głęboko w oczy. Musiał zauważyć. Musiał zobaczyć, że nie chcę!

Wykręcałem się. Stawił opór, stwardniał. Szperająca ręka.

Potem jednak wszystko pękło. Maskę prysła. Łzy popłynęły strumieniem. Pozwolił mi to oglądać, stał otwarty na oścież w swym bólu i czekał, bym go ocalił. Ale mnie już tam nie było. Obrócił się i przygarbiony poczłapał z powrotem do chaty.

W tym samym momencie silnik odpalił. Nerwowo wcisnęliśmy gaz do dechy, przejechaliśmy przez podwórko i pognaliśmy w stronę leśnej drogi. Chata zniknęła za sosnami. Las otoczył nas swym spokojnym mrokiem, w górze wierzchołki drzew błyszcząły w wieczornym słońcu. Trzymałem się ze wszystkich sił, żeby nie spaść z bagażnika przy tej prędkości. Czułem, jak napięcie opada, jak skurcz w przeponie puszcza.

– Udało się! – przekrzykiwałem ryk silnika.

Niila zmniejszył prędkość. Wciąż czułem smak starucha i jego zatęchłej kawy, splunąłem więc w uciekający żwir. Szybkość zmniejszyła się jeszcze bardziej, toczyliśmy się coraz wolniej i w końcu całkiem się zatrzymaliśmy. Silnik zgasł i zrobiło się cicho. Spojrzałem pytająco na Niilę. Wpatrywał się nieobecny w najbliższy zakręt drogi.

– Pali się – powiedział.

Nic nie rozumiałem. Zaczął ruszać szczękami, jakby przeżuwał, usłyszałem zgrzytanie zębów.

– Umrzemy – stwierdził drżącym głosem. Zlazł z siodełka i zaczął dreptać na palcach. Chwiejnie, w dół do rowu.

– Poczekaj! – krzyknąłem i pospieszyłem za nim.

Wtedy zauważyłem, jak trudno mi dosięgnąć do ziemi. Obniżyła się o kilka centymetrów, była poza zasięgiem moich stóp. Nie czułem gruntu, gdy próbowałem iść, ślizgałem się tylko

niepewnym łyżwowym krokiem. Niila już dotarł do lasu. Omijałem gałęzie i wziąłem okrakiem krzaczastą brzoźkę, przez którą omal się nie wyrznąłem.

– Niila! Poczekaj!

Wpatrywał się intensywnie w swoją lewą dłoń, jakby była nieznośnym, obcym organizmem, który przyczepił się do jego ciała.

– Czerwono – powiedział.

W tym momencie ja również to zobaczyłem. Z jego palców tryskały gorące czerwone płomienie. Kiedy obrócił dłoń, odpadły kawałki skóry, od których zajęło się jego ubranie. Prerażony obejrzałem się za siebie. Było już za późno. Palił się już cały las. Byliśmy otoczeni przez rozjuszony, ale całkowicie bezgłośny pożar lasu. Niila miał rację, umrzemy. A równocześnie było tak cudownie. Takie otumaniające piękno. W samym środku strachu łyzy napłynęły mi do oczu, chciałem obejmować pnie drzew, gdy pożerały nas płomienie. Barwy nabrzmiały i rozszerzyły się. Maślanożółty, ognistopomarańczowy, krwistoczerwony i małe fioletowe ostrza, padające jak deszcz między wierzchołkami drzew. Uniosłem się nad ziemię, musiałem chwycić się Niili, żeby nie odlecieć. Czuję, że głowa była lżejsza od reszty ciała, balon, który szarpał mnie w górę. Ogień przysuwał się coraz bliżej i dosięgał nas ze wszystkich stron. Staliśmy jak czarne rury w tej świecącej roztopionej mazi i czekaliśmy na ból.

W tej samej chwili Niila wyjął nóż. Połyskujący scyzoryk, płaski jak mała rybka. Paznokciem kciuka wydlubał ostrze. A kiedy podniosłem wzrok, poczułem lód w sercu, chłód, który ogarnął całe ciało, chociaż płomienie przyciskały się do skóry. Stałem jak lodowy kołek w garnku gotującej się zupy i wrzeszczałem, a pęcherzyki powietrza uchodziły do góry.

Wtedy zobaczyłem wiedźmę. Babcia Niili. Śmiejąc się szyderczo, zbliżała się ze swymi bezzębnymi ustami, pomarszczony upiór w trupim całunie, z ramionami rozwartymi jak do uścisku. Daleko po bokach kołysały się jej żółte dłonie dusicielki. Niila wymachiwał nożem, ale chwyciła go za nadgarstek z szybkością żmii, złapała mocno i powoli wyłamywała rękę do tyłu. Cały czas rechotała, brzmiało to jak kapanie tłuszczu z kiełbasy w ogień. Niila młócił desperacko wolną ręką, udało mu się złapać ją za kok. Ze wszystkich sił szarpnął grubą, szarą bułę. Zawyla i wpiła paznokcie w jego gardło. Czują tam w środku jego puls – ptasie pikanie – i ścisnęła. Tak jakby zgniatała insekty, pstryknięcie i trochę posoki. Niila ciągnął kok jak srocze gniazdo. Próbowałem rozluźnić duszący uścisk, ale jej pięści były zaciśnięte jak obcęgi. Niila bezgłośnie rozdziwiał usta, niemo krzyczał, oczy spuchły, bo krew nie krążyła. Szarpnął desperacko na ukos w tył. Raaaszch! Kok puścił jak kępka trawy. Oderwał się z kawałkami zbutwiałej skóry. Wiedźma zwolniła uścisk i z wraskiem rzuciła się za kłębem kłaków. Niila gwałtownie zerwał z niej koszulę. Nic pod nią nie miała. Dwie stare pomarszczone nogi, czarna kępka włosów pomiędzy. A pośrodku kępki siedziało coś ohydneho. Kołek. Żył. Wijący się wąż. Plując, atakował Niilę. Niila chwycił sękatą głowę, mocno przytrzymał i jednym zamachem odciął fiuta przy nasadzie.

W tym momencie starucha otworzyła gębę. Szumiący poryw wiatru przeleciał przez morze ognia, a pod nią rozstała się ziemia. Jakby ktoś szarpał za stopy, wciągało upiora w mech. Po pas, po piersi, po szyję. Jednak jej piekielny wrzask nie ucichł, dopóki nie zniknęła cała łyśa czaszka.

Niila stał z ociekającym członkiem w garści. Przeszły mnie ciarki, gdy go dotknąłem, czułem sztywne czarne włosy. W kikucie wciąż jeszcze było życie, podejmował wysiłki, by się wyswobodzić. Ale Niila nie puszczał.

Potem wszystko się skończyło, zapadł mrok. Nareszcie las przestał płonąć.

Kiedy się obudziliśmy skuleni w mchu, marziliśmy jak w psiarni. Otaczał nas szary, zimny i wilgotny las. Ubrudzony nóż leżał w blasku świtu, ale po członku nie było śladu.

– *Nopat* – jęknął Niila.

Trzęsąc się, kiwnąłem głową. Staruch doprawił kawę. W martwej ciszy jechaliśmy do domu. Kilka razy z zimna musieliśmy się zatrzymywać i rozgrzewać, machając rękami, tęskniąc niesamowicie do własnych ciepłych łóżek.

Tydzień później wyrosły nam pierwsze włosy łonowe.

ROZDZIAŁ 11

Gdzie dwa. rody upartych osłów jedną się poprzez małżeństwo, w wyniku czego nabrzmiewają muskuły i rozpala się w saunie

Mój ojciec był z gatunku cichych i spokojnych. Miał w życiu trzy cele i wszystkie udało mu się osiągnąć. Czasem promieniał samozadowoleniem, które w miarę dorastania coraz bardziej mnie drażniło. Po pierwsze, chciał być silny, a praca w lesie obdarzyła go okazałymi mięśniami. Po drugie, chciał być ekonomicznie samowystarczalny. I po trzecie – znaleźć żonę. Ponieważ osiągnął to wszystko, przysłała teraz kolej na mnie, by przejąć pałeczkę, i czułem jak z dnia na dzień zwiększa się wywierana na mnie presja. Brzdąkanie na gitarze nie miało wysokich notowań. Za to chętnie sadzał mnie do piłowania drewna najbardziej tępą piłą, jaką tylko udało mu się znaleźć, by wzmocnić moje mięśnie. Od czasu do czasu sprawdzał, czy się nie guzdam, wysuwał do przodu swą ogromną dolną szczękę przypominającą chodak i poprawiał daszek czapki, która kiepsko się trzymała na jego niskim, płaskim czole. Miał rzadki zarost, co jest całkiem naturalne u tornedalczyków, jego policzki były więc lekko zaokrąglone i niemal dzieciinne, a dokładnie pośrodku tego pulchnego ciasta sterczał nos. Przypominał rzodkiewkę, którą ktoś rzucił tak, że utknęła odrobinę krzywo, a ja zawsze miałem ochotę go szczypać i ukrecać.

Stał tak, nic nie mówiąc, podczas gdy ja piłowałem i pocilem się. Na koniec mierzył moje muskuły na ramionach odległością między kciukiem a palcem wskazującym swojej dłoni i myślał sobie, że powinienem urodzić się dziewczyną.

Ojciec był barczysty, tak jak jego ośmiu braci. Wszyscy mieli tak samo pękate mięśnie ramion i takie same grube bycze karki, które jakby sterczały z przodu ciała, co sprawiało, że wyglądali na lekko przygarbionych. Szkoda, że ja nie odziedziczyłem z tego więcej, choćby tylko po to, by nie musieć wysłuchiwać pijackich komentarzy starego przy okazji rodzinnych uroczystości. Większa część moich mięśni była, tak jak u ojca, wynikiem ciężkiej fizycznej pracy już od trzynastego roku życia. W tym wieku wszyscy oni zaczęli pracować w lesie. Rąbali i harowali przez zimę, by wyrobić akord. Później spławianie drewna, gdy przychodziła wiosna, sianokosy na bagnach i zwożenie siana, kopanie rowów, by dostać parę koron zasiłku od państwa. A po pracy ciosali chałupy dla siebie, po nocach ręcznie piłowali deski. To była harówka, która sprawiła, że stali się wytrzymali jak kute żelazo z Kengis.

Mój najmłodszy stryj, Ville, zawsze był kawalerem i wielu myślało, że tak już zostanie. Wiele razy jeździł do Finlandii i oświadczał się, ale bezskutecznie. Nie rozumiał, gdzie popełnia błąd. W końcu rady udzielił mu sąsiad:

– Musisz kupić samochód.

Ville posłuchał rady i kupił stare volvo. Następnie pojechał raz jeszcze do Finlandii i z miejsca się zaręczył, dziwiąc się, dlaczego wcześniej nie wpadł na coś tak oczywistego.

Wesele odbywało się w środku lata, podczas wakacji. Dom rodziców wypełnił się krewnymi. Wkrótce miałem skończyć trzynaście lat i po raz pierwszy pozwolono mi siedzieć przy stole dla dorosłych. Mur milczących facetów, ramię przy ramieniu, jak kamienne bloki, tu i ówdzie ich

piękne żony z Finlandii, jak kwiaty na skalnej ścianie. Jak to zazwyczaj bywało wśród naszych krewnych, nikt się słowem nie odezwał. Czekało na jedzenie.

Posiłek rozpoczął się od chrupkiego pieczywa i łososia. Wszyscy obracali kromki dziurkami do dołu, zanim zaczęli je smarować. Trzeba oszczędzać masło, tak ich nauczyli biedni rodzice. Na to świeżo ukrojone plasterki peklowanego solą i cukrem łososia, cichaczem złowionego w sieć w okolicach Kardisu. Lodowate piwo. Bez zbędnych komentarzy. Tylko młoda para siedząca u szczytu stołu zachęcała wszystkich, by brali więcej. Kromki chrupane potężnymi mielącymi szczękami, szerokie, przygarbione bary, ściągnięte brwi i skupienie. Baby najęte do kuchni przynosiły z piwnicy półmiski i butelki. Matka panny młodej, pochodząca z fińskiego Kolari – znała więc miejscowe zwyczaje – stwierdziła, że nie widziała jeszcze, by ciężko pracujący mężczyźni jedli tak żałośnie mało, po czym wszyscy wzięli dokładkę.

Następnie na stole pojawił się rosół, parujący jakby się palił, z ciemnymi kawałkami mięsa z renifera łaskoczącymi podniebienie, po nim złocista rzepa, marchew z przyprawami na słodko i małe maślanożółte ziemniaki w kostkę, pożywny bulion z posmakiem potu i lasu i pływającymi po wierzchu okami tłuszczu, przypominającymi kręgi na wodzie, jakie w bezwietrzną letnią noc tworzą się w spokojnych zatoczkach, tam gdzie żerują lipienie. Obok stanął półmisek z ugotowanymi dopiero co kośćmi ze szpikiem. Końce były obcięte, a obok leżały drewniane patyczki, wystarczyło zatem tylko wydłubać szare, tłuste wnętrza, długie pasma szpiku tak delikatne, że rozplływały się w ustach. Mężczyźni nie uśmiechali się, ale ich skóra stała się o ton jaśniejsza i wzdychali z ulgą, bo to było jedzenie, które znali i doceniali, jedzenie napełniające brzuch, dające krzepę. Przy uroczystych okazjach, zwłaszcza takich jak ślub, najbardziej godny zaufania i rozsądny krewny mógł ubzdurać sobie, co jest eleganckie, co wypada, a co nie, i zacząć serwować zielsko nazywane sałatą i sosy, które smakowały jak mydło, a do tego nakrywać zdecydowanie za dużo widelców przy talerzu i podawać napój zwany winem, tak kwaśny i gorzki, że wargi cierpły, wtedy człowiek dałby wszystko za szklanę maślanki.

Zaczął się łapczywe pożeranie i mlaskanie. Było to potężne siorbanie, które niezmiernie radowało kucharki. Napełniano usta słonym smakiem bulionu, wyrosłym w lesie mięsem i jarzynami, które wykiełkowały i dojrzały w ojczystej ziemi, wypływano kości i ścięgna, wysysano szpik, a tłuszcz kapał po brodzie. Kobiety biegały dookoła z półmiskami kromek świeżo upieczonego *rieska* – jęczmiennego chleba bez drożdży, z przesyconego aromatem brzoźowego dymu pieca. Chleba tak gorącego, że topiły się na nim skrawki masła, chleba upieczonego z mąki z norrlandzkiego jęczmienia, który dojrzewał w słońcu, wietrze i ulewnych deszczach, chleba, który napełniał chłopską gębę samą błogością i sprawiał, że oczy zwracały się w górę, a kobiety zerkały dumne jedna na drugą, szczerząc zęby i strzepując mąkę z rąk, które przed chwilą ugniatały chlebowe ciasto.

Nastał odpowiedni czas na pierwszy toast. Butelkę niosła ostrożnie i powoli ta z kobiet, która była najmniej religijna. Mężczyźni przestali jeść, pokołysali się trochę z boku na bok, puścili bąki, otrzepali resztki jedzenia z bród i wodzili wzrokiem za relikwią. Zgodnie z instrukcją, wciąż była zapieczętowana, ale teraz, w obecności wszystkich odkorkowano ją tak, że oryginalne zamknięcie z trzaskiem popękało i wszyscy zrozumieli, że tu zapraszają na kupny alkohol, a nie pędzony na miejscu, na to się z pewnością wykosztowali. Butelka pokryła się mgłą, krople, dzwoniąc, spadały do kieliszków wśród nabożnej ciszy. Szerokie kciuki i palce wskazujące uchwyciły zmrożoną odrobinę. Pan młody udzielił swym braciom odpuszczenia grzechów, po czym wszyscy odchyliłi się w tył i cisnęli zimnym ostrzem oszczepu głęboko w cielistą otchłań gardła. Szmer przebiegł po zgromadzonych, a najbardziej gadatliwy z towarzystwa powiedział amen. Kobieta z butelką niepewnym krokiem zrobiła jeszcze jedną rundę. Mama panny młodej ze złością wykrzyczała swym basem, że to przecież typowe, że właśnie jej córka przez

małżeństwo wchodzi do najbardziej wybrednej rodziny na całym obszarze, gdzie mówi się po fińsku, i że jedzenie powinno się gębą jeść, jeśli jeszcze nikt tego nie pojął, po czym kobiety przytarczyły kolejne parujące garnki mięsa z warzywami i półmiski szpiku, a wszyscy wzięli jeszcze jedną dokładkę. Mężczyźni pili drugą kolejkę, małżonki również, wstrzymali się tylko ci, którzy mieli prowadzić samochód. Naprzeciw mnie siedziała uderzająco piękna Finka z okolic Kolari. Miała brązowe oczy, prawie arabskie, i kruczoczarne włosy – pewnie jej korzenie były lapońskie – i srebrną broszkę wpiętą w kołnierzyk. Uśmiechała się, ukazując ostre białe zęby, i podsunęła mi swój do połowy pełen kieliszek. Bez słów, tylko zuchwałe bezpośrednie spojrzenie, jakby groziła. Wszyscy zamarli z kapiącymi łyżkami. Kątem oka dojrzałem ostrzegawcze spojrzenie ojca, ale trzymałem już kieliszek. Opuszki palców kobiety musnęły szybko jak motyl wewnętrzną stronę mojego nadgarstka, to było tak cudowne uczucie, że niemal rozlałem.

W końcu mężczyźni zaczęli rozmawiać. Po raz pierwszy tego dnia zaczęto coś na kształt konwersacji. Chyba alkohol stopił zlodowaciałe języki, a pierwsze, o czym zaczęto dyskutować, było to, czy chłopak, biedaczysko, się porzyga, czy też się zakrztusi i wykaszle alkohol na obrus, wygląda na takiego delikatnego i wątłego. Ojciec uniósł się trochę z krzesła i chciał przerwać pomimo pełnych oczekiwania spojrzeń braci, a ja wiedziałem, że trzeba się pospieszyć.

Odchyliłem się szybko i wlałem w siebie wszystko, prawie jak lekarstwo. Spłynęło w ciało jak struga moczu w śnieg, a faceci uśmiechnęli się. Nawet nie zakaszlałem, czułem tylko trawiący ogień w żołądku i ochotę, by zwymiotować, ale nie dałem tego po sobie poznać. Widać było, że ojciec jest zły, ale zorientował się, że już za późno, a bracia stwierdzili, że – cokolwiek by mówić – chłopak jest ich krewniakiem. Później zaczęli się przechwalać, jakie to niesłychanie mocne głowy do alkoholu ma nasza rodzina, co zostało gruntownie poświadczane kilkoma malowniczymi opowieściami i epizodami. Gdy temat został wyczerpany, co nastąpiło po dłuższej chwili, rozmowa zeszła na temat niepojętej wytrzymałości naszych krewnych w saunie, a potwierdzono to równie gruntownie, jak poprzednio. Jeden z mężczyzn został wysłany na podwórze, by napalić w dymnej saunie, a reszta ze zdziwieniem dyskutowała, dlaczego nikt nie wpadł na to wcześniej. Następnie rozmowa zeszła na temat niewiarygodnej zdolności naszej rodziny do ciężkiej fizycznej pracy, o której mówiło się po obu stronach granicy, i aby udowodnić, że to nie przechwałki czy wywyższanie się, zaczęto przytaczać stosowny dobór historii, które opowiadano o nas po chałupach.

Krewni panny młodej zaczęli zdradzać oznaki lekkiego zniecierpliwienia. Zwłaszcza kilku co bardziej wyrosniętych miało teraz wyraźne ambicje – popuścić wodze językowi. W końcu najbardziej gadatliwy z nich otworzył gębę, pierwszy raz tego wieczoru w celu innym niż jedzenie. Następnie wygłosił zdumiewająco złośliwą mowę o krewnych, którzy myślą, że są kimś, i pozwalają niepotrzebnie kłapać jadaczkom przy oficjalnej okazji. Ojciec i jego bracia zlekceważyli wypowiedź i rozpamiętywali, jak to pradziad dźwigał na grzbiecie pięćdziesięciokilowy worek mąki, a do tego żelazny piecyk i połamaną reumatyzmem żonę przez czterdzieści kilometrów, nie odkładając ładunku nawet w czasie przerw na sikanie.

Kobiety wniosły teraz ogromny półmisek z górą świeżo upieczonych smakołyków. Były pszenne bułeczki delikatne jak dziewczęcy policzki, kruche ciastka z Kangos, soczyste ciastka maślane, chrupiące precelki, puszyste babki, pączki w kształcie obwarzanków, rolady z niebiańskim nadzieniem z tutejszych brązowoczerwonych arktycznych malin – tyle tylko tytułem przykładu. Ponadto pojawiły się też pełne po brzegi miski z bitą śmietaną i ciepłą konfiturą z żółtej maliny morożki, która smakowała złotem i słońcem. Porcelanowe filiżanki pobrzękiwały w dużych ilościach, czarną jak sadza kawę nalewano z wielkich czajników, z których każdy był w stanie zaopatrzyć w kawę większe spotkanie modlitewne. Złociste tornedalskie sery do kawy, wielkie jak zimowe opony, wtoczono na stół wraz z najprzedniejszym delikatesem wśród tych

wszystkich słodkich pyszności – twardym, brązowym kawałem suszonego mięsa renifera. Krojono słone plastry, moczo w kawie, mieszano z serem i brano do ust białe kostki cukru, potem drżącymi opuszkami palców wylewano kawę na spodek i siorbano, by znaleźć się w siódmym niebie.

Gdy tylko napiłem się kawy, mdłości zniknęły. Jakby wszystko się wyklarowało. Mglista deszczowa chmura uniosła się i nagle odsłoniła piękno krajobrazu. Oczy wydawały się ciepłymi balonami i obserwowałem, jak bycze czaszki moich stryjów puchną do ogromnych rozmiarów. Kawa zmieniła smak w ustach, stała się czarniejsza i bardziej smolista. Miałem wielką ochotę się popisywać, potem zacząłem się śmiać i nic nie pomagało, to coś przyszło z wnętrza i musiało się wydostać. Spojrzałem na prześliczną Finkę i pomyślałem, zupełnie niespodziewanie, o cipie, a uroda kobiety była niemal baśniowa.

– *Mie uskon että poika on päissä.* Myślę, że chłopak się upił – powiedziała po fińsku głębokim, nieco zachrypłym głosem.

Biesiadnicy się zaśmiali, ja też, i niemal spadłem ze stołka. Potem żułem suszone mięso i ser, wylałem kawę ze spodka i przyszło mi do głowy, że, oho, teraz jestem kierowcą rajdowym. Matka panny młodej narzekała na wszystkie wróbelki przy stole, że nie chcą jeść, że to niepojęte, w jaki sposób tak wybrednej rodzinie udało się rozmnożyć i że o takim rozpuszczeniu w obliczu tornedalskiej szczodrości nigdy nie słyszała od czasów, gdy szwedzki król odmówił wypicia kieliszka wódki w Vojakkala. Każdy zatem natychmiast wziął więcej. Matka panny młodej krzyknęła wtedy, że jeśli biorą tak żałośnie mało ciastek, by uchodzić za uprzejmych, to mogą je sobie wsadzić gdzieś, bo nawet jej cierpliwość ma granice. Wszyscy byli na dobrej drodze, by pęknąć, paski zapięte na ostatnią dziurkę, ale i tak sięgali po więcej. I dokładkę, i drugą, i trzecią dokładkę. Na koniec było już pełno, kompletny zator. Zupełnie niemożliwe, by wepchnąć coś jeszcze.

Potem poczęstowano koniakiem. Większość odmówiła, poza kilkoma Finkami. Lecz gdyby było więcej czyściochy, nie pogardziliby, bo *kirkasta* ma tę cudowną właściwość, że nie zajmuje miejsca w żołądku, przeciwnie – ułatwia trawienie, sprzyja dobremu samopoczuciu i odpędza ociężałość, która często przychodzi po udanym posiłku. Pan młody ponownie skinął na najmniej religijną kobietę, a ta zabrała puste flaszki do kuchni. Kiedy wróciła, jakimś magicznym sposobem były napełnione, ale gdy podsunąłem mój kieliszek, dostałem od ojca po łapach, aż zapiekło. Ktoś przypomniał sobie jakiś temat potraktowany byle jak i znów wszyscy bracia zajęli się rozmową. O tym, jak to dziadek okulał konia na zlodowaciałym śniegu, a potem sam ciągnął ładunek drewna z koniem przytroczonym na wierzchu. Albo o kuzynie, który jako zaledwie ośmiolatek wiosłował pod prąd dziewięćdziesiąt kilometrów z Matarenki do Kengis. Albo o ciotce babci, która spotkała niedźwiedzia w jagodniku, zaszlachtowała go siekierą i przytargała na grzbiecie mięso do domu w związanej skórze. Albo o bliźniakach, których w nocy trzeba było przywiązywać do pryczy w chacie dla drwali, by sami nie wyrąbali całego lasu w okolicach Aareavaara. Albo o kuzynie, którego uważano za niedorozwiniętego i zatrudniono przy spławianiu tylko za połowę wynagrodzenia, a on pierwszej nocy na własną rękę przepchnął stumetrowy zator drewna w zakolu rzeki przy Torinen. Tak to już było kiedyś z całą naszą rodziną, że równie silnych, wytrzymałych, upartych, cierpliwych i przede wszystkim skromnych robotników na dobrą sprawę nie spotykało się właściwie nigdzie na całym obszarze fińskojęzycznym. Na cześć tego bracia wzniesli hałaśliwy toast, po czym zaczęli wspominać olbrzymiaste głazy, które zostały przesunięte, rozległe bagna – osuszone, straszliwe próby wytrzymałości w wojsku, ciężarówkę, w której nawalił silnik, pchaną przez trzydzieści kilometrów między Pissiniemi i Ristimella, niekończące się łąki skoszone w rekordowym czasie, wszystkie straszliwe bójkę zwycięskie dla rodziny, pięciocalowy gwóźdź wbity zaciśniętą pięścią,

narciarza, który przegonił pociąg z rudą oraz wszystkie inne niezrównane wyczyny dokonywane siekierą, motyką, ręcznym pługiem, piłą, łopata, ościeniem i gracą.

Potem był kolejny toast. Przede wszystkim za kobiety i ich wyczyny w dojeniu, ubijaniu masła, zbieraniu jagód, tkaniu, wypieku jęczmiennego chleba *Heska* i grabieniu siana, co zaowocowało podobnymi rekordami nie do pobicia w zakresie kobiecych zajęć. Upartych, chętnych do roboty bab nigdy nie spotykano poza tą rodziną. Panowie wychwalali swoją mądrość wyboru żon z Finlandii, bo były wytrzymałe jak witki wikliny, cierpliwe jak renifery i piękne jak pnie brzoź nad błękitnymi jeziorami, a poza tym miały duże dupy, które często i z łatwością rodziły zdrowe dzieciaki.

Krewni panny młodej w czasie tego rozgwaru, jak to Finowie, siedzieli cicho i podsycali swoje rozdrażnienie. Najwyższy z nich i najbardziej łysy, Ismo, wstał nagle i powiedział, że tyle bezsensownego bełkotu nie wypowiedziano po fińsku od czasów lapońskiego ruchu narodowościowego przed drugą wojną światową. Ojciec odparł wówczas prowokująco, w sposób zupełnie do niego niepodobny, że wszystko, o czym była mowa, to ogólnie znane fakty, i jeśli ktokolwiek poczuł się zazdrosny lub niedoceniony, to on sam powinien się skarżyć jako pierwszy.

Ismo, zacisnąwszy zęby, powiedział, że nikt nie kosi kilku kilometrów kwadratowych łąk przez jedno jedyne przedpołudnie, nikt nie zbiera stu litrów żółtych malin w trzy godziny, żadne stworzenie z krwi i kości nie jest w stanie zabić samca łosia pięścią, a potem obedrzeć ze skóry i poćwiartować pokrywką od pudełka snusu. Stryj Einari, najstarszy z braci, odparł pochmurniej, że powalone samce łosia to nic w porównaniu z wszystkimi niezrównanymi wyczynami dokonanymi przez rodzinne knykie, głównie podczas wesel, a zwłaszcza wobec szerokoszczękich waźniaków zarzucających kłamstwo. Powiedziałyby więcej, tak fantastycznie się stał gadatliwy, gdyby żona nie zasłoniła mu dłonią ust. Wtedy Ismo położył swoje przedramię na blacie stołu. Było grube jak słup telefoniczny. Potem powiedział, że bójki są ryzykowne i przypadkowe jako miernik siły, ale mocowanie się na rękę zawsze daje szybki i wiarygodny rezultat.

Na chwilę zrobiło się całkiem cicho. Potem bracia wstali jak jeden mąż, ojciec również, i zaczęli się przeciskać do przodu jak parskające samce niedźwiedzi. Nareszcie koniec gładzenia, nareszcie można napiąć mięśnie górnika. Pierwszy był Einari, zdjął marynarkę, poluźnił krawat i zakasał rękawy. Przedramię było niemal tak szerokie jak u przeciwnika. Filizanki i kieliszki szybko usunięto. Obaj mężczyźni uchwycili się, dłonie zacisnęły się jak obcegi. Nagłe sprężenie w obu ciałach i krew napłynęła do twarzy. Walka się rozpoczęła.

Już od początku widać było, że wynik jest niepewny. Ramiona uniosły się jak dwa pytony z drżącymi głowami, mocno wgrzyzione w siebie. Niewielkie, prawie niewidoczne drgania rozchodziły się przez stół kuchenny w dół aż do sosnowej podłogi. Tafle pleców, przypominające drzwi, w skurczu pochyliły się w przód, mięśnie barków spuchły niczym ciasto drożdżowe, czaszki stały się krwistoczerwone, z nabrzmiętymi czarnymi żyłami, pot zaczął kapać z koniuszków nosów. Bracia cisnęli się jak najbliżej, wrzeszczeli i wydzierali się. Tu chodziło o honor rodu, szacunek, dumę, chodziło o to, by raz na zawsze zdobyć sobie poważanie u tego wżenionego stada. Przeciwnicy krzyczeli tak samo. Potrząsano pięściami i zaczęto wyciągać je do przodu. Wszyscy darli się coraz bardziej. Potem szarpnięcie w drugą stronę. Faceci skakali obunóż w podnieceniu, udzielali rad, napinali własne mięśnie, wierząc, że to pomoże. Gdy stało się jasne, że walka trochę potrwa, niecierpliwość okazała się zbyt wielka. Hormony zostały napompowane i chciały znaleźć ujście, ciała drwali domagały się zajęcia. Wkrótce cały podłużny stół pokrył się lasem żyłastych pni, które chwiały się tam i z powrotem, jak na silnym wietrze. Od czasu do czasu upadały jak ogromne wiatrołomy, zwałały się z hukiem, aż blat się ugiął.

Zwycięzca szczyrzył się z zadowolenia i wyzywany był przez następnego. Nawet kobiety dały się ponieść podnieceniu, zaczęły się wydzierać i przekrzykiwać. Niektóre już sobie popiły, inne były odurzone ciężkim od testosteronu powietrzem. Wkrótce dwie ze starszych fińskich bab zaczęły mocować się na palce wśród przestarzałych, niemal zapomnianych przekleństw. Zapierały się szpiczastymi butami o deski podłogi, stękały i zgrzytały sztucznymi szczękami, a jedna z nich posikała się, ale nie przerwała, plaskając w kałuży pod szerokimi spódnicami. Palce, choć pokryte brązowymi plamami i zmarszczkami, były silne jak obcęgi do podków. Panna młoda stwierdziła, że nigdy nie widziała silniejszych chwytów palcami. Były tu przecież więdźmy dojące i krasule, i facetów. Na to krewniaczki wtrąciły się i żarliwie zaczęły podkreślać przewagę rodzaju żeńskiego nad męskim, jeśli chodzi o wytrzymałość, zręczność, upór, cierpliwość, oszczędność, techniki zbierania jagód i odporność na choroby, co razem wzięte wywyższało kobiety ponad wszystkich nedorajdów. Jedna z bab, Hilma, wygrała dzikim szarpnięciem i natychmiast usiadła na tyłku, nie łamiąc mimo to nasady kości udowej, co, zdaniem obserwatorów, było wielkim szczęściem. Zaciętrzewiona zaczęła teraz rzucać wyzwania mężczyznom, jeśli w pobliżu znaleźli się tacy, co można podać w wątpliwość. Ojciec i reszta zajęci byli pełnymi postękiwań, prestiżowymi mistrzostwami braci ze skomplikowanym systemem cząstkowych finałów, gdzie w końcu szybko pomieszano wyniki, a to doprowadziło do kłótni. Pośrodku skupiska mężczyzn siedzieli Einari i Ismo we wciąż jeszcze nierozstrzygniętej potyczce. Stryj Hååkani kazał babie być cicho, co powinno być główną rolą kobiet na tym padole łez, zwłaszcza w obecności mężczyzn. Hilme rozwścieczyło to jeszcze bardziej, wypchnęła do przodu swój gigantyczny biust tak, że Hååkani aż się potknął cofając, i palnęła, że lepiej by sobie possał cyca, jeśli nie ma nic ważniejszego do powiedzenia. Kobiety zarechotały szorstko, a Hååkani poczerwieniał. Potem powiedział, że na palce będzie się siłował dopiero, gdy baba wychyli kieliszek wódki. Ponieważ była chrześcijanką, odmówiła. Sprzeczali się, wałkując temat tam i z powrotem. W końcu, z czystej złości, Hilma chwyciła spory kieliszek bimbru, wypiła do dna i wystawiła swój długi pazur. Wszyscy ucichli i przerażeni wlepili oczy w staruszkę. Laestadius obrócił się dwa razy w ziemi pajalskiego cmentarza. Hååkani zdumiony podszedł i włożył swój szeroki środkowy palec w hak z jej zagiętego palca, by pokazać, kto tu rządzi. Krzepka, ale niska kobieta uniosła się ponad podłogę jak wełniana rękawica, ale nie puściła i dyndała, wisząc na palcu. Hååkani opuścił ją na ziemię i zaczął dla odmiany szarpać w poziomie. Hilma latała po ścianach, wciąż jednak nie puszczając. Hååkani zirytowany stanął, by się zastanowić. Wtedy więdźma rzuciła się całym swym ciężarem w tył, z trzaskiem uwolniła od palca Hååkaniego i znów usiadła na zadku. Kobiety wiwatowały, aż ściany się trzęsły. Hilma siedziała bez słowa. W końcu zaczęto się zastanawiać, czy przypadkiem tym razem nie złamała sobie nasady kości udowej, bo tak cicho baba nigdy nie była, odkąd ją uśpiono do operacji wola. Wtedy odwróciła głowę i wypluła alkohol długim strumieniem. Pośród ogłuszającego aplauzu zapewniała, że nie połknęła ani kropli.

Łaziłem dookoła w rojowisku i zacząłem kombinować, jak by tu się jeszcze bardziej upić tak, żeby ojciec nic nie zauważył. W końcu zobaczyłem butelkę z niedopitą resztką, wziąłem ją i jeszcze kilka innych pustych i udawałem, że pomagam kobietom sprzątać. Wymknąłem się do sieni. Tam, w półmroku, zatkałem sobie nos i zacząłem chleptać dużymi łykami.

W tej samej chwili silne ramiona objęły mnie w pół. Upuściłem flaszkę. Ktoś oddychał stojąc tuż za mną. Przerażony próbowałem się obrócić i uwolnić, ale byłem unieruchomiony silnym chwytem.

– Puść mnie – jęczałem – *päästä minut!*

W odpowiedzi podniesiono mnie i potrząsnęto jak szczeniakiem. Równocześnie coś łaskotało mnie w twarz. Włosy. Dłgie, ciemne włosy. Potem chichot i upuszczono mnie z hukiem.

To była ona. Mięka jak futerko z tak bliska. Niczym kot. Czekałem na zęby zatopione w szyi. Oddychała głęboko i uśmiechała się błyszczącymi wargami. Potem rozpięła mi koszulę i włożyła rękę. Działo się to tak szybko, że nie zdążyłem zaprotestować. Potem poczułem jej ciepło. Jej cudne pieszczoty, delikatne opuszki palców, które znalazły moją brodawkę.

– Jesteś napalony, jak się upijesz? – zapytała po fińsku i pocałowała mnie, zanim zdążyłem odpowiedzieć. Pachniała perfumami i świeżym potem spod pach, a jej język smakował jak *lenkkimakkara*. Z pomrukiem przycisnęła się do mnie, to nieprawdopodobne, że kobieta może być tak silna.

– Złoję ci skórę! – syczała – zabiję, jak wypapłasz!

Potem odpięła mi spodnie i wygrzebała moją sztywną męskość szybciej, niż zdążyłem nabrać powietrza, uniosła spódnicę i zdjęła majtki. Pomogłem jej, majtki były wilgotne. Skóra połyskująco biała, uda długie jak u samicy łosia, z czarnym i gęstym krzaczkim włosów. Wiedziałem, że jeśli go dotknę, krzak ugryzie. Pieściła mnie i właśnie miała pokierować mnie do środka, ale wtedy wybuchło, świat pękł i spadł w mokrych strzępach, stał się czerwony i obolały, a ona zakląła, opuściła spódnicę i szybko wyszła do kuchni.

Byłem na tyle młody, że nie pojawiła się jeszcze sperma. Kutas opadł i pozostało tylko tętniące wspomnienie, jakby się nasikało na ogrodzenie pod prądem. Zapiąłem portki i pomyślałem, że do kuchni za nic nie odważę się wrócić.

Chwilę później drzwi otwały się z hukiem i faceci wypełnili sieni, jak przepychające się stado reniferów. Wszyscy byli pijani, chodzili krzywo i podpierali się o ściany. Na końcu szli Einari i Ismo, którzy wbrew woli musieli uznać pojedynek za nierozstrzygnięty, a ramiona mieli tak kurczowo zaciśnięte, że trzeba było ich rozdzielić siłą. Ojciec krzyknął do mnie, żebym szedł z nimi, bo teraz będzie wybierany bohater sauny. Drzwi rozwarły się i mężczyźni, rozochoceni, wylegli na schody ganku. Już po chwili całe podwórko drżało pod tuzinami ciężkich strug moczu. Dziadek sikał najdłużej ze wszystkich i synowie kpili sobie z niego na całego, zastanawiając się czy to, co kapie tak powoli, to smark, czy też staruszek nabawił się pryszczycy, gdy gził się z jałówką, albo może ostatni wytrysk utknął w lufie strzelby, a w takim razie należałoby wydlubać w niej dziurę drutem do robótek. Dziadek odparł ponuro, że ze starych można sobie żartować, ale nie z inwalidów, i dodał, że powinien był raczej zanurzyć fiuta w smole i pierzu, niż spłodzić takie diabelskie pokolenie.

Sauna była z bali, stara dymna odmiana, stała jak zazwyczaj nieco z dala na wypadek, gdyby kiedyś stanęła w płomieniach. Nad drzwiami ściana była czarna od sadzy. Nie było komina, dym z zasobnika na kamienie musiał znajdować sobie wyjście przez dymniki w ścianach. Mężczyźni zaczęli zdejmować z siebie ubrania i wieszać na gwoździach albo kłaść na drewnianych ławach na zewnątrz, a komary cięły jak oszalałe. Jako głowa domu i gospodarz sauny pierwszy wszedł dziadek i zgarnął resztki żaru do blaszanego wiadra. Potem chlusnął kilkoma skopkami wody na ogromny zasobnik z kamieniami, żeby oczyścić powietrze. Para wzbijała się, związała gryzące cząsteczki dymu i buchnęła przez drzwi i trzy dymniki. Na koniec dziadek wyniósł worki chroniące ławy przed sadzą i zatkał szmatami dymniki.

Wśliznąłem się razem ze stadem samców i zostałem wciśnięty w najwyższej położony ką. Pachniało przyjemnie smolnym drewnem, a gdy otarłem się o ścianę, na skórze zostały mi czarne plamy. Ławy, i te dolne, i te górne, wypełniły się do granic wytrzymałości białymi ciężkimi tyłkami. Ci, którym z braku miejsca przyszło siedzieć na podłodze, narzekali, że to gorszy los niż odmowa wstępu do raj. Komary wisiały jak szara zasłona w wejściu, ale nie odważyły się wlecieć do środka. Ostatni wychodzący zamknął drzwi, zostawiając za nimi letni wieczór, i nagle zrobiło się ciemno. Wszyscy ucichli, jakby porwani modlitwą.

Oczy pomału przyzwyczały się do ciemności. Piec żarzył się niczym ołtarz. Ciepło dochodziło jak od dużego, skulonego zwierzęcia. Dziadek chwycił drewniany czerpak, mrucząc coś pod nosem. Mężczyźni, wierząc się, usadawiali się wygodnie, wyginali plecy jak do chłosty. Drewno trzeszczało pod ciężarem. Powoli staruszek zanurzył czerpak w zimnej wodzie ze studni i z zadziwiającą precyzją szybko polał stertę kamieni zawartością dziewięciu czerpaków, jeden w sam środek, po jednym na każdym rogu i w połowie każdej dłuższej i krótszej krawędzi. W naszym kierunku podniósł się dziki syk i towarzyszące mu potworne gorąco. Faceci postękiwali z rozkoszy. Pot wystąpił na ramiona, uda, genitalia i łysiny, sączył się słony i łaskotał. Brzozowe witki wyjęto z wiadra, gdzie się moczyły, i obracano na rozżarzonych kamieniach. Zapach słońca i lata napełnił saunę, a mężczyźni uśmiechnęli się sami do siebie i wzdychali tęsknie. Pan młody chwycił witki i jęcząc, zaczął się okładać po całym ciele. Zapewniał drżącym głosem, że to przyjemniejsze niż seks, co sprawiło, że pozostali zaczęli się niecierpliwie wiercić. Dziadek polał dziewięcioma czerpakami dokładnie te same miejsca, co za pierwszym razem. Gorąco wypełniło saunę, smagając jak tęgie baty. Pojękiwanie i sapanie stały się głośniejsze i kilku błagało, kwiląc, o witki, zanim skóra na ciele pęknie od swędzenia. Pan młody niechętnie je oddał, mówiąc, że trzeba było zaprosić tu baby z kuchni, bo nikt inny nie potrafi tak niemiłosiernie przyjemnie wychłostać pleców jak stara wiedźma. Gałązki trzaskały, a pot chlapał dookoła ulewą. Dziadek polewał i mruczał, para unosiła się jak zjawą. Niektórzy zaczęli narzekać na chłód w saunie i to, że zimniejszej *löylyä* rzadko się doświadczało, co oznaczało – jak wszyscy wiedzieli – że sauna osiągnęła swoją właściwą temperaturę. Polewanie było bezlitosne jak laestadiańskie kazanie. Mężczyźni rozkoszowali się, stawiając opór gorącu. Dziaśła miały posmak krwi, płatki uszu zaczęły palić, puls dudnił jak bęben. Bliżej Edenu nie da się dojść po tej stronie grobu – stęknął ktoś.

Gdy pierwsze burzliwe emocje opadły, zaczęto dyskutować o różnych modelach sauny. Jednogłośnie potwierdzono, że sauna dymna przewyższa absolutnie wszystkie inne, i te z opalonymi drewnem żelaznymi piecami, i te z agregatami elektrycznymi. Zwłaszcza te ostatnie wystawione zostały na pośmiewisko i nazwane tosterami i farelkami samochodowymi. Niektórzy, wzdrygnąwszy się, wspomnieli suche, zakurzone nagrzane szafy, w których siedzieli przy okazji różnych wizyt w południowej Szwecji. Ktoś opowiedział o swoim pobycie w saunie w Jorliens Fjällhotel, gdzie piec elektryczny był norweski i przypominał dawną pralkę wirnikową. Zasobnik na kamienie był rozmiarów kubka do herbaty z miejscem jedynie na dwa kamienie, jeśli jeden stał na sztorc. Ktoś inny opowiedział ze zgrozą o budowie na Gotlandii, na której pracował przez trzy miesiące. Ani razu nie można było zatroszczyć się o swoją higienę, bo kultura saunowa nie dotarła tam na dół. Zamiast tego leży się tam i pluska we własnej brudnej wodzie w tak zwanej wannie.

Dziadek zrobił przerwę w polewaniu i zwrócił uwagę, że niektórzy z synów, budując własne wille, sami zainstalowali u siebie elektryczne piece, a przez to kultura tornedalska jest skazana na rychły upadek. Synowie, których to dotyczyło, zaprotestowali gwałtownie i odparli, że piece były kupione w Finlandii, dlatego też są niespotykanie dobrej jakości, w pełni porównywalne z opalonymi drewnem kolegami, poza tym oceniono je na pięć z pięciu możliwych saunowych witek w fińskim czasopiśmie „Saunalehti”. Dziadek odparł na to opryskliwie, że elektryczność to najbardziej niedorzeczny wynalazek ze wszystkiego, co dotarło z południowej Szwecji – rozpuściła i ludzi, i zwierzęta, zmniejszyła masę mięśni u mężczyzn i kobiet, zmniejszyła wytrzymałość na chłód, popsuka widzenie po ciemku, hałasem uszkodziła dzieciakom słuch i sprawiła, że nie mogą jeść nieswieżego jedzenia, co najlepiej wykorzeniało tornedalską wytrzymałość i cierpliwość, bo wszystko teraz wykonywane jest z rosnącą wciąż prędkością

przez silniki. Wkrótce pewnie też seks zastąpi się elektrycznością, bo to przecież i wymagające wysiłku, i wywołujące poty, a te, jak wiadomo, uważa się za przestarzałe.

Dziadek polał jeszcze raz, nie słuchając wyjaśnień synów, że nadal są z twardego rdzenia fińskiego drzewa. Stwierdził natomiast, że wszyscy stali się leniami, a Tornedalen została opanowana przez *knapsut* i *ummikot* i najbardziej żałuje tego, że nie spuszczał im częściej lania, kiedy byli mali. A teraz jest już za późno. Nikt już nie rozumie odczuć towarzyszących siedzeniu w saunie, w której się urodziłeś, w której urodził się ojciec, w której urodził się ojciec ojca, gdzie myte były i okrywane zwłoki krewnych, gdzie *kuppari* puszczał chorem krew, gdzie robiło się dzieciaki i gdzie rodzina pokolenie za pokoleniem oczyszczała się po tygodniu pracy.

Głos mu się załamał i zaczął ze łzami w oczach mówić, że życie – chłopcy – to chłód, ból, oszustwa, kłamstwa i bełkot. Weźmy choćby coś takiego jak rewolucja, na którą czekał od czasów strajku robotników drogowych w Pajali w 1931 roku. Kiedy, do cholery, wybuchnie, może czasem ktoś ją ostatnio widział w okolicy, co? Tylko raz zabłysła nadzieja, gdy jechał do Kolari na zakupy i w mrowiu klientów w Valinta Friberg mignął mu Józef Stalin ze sklepowym wózkiem pełnym mięsa. Ale w tych stronach najwyraźniej nie miał nic do załatwienia.

Na pocieszenie w upale do dziadka przywędrowała flaszka. Pokropił też pokrywę pieca. Buchnął w nas kłęb oparów. Dziadek przekazał butelkę dalej, wytarł nos w przedramię i powiedział, że wszystko to gówno i niedługo przyjdzie umrzeć. Ale ponieważ komunistą pozostał, to chciał obwieścić wszystkim obecnym za jednym zamachem, że jeśli kiedyś na łożu śmierci zaczął brzęczeć o odpuszczeniu grzechów i Jezusie, to będą to tylko zawroty głowy i zgrzybiałość, należy wówczas potraktować je przyklejeniem kawałka plastra na gębę. Od każdego z obecnych wymógł tę obietnicę tu i teraz, w obecności krewnych i świadków. Bo lęk przed śmiercią był po prostu niczym w porównaniu ze strachem przed zramoleniem, leżeniem i zrządzeniem w pajalskim szpitalu przy otwartych na oścież drzwiach.

Potem polał dziewięć razy po dziewięć czerpaków, aż chłopcy, jęcząc, zgramolili się z górnych ław pod pretekstem, że muszą się wysikać, a tylko ci twardsi dalej siedzieli, choć na ramionach mieli już od oparzenia bąble jak jednokoronówki. Dziadek odmówił swojego ojcostwa wszystkim tym cherlakom. Następnie odłożył czerpak ze stwierdzeniem, że ostateczną walkę sami muszą rozstrzygnąć, bo jemu przykro jest ich dręczyć i być zmuszonym do wachania ich jaj. Z godnością zszedł niżej i zaczął się myć przy balii z ciepłą wodą. Zwyczajem mężczyzn namydlił tylko trzy najważniejsze partie ciała: łysą czaszkę, brzuch i mosznę.

I zaczął się okrutny finał. Oba rody miały ostatecznie zmierzyć swe siły. Einari przejął polewanie, a pozostali narzekali na chłód. Jak zawsze, walka była w dużym stopniu psychologiczna. Wszyscy demonstrowali przesadnie wyraźnymi gestami, jak są niewzruszeni, jak niewiele obchodzi ich gorąco i jak długo można z łatwością wytrzymać. Einari opróżnił wiadro nad skwierczącymi kamieniami i natychmiast ponownie je napełnił. Nowa, gwałtowna runda. Pierwsi z finalistów zatoczyli się na dół i dysząc, wylądowali na podłodze. Dziadek polał ich zimną wodą. Para chłostała grzbiety, paliła w płucach. Następny się poddał. Inni nadal siedzieli kołkiem, ze szklanymi oczami. Ktoś się zachwiał, jakby miał spaść, pomogli mu zejść. Więcej pary, więcej bólu. Teraz poddał się ojciec, kaszłąc tak, jakby się dusił. Został tylko polewający Einari i łysy Ismo, który siedział, kiwając głową. Zwyciężeni kulili się na podłodze, by móc wytrzymać i zobaczyć wynik. Ismo zdawał się bliski omdlenia, ale nadal – o dziwo – trwał na górze. Z każdym kolejnym czerpakiem próbował podźwignąć się zrywem, jak bezbronny bokser, który pomалу zmierza ku nokautowi. Einari z trudem łapał oddech i polewał drżącą prawą ręką. Twarz miał granatowoczerwoną, górna część ciała chwiała się niepokojąco. Nowy czerpak. I jeszcze jeden. Ismo, dusząc się, zaczął kaszleć, a ślina kapłała mu po brodzie. Obaj mocno się już kołysali i podparli nawzajem, chwytając się za ramiona. Nagle Einari zdrzął

i przewrócił się na bok, na Ismo, który też runął. Spadli jak dwie martwe tusze, uderzając z hukiem o niższą ławę, gdzie leżeli wciąż szczepieni ramionami.

– Nierozstrzygnięte! – krzyknął ktoś.

Dopiero teraz wyczołgałem się, obdarty ze skóry, z ciemnego kąta na najwyższej ławie. Wszyscy gapili się, nic nie rozumiejąc. W ciszy uniosłem zwycięską pięść.

Gdy wiwaty podnosiły się aż po pokryty sadzą sufit, upadłem na kolana na podłodze i zwymiotowałem.

ROZDZIAŁ 12

O ohydnej pracy wakacyjnej, pogrzebczu na manowcach oraz skutkach nieumyślnego zaniedbania swych obowiązków

Pewnego szarego pochmurnego dnia w maju od strony Korpilombolo przywędrował do Pajali żwawy, szczupły mężczyzna Niósł staroświecki wojskowy plecak, głowę miał ogorzałą i pełną zmarszczek, jak kamień runiczny z siwosrebrnymi włosami na jeża. W Naurisaho zrobił postój, skrzywił się do ciężkiego ołowianego nieba i pociągnął kilka dużych łyków z manierki. Potem zapukał do najbliższej chałupy. Gdy drzwi się otworzyły, nieznajomy łamaną fińszczyzną z egzotycznym akcentem powiedział dzień dobry. Przedstawił się jako Heinz, obywatel niemiecki, był ciekaw, czy może gdzieś w okolicy jest jakieś niezamieszkałe gospodarstwo do wynajęcia na lato.

Wykonano kilka telefonów i już pod wieczór Heinz miał kiepsko ocieploną drewnianą chatę tuż za wioską. Wdowa, która tam mieszkała, dostała pomieszania zmysłów i przez swe ostatnie lata rozsypywała na całej podłodze ziemię do kwiatów i siano, więc chatę trzeba było wyszorować wrzącą wodą z mydłem, zanim Niemiec się zgodził. Przyniesiono materac, naczynia, spiżarnię zaopatrzono w podstawowe artykuły spożywcze, zawieszono zasłony i wyładowano na podwórze furę drewna. Prąd można by znów podłączyć – za dodatkową opłatą. Heinz jednak odmówił, ponieważ był już maj i nie potrzeba było elektrycznego oświetlenia, noce będą przecież jasne nawet w sierpniu.

Chciał natomiast zobaczyć saunę. Stała na skraju lasu, szara ze starości i okopcona wokół wejścia. Heinz pchnął drzwi. Wziął głęboki wdech. Rzewny uśmiech pojawił się na jego twarzy, gdy poczuł zapach dymnej sauny.

– Sauna – wymamrotał po fińsku z egzotycznym akcentem. – Przeszło dwadzieścia lat nie byłem w saunie!

I jeszcze tego samego wieczora mogliśmy z naszej szpiegowskiej kryjówki oglądać, jak na golasa zbiegł do rzeki Tome, rzucił się do wody między ostatnie dryfujące kry i zawrócił w połowie drogi na drugą stronę. Potem stał siny z zimna na brzegu i wykonywał gimnastyczne podskoki ze skurczonymi genitaliami, zanim ćwicząc, przywrócił ciału właściwą temperaturę. Następnego dnia sprawił sobie zdezelowaną maszynę do pisania z nadwyżek magazynowych urzędu celnego, starą hałdę z lanego żelaza. Naprawił ją, a później siedział przy niej na ganku i godzinami stukał w klawisze, mając widok na łąki kiełkujących delikatnych źdźbeł, a fletowe trele kulików dźwięczały mu w uszach.

Ale kim właściwie był? Co tu robił? Wkrótce o dziwnym przybyszu zaczęły krążyć plotki. Podczas wojny Heinz był podobno żołnierzem SS w Finlandii. To tam nauczył się fińskiego i docenił zalety sauny. W czasie ofensywy armii fińskiej jego kompania musiała wycofać się na północ, przez fińską Tornedalen, gdzie dzikie piękno krajobrazu wywarło na nim niezatarte wrażenie.

Tymczasem palono wszystko. Był na to rozkaz – taktyka spalonej ziemi. Każdą chałupę, każdą oborę, wioska za wioską, również kościoły tonęły w benzynie, aż cała okolica stała się

plującym morzem ognia. Cała północna Finlandia obróciła się w popiół. Heinz brał w tym udział. A teraz wrócił, by spisać swoje wspomnienia.

Tak opowiadano. Heinz jednak trzymał się na uboczu. Chodził na szybkie spacery w sportowych spodenkach do kolan, wykonywał szarpaną wojskową gimnastykę poranną na podwórzu, a dzieciaki chichotały w krzakach, potem zaś podczas swego zdyscyplinowanego pisarskiego dyżuru dokładał kartkę do kartki.

Jedyne, co mu przeszkadzało, to myszy.

Dom był ich pełen. Wdowa miała z pewnością kilka kotów, ale gdy ją zabrano do domu opieki, myszy się rozpanoszyły. Wśród brudu poczuły się u siebie, wygryzły sobie gniazda w materacu, zrobiły przejścia między warstwami stropu i urodziły następne pokolenia. Heinz złożył skargę u gospodyni, wypożyczono mu więc starego wiejskiego kota, ale ten uciekł do domu najszybciej, jak tylko potrafił. Trutkę na gryzonie Heinz wykluczył, bo dużo z nich zdechłoby w swoich kryjówkach pod podłogą i smrodem zatruło powietrze.

Pewnego wieczora w pierwszym tygodniu letnich wakacji podglądałem Heinza, gdy siedział na schodach do sieni i walił w swoją maszynę. Stukot brzmiał jak motocykl starej daty. Prześliznąłem się wzdłuż ściany i zbliżyłem się do rogu, skąd ostrożnie wyjrzałem. Widziałem go z profilu. Długi, lekko garbaty spiczasty nos, stalowe oprawki okularów, rzadka chmara ledwie obudzonych komarów nad głową, jak aureola dawnych wspomnień.

– *Tule tänne sinä!* Podejdz tu – powiedział po fińsku, nie przerywając pisania.

Zamarłem, przerażony.

– *Tule tänne!* – powtórzył Heinz. I to był rozkaz. Przestał stukać, zdjął okulary i odwrócił swoje lodowato szare oczy w moją stronę.

Podszedłem na drżących nogach. Stałem jak rekrut, zawstydzony, przechytrzony.

– Dostajesz pięćdziesiąt öre od myszy – powiedział.

Nie rozumiałem. Czułem się głupio, bałem się.

– Tu jest za dużo myszy – ciągnął. – Trudno spać przy tych piskach i szelestach.

Przyjrzał mi się, by ocenić, co ze mnie za jeden, podniósł się z trzeszczącego krzesła i podszedł bliżej. Ani drgnąłem, w środku strachu czułem się niemal nabożnie. On był tego rodzaju mężczyzną, od którego chłopcy chcą otrzymywać pochwały. Płynnym ruchem wyjął brązowy, pachnący skórą portfel i wyciągnął dziesięciokoronowy banknot. Trzymał mi go przed nosem, całkiem nieruchomo, jakby był ogromnym motylem. Banknot był świeży, niepozaginany, takie nieczęsto się widzi. Jakim sposobem dotarł bez szwanku w górę, przez całą Szwecję? Stary król mrużył oczy z profilu. Srebrnoszary kolor, cieniutkie jak włosy linie, papier dobrej jakości ze znakiem wodnym jak siniak pod światło. A za nim dostrzegłem nagle coś innego. Gitarę elektryczną. Prawdziwą, całkowicie własną elektryczną gitarę.

Wziąłem banknot. Nie wepchnąłem go do kieszeni. Ostrożnie niosłem go do domu między kciukiem a palcem wskazującym, nadal bez zagięcia.

Jak wszystkie dzieciaki we wsi znałem technikę zabijania myszy. Kładziesz surowego, dopiero co obranego ziemniaka przy ścianie domu i stajesz tuż obok z kijem.

Potem z bezdzwięczną cierpliwością czekasz, aż mysz przyjdzie. Wtedy ją zabijasz. Jeśli znalazło się jakąś świeżą myszą dziurę w ziemi, można było wlać tam kilka wiader wody. Gdy gryzoń tonął i wybiegał z kryjówki, trzeba go było tylko zatłuc.

Pierwszego dnia w ten sposób zabiłem trzy myszy, następnego dwie. Heinz zapłacił ze swojego dużego skórzanego portfela, ale wydawał się niezadowolony. Uważał metody za przestarzałe i nieefektywne. Jeszcze tego samego popołudnia w Pajali zakupił w sklepie z żelastwem osiem pułapek na myszy ze stalowymi sprężynami, które miażdżyły małe stworzenia.

Nauczyłem się je nastawiać bez przytrząskiwania sobie palców i wabiłem kawałkami słoniny, sera i co tam jeszcze wpadło pod rękę.

Następnego ranka znalazłem sześć mysich trupów. Siódma łapka była nietknięta, a ósma zatrzasnęła się pusta. Wyrzuciłem włochate zwłoki na skraj lasu i znów nastawiłem łapki. Kiedy sprawdzałem je wieczorem, znalazłem jeszcze cztery trupy. Heinz obejrzał zadowolony odcięte ogony, zapłacił natychmiast i zachęcał do dalszych wysiłków.

Przez cały tydzień sprawdzałem i rano, i wieczorem, dzienny połów utrzymywał się w granicach dziesięciu sztuk. Regularnie ustawiałem łapki w innych miejscach, nastawiałem w spizami, w piwnicy, na strychu, ale też na zewnątrz, pod sienią albo z tyłu przy stosie drewna. Zwłoki były dziwnie zwiotczałe, małe miękkie futrzane torebki z przetrąconym kręgosłupem i spłaszczonymi żebrami. Czasem zdarzało się, że ostra stal przecinała skórę, a jelita wylażyły jak fioletowe glony na łapkę. Trzeba się było przemóc i opłukać ją do czysta. Wykonywać swoją pracę, nawet, jeśli była ohydna.

I rzeczywiście, w nocy w domu zrobiło się spokojniej. Ale nigdy całkiem cicho. Ile by się myszy zabiło, zawsze przychodziły następne, nowi goście wprowadzali się, gdy znikali starzy.

Poza tym trupy stały się problemem. Lis zjadał tyle, ile tylko zdołał, ale nadmiar wkrótce zaczął śmierdzieć. W niedługim czasie na skraju lasu zaroilo się od wron. Pojawiały się zwłaszcza o świcie, wrzeszczały i hałasowały w swej skomplikowanej wroniej hierarchii i niweczyły nocny sen jeszcze skuteczniej niż myszy. Heinz dał mi łopatę ze schowka i polecił wykopać dół poza zasięgiem słuchu, w głębi lasu, tam też zacząłem opróżniać łapki.

Lato wezbrało już wszystkimi siłami. Skowronek zawisał w przestworzach jak wystrzępione śmigło, szpaki w osikach gwizdały i zwodziły na manowce, pliszki wywlekały lepkie robaki z kartoflisk, jaskółki iskały swoje metaliczne pióra na skrzydłach. A pod ziemią myszy mnożyły się z zawrotną prędkością.

Z czasem coraz więcej uczyłem się o zachowaniu gryzoni. Wielu ludzi twierdzi, że myszy to małe chaotyczne kłębki, które w panice biegają bez ładu i składu gdzie bądź. Ale doglądając łapek wokół domu, odkryłem liczne mysie ścieżki. Często trudno je było dostrzec, wily się jak małe tunele w suchej zeszłorocznej trawie tuż przy ziemi. Myszy miały swoje drogi dokładnie tak jak mrówki czy ludzie, i szybko doszedłem do tego, że łapki ustawiane przy tych drogach niemal zawsze przynosiły dywidendy. Zatem najlepszym sposobem, by przeszkodzić nowym gryzoniom w zasiedlaniu domu, powinno być zaminowanie tych szlaków komunikacyjnych.

Taktyka sprawdzała się niestety tylko częściowo. Łapki miały podstawową wadę w swej konstrukcji: gdy się zatrzasnęły, były już niegroźne, aż do czasu, gdy znów je nastawiono. A przez ten czas myszy mogły bezkarnie przechodzić obok. Zastanowiłem się nad problemem i przedstawiłem Heinzowi propozycję. Przystał na nią z entuzjazmem.

Od sąsiada pożyczaliśmy kilka pogiętych wiader z ocynkowanej blachy. Zakopałem je w strategicznych miejscach na środku mysich ścieżek, na taką głębokość, że górna krawędź była równo z powierzchnią ziemi. Potem napełniłem je do połowy wodą. Nad wiadrem położyłem cienką warstwę sztywnych źdźbeł trawy i liści, starając się, by wszystko wyglądało naturalnie.

Następnego ranka sprawdziłem pułapki. Do pierwszego wiadra wpadło sześć myszy. Pływały, nie mogąc ani dotknąć dna, ani wygramolić się, siły im się wyczerpały i utonęły. W drugim było pięć zwłok. W trzecim następne siedem. Z ostatniego wiadra wyciekła woda i na dnie biegały dwa przerażone darmozjady, które zdeptałem zelówką. Dwadzieścia trupów, fantastyczna liczba! Łapki dały dodatkowe cztery, więc kiedy obciąłem ogony i pokazałem, dostałem całe dwanaście koron od Heiza. Był pod wrażeniem. Jego wąskie usta rozciągnęły się w uśmiechu, wyglądało to dość nieporadnie, jakby wilk próbował się śmiać. Ciała wyrzuciłem do dołu w lesie,

dziurawe wiadro wymieniliśmy i zakopaliśmy następne kubły i puszki w odpowiednich miejscach.

Kolejne tygodnie dały wspaniały zysk. Myszy wpadały w dużych ilościach, drapały pazurami blachę aż do utraty sił, a potem tonęły. Zwłoki były dużo schludniejsze od tych z łapek. Na początku dość odrażająca była sama ilość, kilka kilo do wyniesienia każdego dnia. Można się było przyzwyczaić. I pomagało myślenie o pieniądzach, które wpadały do blaszanej puszki w domu, pieniądzach, które z coraz większą szybkością rosły w gitarę.

Heinz dostrzegał już, że wojna nareszcie zaczęła przynosić efekty. Jedynie czasem słyszało się chrobotanie jakiegoś odważnego małego wojownika, który przedarł się przez pole minowe. Lecz w większości przypadków biedak tkwił w łapce już po jednym dniu. Heinz wysypiał się teraz dobrze, maszyna do pisania stukała jak stary karabin maszynowy i cały ganek śmierdzał specyfikiem odstrasającym komary, bo te pojawiły się już na dobre. Czasem wykręcał kartkę i czytał na głos wagnerowskim tonem, by sprawdzić rytm i brzmienie tekstu. Powściągliwa i pełna siły proza o trudach i przemieszczaniu się oddziału, wyraziste obrazy fińskiej zimy wojennej, mróz i ostre jak szpilki świerkowe igły w kocach, tu i ówdzie szorstki żołnierski humor, seksualne żądze w śmierdzących kwaterach, niekiedy romantyczne fragmenty o tym, jak fińskie piękności karmiły zabandażowanych bohaterów wojennych albo wieczorami w kancynie pieściły niemiecki żołnierski policzek przy zgaszonym świetle.

Tymczasem ja pracowałem nad udoskonalaniem metod działania. Na przykład zauważyłem, że wcale nie trzeba zasłaniać trawą wiader z wodą. Myszy i tak wpadały. Jakby nie zdążyły wyhamować, gdy biegły ścieżką, chociaż otwór był całkowicie widoczny. Natomiast stare ścieżki przestawały być używane, bo ich użytkownicy wymierali. W innych miejscach powstawały nowe, trzeba więc było bezustannie śledzić sytuację i cały czas przenosić wiadra.

Dół z trupami zapelniał się coraz szybciej. Zasypałem go i wykopałem następny. Wkrótce ten też był pełen. Lisy rozgrzebały groby i rozwłóczyły na wpół zgniłe strzępy na wszystkie strony. Szybko brzuchy gryzoni pełne były kłębiących się pod cienką skórą larw much. Ciepło też zrobiło swoje, więc kiedy wiatr zawiewał od lasu, czuło się, mimo odległości, słodko-kwaśny, ohydny smród.

Heinz znalazł na to radę. Odszukał kanister na benzynę i zatankował do pełna. W równych odstępach czasu miałem wywlekać go do lasu i polewać doły. Potem wrzucałem zapałkę. Z głuchym westchnieniem stos ciał zajmował się i palił niemal niewidocznym płomieniem. Futerka smażyły się z wilgotnym trzaskiem, wąsy skręcały się i topiły mrówki wylaziły w popłochu z oczodołów i kurczyły się ze sterczącymi nogami, larwy much wiły się do góry, ale skwiercząc, smażyły się, poczwarki pękały i na wpół przeobrażone ślepe muchy plujki wierzgały miękkimi odnóżami. Dym był czarny i tłusty, cuchnął włosiem i paloną krwią, wżerał się w ubrania, gdy stało się zbyt blisko. Rozprzestrzeniał się wśród wierchołków drzew jak groźny duch, bóg wojny, pęczniejący szafarz śmierci, który pomału ulatniał się i rozpraszał, pozostawiając w ustach tylko posmak tłustego popiołu. Gdy wszystko się wypaliło, z powrotem zasypywałem dół ziemią i mchem, po czym układałem na nim stos ciężkich kamieni, by lisom wydał się niewarty wysiłku.

Należało myśleć o pieniądzach. Wtedy było łatwiej. Liczyć ogony, wiązać je w pęczek i odebrać gotówkę u wymuskanego jegomościa, który pod wieczór siadywał na schodach ganku i sączył małymi łykami swoją kawę. To była po prostu wakacyjna praca. Nie gorsza od, na przykład, szorowania kibli na pajalskim kempingu.

Po wieczornym obchodzie siadywałem w swoim pokoju i uruchamiałem stary szpulowy magnetofon, na który łąpałem najlepsze kawałki z listy przebojów „Tio i topp”. Z lubieżnym dreszczem wsłuchiwałem się w fantastyczne, dziwne dźwięki, jakie mogą wydobywać się z

gitary elektrycznej: ostre miauczenie, wilcze wycie, borowanie u dentysty albo ryk podrasowanego motoroweru na wiejskiej drodze. Naśladowałem je niezdarnie na starej gitarze akustycznej. W tym samym czasie przy zagrodzie pierwsza mysz wpadała do wody. I zaczynała pływać. I pływała. I pływała.

Pewnego ranka w środku lipca natknąłem się na mysią ścieżkę, szerszą od wszystkich, jakie do tej pory widziałem. Biegła od lasu do kartofliska wzdłuż płytkiego rowu, dobrze ukryta w krzaczastych samosiejkach. Tu i ówdzie przyłączały się kolejne ścieżki od drzwi i od wychodka, aż utworzyła się imponująca droga gruntowa. Dobrze ubity mysi tor, mysia droga główna. Szedłem nią z rosnącym napięciem. Minąłem starą stodołę, która wciąż jeszcze była do połowy wypełniona starym sianem. Tu się zatrzymałem. Ze stodoły biegła nowa ścieżka. Prawie tak samo szeroka. Byłem pewien, że wcześniej jej tu nie było. Ścieżka otaczała kamień, biegła w dół w zagłębienie i do góry po drugiej stronie. I tam, kilka metrów przed kartofliskiem obie odnogi się łączyły. Zbiegały się w olbrzymią wielopasmową autostradę.

Zrozumiałem, że chodzi o ziemniaki. Kartoflane łęty były wysokie i zielone, bo gdy wdowę zabrano, krewni nadal uprawiali pole, a w glebie puchły bulwy, żółte, delikatne. Myszy biegały i noc w noc wcinały ziemniaki. Obgryzały, zajadały ze smakiem i potem najedzone do syta drałowały do swoich kryjówek.

Nie było czasu do stracenia. W pół godziny znalazłem zardzewiałą beczkę po benzynie i poświęciłem większą część popołudnia na przecięcie jej na dwie części piłką do metalu. Później zostało tylko kopanie. Na środku autostrady. Ziemię ładowałem na taczkę i wysypywałem w lesie. Po trudzie i znoju mogłem wpuścić w dziurę pojemnik i uszczelnić ziemią wokół krawędzi. Potem nosiłem ze studni wodę, wiadro za wiadrem, aż pojemnik był niemal do połowy pełen.

I tak zeszło mi aż do wieczora. Maszyna do pisania ucichła, schody na ganek były puste. Zapukałem z dzienną zdobyczą mysich ogonów i napotkałem Heinza w samym środku pakowania. Plecak stał na środku podłogi, ubrania wisiały na krzesłach i stole. Heinz mimochodem wygrzebał pieniądze, wyjaśniając, że na jakiś tydzień pojedzie do Finlandii poszperać w archiwach.

Musiał sprawdzić wzajemne położenie domów w jednej z wiosek, nim spłonęła, i prześledzić spisy ludności. Jako pisarz dbał bardzo o detale, każdy prawdziwy pisarz taki powinien być, a jego zdaniem zaniedbywano to niesłychanie, co widać zwłaszcza u młodych prozaików. Mógłbym w tym czasie zająć się domem?

Przyrzekłem mu to i dowiedziałem się, gdzie będzie leżał klucz. Wtedy zrobiło mi się trochę niedobrze. Bolała mnie głowa, a dokładniej okolice czoła, i czułem sztywność w pachach. Może zanosilo się na burzę. Kiedy wyszedłem na ganek, zobaczyłem bardzo wyraźnie ścianę chmur nadciągającą od Finlandii. Przypominała dymnego grzyba znad płonących dołów, ale była szersza, bardziej imponująca. Dobiegł głuchy grzmot, jakby od linii rosyjskich czołgów. Heinz wyszedł i stanął obok mnie. Niespodziewanie objął mnie ramieniem, niemal po ojcowsku. Powietrze wydawało się bardziej parne, ciężiej się oddychało. Pot wystąpił na czoło. W ciemności pod masą chmur widać było pioruny błyskające jak zwinne ryby.

– Tam! – wskazał Heinz.

Słup dymu pojawił się wiele kilometrów stąd. Drzewo, zarośla? Dom? Czy to jakiś dom stanął w płomieniach? Na chwilę burzowa chmura przemieniła się w dym pożaru, cała Finlandia stała w ogniu, unicestwiana przez płomienne piekło. Heinz stał nieruchomo. Szeroko otwarte, lodowatoszare oczy utkwione w dali. Przypominały monety. Lekko musnął wąsy opuszkami palców. Jakiś włos wypadł. Trzymał go między kciukiem a palcem wskazującym, wzrok

powrócił do chwili obecnej. Włos był sztywny i poskręcany jak wypalona zapalka. Obracał go w ciszy. Potem puścił, pozwolił upaść między wspomnienia.

Gdy deszcz zaczął padać, dostałem pierwszych dreszczy. Popedałowałem do domu i runąłem na kanapę w kuchni, podciągnąłem kolana, aby nie uderzyć o oparcia. Gdy zaczęły trzaskać pioruny, mama zamknęła wszystkie drzwi i okna, wyjęła też wtyczki z gniazdek. Kłębowisko chmur nad horyzontem toczyło swój potworny cień. Deszcz bębnił o kryty papą dach, spływał szarymi zasłonami za szybami okien. Nowy grzmot. Naciągnąłem na siebie narzutę i koce, marzłem i pocilem się na przemian. Mama przyniosła wodę i porcję sody oczyszczonej, ponieważ siła lecząca sody była zadziwiająca i rozciągała się daleko ponad to, co widniało na opakowaniu. Mimo to temperatura rosła wraz z piorunami. Ulewa tak cisnęła okolicę swą mokrą stopą, że czerep mi pękał. Pojawiły się dziwne obrazy, wiedźmowate stworzenia o lśniących obrysach cicho biegnące w powietrzu. Miały noże i odcinały z siebie nawzajem plastry, płaskie jak lalki wycinane z papieru. W powolnym tańcu okaleczały się i zlewały w jedno z odciętymi kawałkami, więc cały czas się zmieniały, wymieniały swoje ciało z innymi. Od tej sceny zrobiło mi się niedobrze, obrzydzenie mnie brało, ale nie mogłem tego przerwać. Jakby kto inny myślał moim mózgiem, jakbym miał w sobie intruza.

Mama próbowała zachować spokój, ale lęk i tak się przebijał. Skrywała go pod opryskliwą miną, wydymając dolną wargę, tak że widać było błyszczące dziąsła. Osiągnęła już ten wiek, gdy skóra na twarzy zaczyna wiotczeć i zwisać jak trochę za duży sweter. Gdy się śmiała, skóra napinała się w mnóstwo fałdek, wyglądała więc jak pieńek, a innych min ponad te nie używała. Najpiękniejsze były wciąż jej włosy, rudobrazowe i grube, opadające na plecy. Kiedy je szczotkowała i pozwoliła jakiemuś lokowi zsunąć się na oko, mogła wyglądać jak gwiazda filmowa.

Marzłem tak, że aż dygotałem. Mama wyszła do pokoju i rozpałała w kominku, chociaż była połowa lata. Przez chwilę słyszałem, jak darła korę brzożową i gmerała pogrzebaczem. Potem zrobiło się dziwnie cicho.

Jasne światło wpadło do kuchni. Jakby słońce przedarło się przez chmury. Ale na zewnątrz nadal lało. Z mozołem podźwignąłem się i usiadłem. Zbity z tropu przyjrzałem się i odkryłem, że blask dochodził z pokoju.

– Co się dzieje? – krzyknąłem, ale nie otrzymałem odpowiedzi.

Począpałem tam na słabych od gorączki nogach. Przed ogniem jak szermierz stała mama, ze sztywno wyciągniętym przed siebie pogrzebaczem. Światło biło z paleniska. Żółtobiałe, ostre.

– Mamo, cofnij się! – krzyknąłem.

Mama zrobiła mały krok w tył, nadal dzierząc pogrzebacz. Ale światło podążyło za nią. Z kominka wzniosła się w powietrze świecąca kula. Iskrzyła jak płynne, rozżarzone do białości żelazo i podskakiwała, telepiąc się lekko, jakby płynęła w powietrzu. Kula, drżąc, zatrzymała się tuż przy pogrzebaczu. Zobaczyłem, że mama zaczęła świecić. Niebieski poblask na skórze. Włosy podniosły się i rozcapierzyły we wszystkich kierunkach.

– Puść to! Puść pogrzebacz!

Ale ona zachowywała się jak zahipnotyzowana. Cofała się tylko krok po kroku wymachując pogrzebaczem na boki. Kula podążała za nią. Machała szybciej, ale kulę przyciągało jak do magnesu.

– Puść to, matka, do diabła!

Zamiast tego zaczęła wywijać pogrzebaczem. Kręciła jak dyskobol, próbując pozbyć się intruza. Ale ten cały czas podążał za jej ruchem. Zwiększyła szybkość. Aż furkotało w powietrzu. Małe błyskawice strzelały wokół uchwytu. Kula nadal tkwiła przy czubku. Matka sapała, otworzyła szeroko usta i kręciła się coraz bardziej dziko. Wkrótce otoczył ją pierścień, aureola,

koło elektryczności. Nie mogła przestać. Kręciła się i kręciła, aż furczało, śpiewało, a cały pokój iskrzył się od niebieskich płomieni. Jeszcze przyspieszyła. I jeszcze. Aż do momentu, gdy powinno to już być niemożliwe.

Wtedy puściła uchwyt. Pogrzebacz i kula natychmiast wyfrunęły na zewnątrz. Rąbnęły w ścianę, kabraaaaaakk! Huk, aż uszy się zatkały, odłamki drewna spadły na nas z grzechotem. A potem cisza.

Cisnęło mnie na podłogę. Z mętlikiem w głowie uniosłem się, strząsnąłem drzazgi z włosów. Mama nadal siedziała na tyłku z nogami w rozkroku i ustami ściągniętymi w małe o. Uświadomiliśmy sobie, że przeżyliśmy. Niepewnie stanęliśmy na nogach i podreptaliśmy do ściany.

Była tam dziura. Ziejący otwór w ścianie zewnętrznej, jakby ktoś tak po prostu wbił pięść wprost do środka. Po pogrzebaczku nie zostało ani śladu. Nie było go ani tu w środku, ani na trawniku na dworze, i długo sądziliśmy, że w jakiś sposób się zdematerializował.

Ale jeszcze tej jesieni niespodziewanie się odnalazł. Głęboko zaplątany w krzaki czarnej porzeczki u sąsiada, dwa domy dalej, zardzewiała i poskręcany jak korkociąg.

Dokładnie zmierzyłem odległość. Dziewięćdziesiąt osiem i pół metra. Rekord świata kobiet w rzucie młotem.

Niepogoda minęła, a ja nadal leżałem rozłożony. Gorączka utrzymywała się przez całe dwie doby, potem zmieniła się w przypominający migrenę ból głowy. Stawy wydawały się zeszywniałe, oczy stały się nadwrażliwe na światło, gardło sprawiało wrażenie sflaczałego i łuskowatego. Ciało zdawało się ciężkie niczym stalowy kadłub, storpedowany, pomalowany zanurzający się w morską głębinę. Prawie nie dało się podnieść ramienia, trudno mi było przełykać. W Tornedalen zazwyczaj unikaliśmy, jak mogliśmy, wizyty u lekarza, ponieważ była ona najpewniejszym sposobem na rychły pogrzeb. Ojciec poszedł natomiast do sąsiada, który miał poradnik medyczny po fińsku. Ten zdiagnozował zapalenie opon mózgowych, odrę, pokrzywkę, raka mózgu, świnkę i młodzieńczą cukrzycę. Potem przyszedł kaszel i katar, stało się więc jasne, że to letnia grypa. Taka prawdziwa, z bolącymi zatokami, ale w większości przypadków całkiem niegroźna. Niila przyszedł mnie odwiedzić, ale zawrócił już w drzwiach, gdy tylko poczuł woń zarazy.

Na zewnątrz panował już upał pełni lata. Front burzowy wyciosał dziurę w morzu powietrza, zorał niczym wielki spychacz i utorował drogę gorącym kontynentalnym masom znad Syberii. Wyż wznosił się nad nami jak olbrzymi namiot cyrkowy z intensywnie niebieskim dachem i nieruchomym upałem. Komary leżały się milionami na bagnach. Linowy prom kursował bez przerwy przez rzekę na Esisaari, na plażę z kąpieliskiem, a kasyno Altenburga rozłożyło na łące swój czerwono-żółty saloon ze strzelnicami, jednorekimi bandytami i wszelakimi pokusami dla kieszonkowego wioskowej dziatwy. Dyrektor kasyna przechadzał się wokół z nagim torsem, kosmaty jak stary niedźwiedź, w kowbojskim kapeluszu na siwej czuprynie i wrzeszczał:

– Dziesięć losów za piątak! Dziesięć piątaków za „lottę”!

Ja natomiast leżałem w domu, pociłem się strumieniami i błagałem, by przy łóżku stał pojemnik z wodą. Piłem i piłem, ale wysikać udawało mi się zaledwie kilka ciemnożółtych kropli. Twarz miałem spuchniętą i napompowaną zielonym śluzem, który wysmarkiwałem, aż starłem sobie skórę. Niekiedy próbowałem pograć trochę na gitarze, ale kręciło mi się w głowie i zaraz cały byłem mokry od potu. Wylegiwałem się więc. Słuchałem trzmiela, który zabłąkał się do środka i głucho brzęcząc, usiłował przebić siatkę w oknie, a od drugiej strony przez oczka wbiły swoje ssawki komary.

Powoli przeziębienie mijało. Wczesnym rankiem, gdy słońce zaczynało prażyć, usiadłem i odszukałem pojemnik. Piłem łapczywie, a kropelki kapały z kącików ust.

Wtedy sobie przypomniałem. To, co siedziało głęboko z tyłu głowy, co zepchnąłem tam w gorączce i kaszlu.

Zerwałem się i ubrałem. Słyszałem ojca chrapiącego w sypialni. Cicho wymknąłem się na ostre poranne światło. Usiłowałem doliczyć się, jak długo leżałem chory, ile dni minęło. Z nieznośnym przecuciem popedałowałem w stronę zagrody Niemca.

Już od drogi czuć było smród. Mdły. Kwaśny. Im bliżej podchodziłem, tym silniejszy. Bardziej słodkawy i ohydny. Zakryłem dłonią usta i nos. Zobaczyłem wysokie łąty na kartoflisku. Stodołę i mysią ścieżkę. Beczkę.

W odległości trzydziestu metrów dusiłem się. Wziąłem głęboki wdech i podbiegłem ostatni kawałek.

Szara maź. Tak dużo, że zdychały jedno na drugich.

Pochyliłem się, więc cień padł na powierzchnię. Zabłysło. Gruby kożuch much wzniósł się, brzęcząc. Gwałtownie odchyliłem się w tył. Ale zdążyłem zauważyć, jak się tam na dole roiło. Kłębiło się jak morze. Falujący dywan larw.

Zaszokowany podreptałem chwiejnym krokiem na łąkę. Mdłości targnęły ciałem. Odchrząknąłem i biegłem, aż upadłem. Splunąłem, leżąc twarzą w jakichś mleczech, próbowałem wymiotować, ale nie mogłem.

W końcu udało mi się wziąć w garść, zrzuciłem kopniakiem buty, ściągnąłem skarpety wilgotne od potu. Następnie zawiązałem je sobie, zasłaniając nos i usta. Zapach był paskudny, ale mój własny. Z rozpaczliwą energią wstałem na nogi.

Odszukałem taczkę i zacząłem napełniać ją ziemią. Zasypię cały ten masowy grób, tam gdzie jest. To jedyny sposób. Zakopać wszystko. Pokryć ziemią i spróbować zapomnieć.

Gdy taczka była już pełna, popchnąłem ją do przodu i nabrałem w płuca powietrza, ile się dało. Założyć skarpetę i mieć to już z głowy. Nie myśleć. Tylko to zrobić, jak najszybciej.

Gdyby tylko nie jedna sprawa.

Pieniądze.

Bo tak to wyglądało, jeśli spojrzeć na wszystko trzeźwo i rzeczowo, co z pewnością nie było łatwe. Pojemnik był pełen pieniędzy. Półkoronówki leżały stosami. I właśnie miałem je pogrzebać.

Postawiłem taczkę. Wahałem się. Potem z desperackim zdecydowaniem poszukałem w szopie grabi. Wziąwszy głęboki wdech, popędziłem w stronę pojemnika. Wsadziłem grabie w breję, muchy odleciały. Łowiąc, udało mi się oddzielić kilka zwłok. Skóra pękała, a larwy spadały jak białe krople w trawę. Dusząc się, pobiegłem z powrotem, żeby zaczerpnąć powietrza. Przyniosłem nożyce do strzyżenia owiec i włożyłem parę dziurawych rękawic roboczych. Potem zmusiłem się, by wrócić biegiem.

Z bliska widać było szczegóły. Nie, nie da się. To zbyt wiele.

Leżałem na skraju lasu i czułem powracającą gorączkę. Pieniądze! Trzeba myśleć o pieniądzach. Było co najmniej siedemdziesiąt sztuk. A może nawet osiemdziesiąt. Razy pięćdziesiąt öre daje czterdzieści zdrowych, dźwięczących koron.

To po prostu praca. Tak należało na to spojrzeć, wakacyjna praca, jak każda inna.

Nowa runda. Ciach, pięćdziesiąt öre. Ciach, korona. Trupy do wiadra i daleko, by zaczerpnąć powietrza.

Korona. Cholera, jedna korona, pieprzona ciężka cholera.

Grabie w dół. Ciach, korona pięćdziesiąt.

Wcisnęło się do ust, zostawał w nich posmak.

Ciach, dwie korony. Dwie pięćdziesiąt.

Gdyby tylko nie ten smród.

Cztery korony. Pięć. Sześć pięćdziesiąt.

Cholera, wystarczy, pewnie, trzeba, cholera, skończyć...

Szło nieznośnie wolno. Niektóre były świeższe, wciąż sztywne. Inne rozpadały się na kawałki. Łapki z rozcapierzonymi pazurami, żółte połyskujące zęby gryzoni. Wśród myszy leżało też kilka normic, wielkich jak koty, groteskowo napuchłych. Pływały w poskręcanych pozach, zastygłe w okrutnej agonii.

Upłynął dobry kawałek przedpołudnia, nim pierwsze wiadro się zapełniło. Krótkimi zrywami włókłem je do lasu. Zawartość chlupotała i bulgotała. Wylałem breję do dołu z trupami. Wróciłem do pojemnika.

W mniejszych wodnych pułapkach ofiary były mniej liczne, ale równie przegniłe. W łapkach ciała były niemal doszczętnie zjedzone przez mrówki i już zaczęły wysychać. Walczyłem przez większą część dnia i czułem, jak ubrania lepia się od smrodu. Opróżniłem wiadro do leśnego dołu. Jeszcze jedno wiadro. Znów z powrotem, ciach, ciach. Coś zimnego łaskotało w rękawicy, wysypałem z niej kilka larw. Muchy krążyły chmurą wokół twarzy, siadały wszędzie. Gdybym chociaż miał czapkę. Wiadro za wiadrem. Odbiec i pooddychać. Coraz głębiej w pojemniku.

Na koniec pozostała tylko szara, mętna posoka na dnie. Przesiałem grabiami, na szczęście, bo były tam jeszcze cztery oderwane ogony, dwie korony, gdy przyjrzałem się dokładniej, znalazłem jeszcze jeden, pięćdziesiąt øre, więc opłacało się być dokładnym.

Na samym końcu przywlokłem taczkę, wysypałem ziemię do pojemnika i łopatą uklepałem powierzchnię. Po masakrze niemal ślad nie pozostał. Tylko naga plama ziemi, gdzie wkrótce wyrośnie trawa.

Gorączka powróciła, gdy ślaniając się szedłem po kanister z benzyną. Teraz pozostało już tylko jedno do zrobienia.

Dół w lesie był przepełniony. Ostatnie wiadra wylały się w wysuszony słońcem chrust. Muchy wzniosły się gęstymi chmurami w górę, ale szybko znów osiadły jak włochaty koc i wstrzykiwały jaja w rozgrzaną słońcem zgniliznę. Smród był gorszy, niż kiedykolwiek byłbym w stanie sobie wyobrazić, ciasto na drożdżach śmierci, w którym miliardy mikrobów puchły i namnażały się.

Znów odbiegłem, by zaczerpnąć powietrza. Odkręciłem korek kanistra i włożyłem nos w otwór. Woń benzyny, słodka i mocna, przeczyściła go. Zbierałem siły na to ostatnie, to jedyne, co pozostało, zanim wszystko będzie już gotowe. Później będzie można sobie odpuścić i zapomnieć.

Kręciło mi się w głowie, gdy polewałem zwłoki benzyną, lałem i zatapiałem. Jak święte obrzędy, jakbym próbował coś odpokutować, naprawić. Potarłem zapałkę o draskę i płonąca rzuciłem. Z głębokim, przepełnionym smutkiem kaszlnięciem stos zaczął się palić. Podniósł się prawie niewidoczny potężny i trzaskający płomień. Krzaki rosnące w pobliżu osmaliły się, chrust na ziemi się zajął. Zadeptywałem płomienie. Wtedy zauważyłem, że polałem sobie benzyną nogawki, płomienie wspinały się do kolan. Z wrzaskiem rzuciłem się na ziemię i ściągałem spodnie. Utknęły wokół butów, które też się paliły. Wściekle kopiąc, pozbyłem się butów i ugasilem, uderzając dłońmi.

Przy dole zajęło się suche poszycie. Najbliższe krzaki stały już w płomieniach. Odłamałem gałąź z liśćmi i próbowałem chłostaniem ugasić języki ognia, ale one rozprzestrzeniły się nieubłaganie z powodu suszy. Wkrótce dosięgły najbliższego drzewa. Zdesperowany usiłowałem powstrzymać katastrofę. Nagle przez las przeleciał podmuch, łagodny wiaterek, który zaczął wiać w stronę zarzewia płomieni. To ogień przyciągał do siebie tlen, ogniowy oddech, wiatr przybierający na sile, tymczasem płomienie wspinały się w górę przez korony drzew. A tam najgłębiej, w sercu zagłady, bulgotało krematorium.

Stałem jak sparaliżowany. Z zadziwiającą szybkością płomienie rozprzestrzeniały się po lesie, przerzucały swoje pochodnie z drzewa na drzewo. Znow zacząłem walić ulistnioną gałęzią, walczyłem przerażony, ale z każdą minutą katastrofa rosła.

– Straż pożarna! – pomyślałem i chciałem pobiec po pomoc. Ale nie mogłem, coś mnie trzymało, biłem i biłem z piekącymi oczami.

Nieubłagane ognie dosięgały skraj lasu, rozszalały front wojenny. Stodoła z sianem zaczęła się tlić i wkrótce była już nie do ocalenia. A wiatr wiał w stronę zabudowań. Deszcz iskier spadał coraz bliżej, coraz gęściej. Ostre igły płomieni spływały w dół. Smołowany dach zajął się szybko.

Nadciągała wojna. Dzikie zwierzę, które zostało obudzone i nie dało się go dłużej powstrzymać. To ja ponosiłem winę, błąd był mój.

W tym momencie pojawił się Heinz. Wyrzeszczone oczy. Panika.

– Manuskrypt! – wrzasnął i rzucił się, by wyważyć drzwi.

Dach cały płonął, dym kłębił się gęsto, on jednak się pochylił. Musiał wejść do środka, przepychał się do przodu. Z pustymi rękoma, łzawiącymi oczami wycofał się. Znow szybko do środka, teraz już wśród dymu były płomienie, widać było żółtą lunę. Tym razem wybiegł z plikiem papierów w ramionach. Trzymał je blisko ciała jak dziecko, przyciskał do piersi i kaszłąc, runął w trawę.

Podszedłem do niego. Cuchnący i cały w sadzy, w samych tylko gaciach. W garści trzymałem sznurek ze zgniłymi ogonami. Były powiązane w pęczki po dziesięć, łatwe do policzenia. Proste do sprawdzenia.

– Sto osiemdziesiąt cztery sztuki – wyjąkałem. – Dziewięćdziesiąt dwie korony.

Heinz popatrzył na mnie z pustką w oczach. Chwycił sznurek ze śmierdzącymi ogonami i gwałtownym ruchem wrzucił w morze ognia.

– To twoja wina!

Żadnego brązowego skórzanego portfela. Żadnych pieniędzy. Żadnej gitary.

Zdesperowany wydarłem mu plik papierów i cisnąłem w ogień. I pobiegłem przed siebie, biegłem ze wszystkich sił.

Heinz zerwał się z przeciągłym rykiem. Skulony próbował przedrzeć się do środka, ale tym razem musiał zawrócić.

Kiedy wreszcie przyjechała straż pożarna, siedział na pokrywie studni – stary żołnierz – i płakał.

ROZDZIAŁ 13

W którym pojawia, się nauczyciel muzyki z kciukiem w środku dłoni, oraz jak poznajemy nieoczekiwany talent z Kihlanki

W siódmej klasie dostaliśmy nowego nauczyciela muzyki. Nazywał się Greger i był ze Skanii, wysoki, szerokousty wiejski parobek, który stracił wszystkie palce prawej ręki na kole pasowym. Tylko kciuk został, duży jak podłużny, przegubowy ziemniak. Po wypadku przekwalifikował się i jako świeżo upieczony belfer od muzyki wylądował w Pajali. Trudno było zrozumieć, co mówił. Poza tym był wesołym facetem z dziwnym poczuciem humoru. Nigdy nie zapomnę pierwszej lekcji, wszedł z ręką w kieszeni i zaczął gardłowo charczeć:

– Stoi przed wami niedorrajda z kciukiem w środku ręki!

Z dobrze zaplanowanym efektem szoku wyciągnął swoją zniekształconą dłoń. Dyszeliśmy z przerażenia. Obrócił rękę i zobaczyliśmy, że kciuk i owłosione knykcie pod pewnym kątem przypominają męski narząd płciowy. Ale straszniejszy i sękaty, obdarzony nienaturalną ruchliwością.

Greger przywiózł ze sobą do Pajali niezwykłą nowość, wyścigowy rower z dwunastoma biegami. Niczego bardziej ekstremalnego i zbędnego dotychczas nie widziano, miał skórzane, twarde jak kamień siodełko i wąskie jak cygaro opony, nie miał ani błotników, ani bagażnika. Wyglądał prawie nieprzyzwoicie, po prostu goły. Facet w czerwonym dresie zaczął śmigać jak rakietą po drogach, straszyl kobiety i dziatwę oraz był powodem doniesień o UFO w gazecie „Haparandabladet”. Poza tym doprowadzał do wściekłości psy. Musiało coś być w jego zapachu, coś skańskiego we florze jelitowej. Gdy tylko przemknął obok nich, dostawały szału. Zrywały się z uwięzi i wściekle ujadając, goniły go mila za milą, wciąż powiększającym się stadem. Raz wrócił z treningowej wyprawy do Korpilombolo z asystą w składzie: dwa szpice norrbotteńskie, wyżeł, jeden szpic jämtlandzki, dwa szpice *gräspets*, plus kilka mieszaićców. Wszystkie miały oczy białe od żądzy mordy. Greger zahamował przy posterunku policji i natychmiast został zaatakowany przez czarnego labradora, który objął rolę przywódcy w tym histerycznym stadzie. Greger poczekał na właściwy moment. Potem kopnął go ze spokojem eleganckim butem do jazdy na rowerze prosto w nos, aż kundel, skomląc, zatoczył się do swoich kumpli. Następnie z godnością wkroczył na komisariat. Dyżurny musiał uwiązać całą nagonkę do barierki, oprócz labradora, który poszedł pod obserwację weterynaryjną. Przez resztę dnia schodziły się ciche chłopcy z okolicznych wiosek, by zabierać swoje kundele. Po tym wydarzeniu Greger stał się osobą, o której się mówi.

Inna polemika dotyczyła tego, jak szybko można właściwie jechać na takim urządzeniu. Pewnego popołudnia Staffan z dziewiętej opowiadał, jak to poprzedniego wieczora testował prędkość swojego świeżo podrasowanego motoroweru na trasie do Kengis. Siedział pochylony do przodu nad kierownicą, z ryczącym silnikiem i zapewniał, że motorower miał na liczniku sześćdziesiąt dwa kilometry na godzinę. Wtedy z tyłu wynurzył się Greger. Sprężyście i lekko jak piórko naciskając na pedały, minął go i zniknął za kolejnym wzniesieniem.

Pewien chłopak z żyłką do interesów z Vittulajänkka zorganizował wtedy niecodzienny zakład. Greger miał ścigać się ze szkolnym autobusem do Kaunisvaara. Nie był on specjalnie

znany z osiągnięcia jakichś niesamowitych prędkości, ale w każdym razie... Chłopak oszukiwał ze stawkami i bezwstydnie zgarniał wysoką prowizję, niemniej udało mu się mimo wszystko namówić ludzi, by postawili, i Gregera, by startował.

Zawody doszły do skutku pewnej środy pod koniec września. Autobus zatrzymał się jak zwykle na tyłach Szkoły Centralnej, a uczniowie wtoczyli się do środka. Kierowca, który nic nie wiedział o zawodach, wcisnął gaz i równocześnie zauważył, jak jakaś ubrana na czerwono istota mija go po zewnętrznej.

Człowieka w czerwieni widziano potem w Mukkakangas. Stał wyprostowany przy samochodzie patrolowym policji z Gällivare, gdy autobus go mijał. Jeden z policjantów zapisywał coś w notatniku, drugi odganiał pałką atakującego szpica jämtlandzkiego.

Na wysokości Jupukki Greger znów dogonił autobus. Kierowca utrzymywał dobrą prędkość, ale czerwony leciał, trzymając się tuż za autobusem. Na zjeździe ze wzgórza podjechał bliżej i wyprzedził, a dzieciaki kwiliły z podniecenia. Kierowca ze zdziwienia wytarł nos, nie wierząc własnym oczom.

Osiem kilometrów dalej czerwony stał na poboczu i zmieniał dętkę w tylnym kole. Od czasu do czasu wygrażał pompką doskakującemu lisowi.

Potem nie było go widać. Dzieciaki zebrały się przy tylnej szybie i wpatrywały się przez brud. Ale jezdnia była pusta. Mokradła i lasy zostawały w tyle, Kaunisvaara zbliżało się coraz bardziej. Na koniec gdzieś z przodu pojawiła się tablica i wszyscy zaczęli rozumieć, że już za późno.

Wtedy zauważono kropkę. Czerwoną postać. Żagiel, który się zbliżał, ale zdecydowanie za wolno. Tymczasem przed autobusem pojawił się terkoczący traktor. Za kierownicą siedział emeryt. Zwyczajem takich dziadków w czapce z daszkiem, zawalidroga jechał środkiem drogi, autobus hamował i trąbił. Traktor zjechał trochę na bok. Autobus rozpoczął wyprzedzanie, mając kilka centymetrów zapasu. Droga została całkiem zablokowana przez pojazdy. A z tyłu czerwony zbliżał się coraz bardziej.

Traktor warczał.

Greger w życiu nie zdąży!

Tablica była tuż tuż. Kaunisvaara. A jezdnia zapchana, wyprzedzanie niemożliwe.

– Tam! – krzyknął Tommy z siódmej.

W rowie. Coś czerwonego przeciskało się do przodu przez krzaki i kamienie. Wzdłuż autobusu. I zostawiło go w tyle, dokładnie w momencie mijania tablicy.

Przez chwilę wszyscy siedzieli jak sparaliżowani. Próbując zrozumieć, co zobaczyli. A potem w autobusie zaczęto wiwatować.

– Skańczyk wygrał!

Gruby lapoński pies przewrócił kobiecinę z wiadrem jagód i pognał za czerwoubranym, przeraźliwie ujadając.

Greger miał też inną godną uwagi umiejętność. Mówił po tornedalsko-fińsku. Wszyscy byli przekonani, że – jako Skańczyk – jest *ummikko*, czyli niewykształcony w ojczystej mowie chwały i bohaterów, ale nadeszły zapewnienia z kilku niezależnych źródeł. Chłopy i baby zapewniali, że z tym charczącym nietutejszym prowadzili długie, owocne rozmowy w miejscowym dialekcie – języku *meän kieli*.

Greger był wesołym facetem, zwyczajem południowców miał anormalnie rozwiniętą potrzebę kontaktu. Kiedy przejechał kilkadziesiąt kilometrów w ciszy na swojej wyścigowce, miał zwyczaj zatrzymać się i gadać z tubylcami. Zdziwionych chłopów albo baby w Anttis, Kardis, Pissiniemi, Saittarova, Kivijärvi czy Kolari ktoś nagle zaczepiał zupełnie bez przyczyny. Przed

nimi stał spocony Marsjanin i paplał, aż ślina pryskała. Słowa nie były znajome, ale odpowiadano na wszelki wypadek po fińsku, że nie ma się zamiaru nic kupować.

Potem człowiek odkrywał, że dziwnym sposobem zrozumiał, co zostało powiedziane. To było po prostu nieprawdopodobne. Ten klepiący szwargot z dźwiękami, które tylko pijany może z siebie wydawać! I gdy odpowiedziało się *joo varmast* albo powiedziało *niinkö*, obcy rozumiał z miejsca.

Zagadkę rozwikłał pewien starszy celnik, który w młodości pracował w Helsingborgu. Jako jeden z niewielu tornedalczyków władał zarówno dialektem tornedalsko-fińskim, jak i skańskim. Przypadkiem znalazł się przy wiejskim sklepie Conrada Mäki w Juhonpieti właśnie wtedy, gdy stał tam Greger i nawijał z kilkoma emerytami. Celnik stanął z boku i słuchał dyskretnie, aczkolwiek pilnie. Następnie zrelacjonował swoje spostrzeżenia wszystkim zainteresowanym w obiektywny i szczegółowy sposób. Starym zwyczajem spisał swoje oświadczenie, które sam miałem okazję przeczytać, podpisane zgodnie z prawem przez niego samego i poświadczone przez dwie niezależne osoby.

„Jasno wykazane zostało, że rozmówca G (czyli Greger) podczas całej rozmowy posługiwał się skańskim o niewyraźnym charakterze, poza tym niewielką ilością dosadnych tornedalskich wyrażeń (zobacz załącznik numer jeden), z błędną w większości wymową. Rozmówcy A, B oraz C (dwóch facetów i jedna baba) równie ewidentnie trzymali się tornedalsko-fińskiego. Niezwykle było to, że rozmowa przebiegała zupełnie logicznie, a każda ze stron zdawała się całkowicie rozumieć drugą. Kolejno poruszano tematy:

1. Ostatni deszcz i chłód.

2. Przyrost ziemniaków późnym latem, zalety smakowe ziemniaków migdałowych w porównaniu z ziemniakami okrągłymi i czy ciągłe deszcze wpływają na gnicie ziemniaków.

3. Letnie sianokosy, liczbę i jakość rusztowań do suszenia siana i jak późna jesień wpłynęła na zawartość składników odżywczych w sianie.

4. Liczba zwierząt we wsi, karmienie mlecznych krów dawniej i dziś, mechanizacja rolnictwa oraz czy traktory są tańsze po szwedzkiej czy po fińskiej stronie.

5. Sporo ostatnio znalezionych krzywo wyrosniętych marchewek, które przypominają fiuty, czy to wybryk natury, czy też ostrzeżenie od naszego stwórcy względem młodzieżowych potańcówek.

6. Perspektywy na poprawę pogody i słowa pożegnania.”

W celach naukowych celnik zatrzymał Gregera, właśnie gdy ten miał popedałować dalej, neutralnym tonem pytając po fińsku, która godzina:

– *Mitäs kello on?*

– Nawzajem – odparł przyjaźnie Greger.

Z tego wszystkiego celnik wyciągnął następujące wnioski:

„Greger nie posługiwał się fińskim (poza źle wymawianymi przekleństwami, załącznik numer jeden, jak wyżej). W równie małym stopniu emeryci rozumieli skański. Zagadkowe porozumienie między nimi można natomiast przypisać dwóm przyczynom: mowie ciała Gregera, która była frapująco rozbudowana i rozumiała, oraz jego nadzwyczaj szerokiej wiedzy z zakresu rolnictwa.”

Syn celnika był językoznawcą w Umeå i rozpoczął rozprawę naukową na temat: *Bilingual understanding in a northern Scandinavian multicultural environment*, ale zaczął pić i nigdy jej nie dokończył.

Sam Greger jedynie głupio rechotał, gdy poruszano ten temat. Tacy już są ci Skańscy. Rechotliwi.

Już pierwszego dnia w szkole Greger zinwentaryzował muzyczny kantorek i jego wyposażenie: zestaw pałeczek brzoźowych dla całej klasy, dwa tamburyny, z czego jeden pęknięty, dwa trójkąty, jeden drewniany ksylofon, w którym brakowało fis i a, jeden marakas gubiący ziarenka, jedną gitarę z trzema strunami oraz jedną złamaną filcową pałeczkę. Ponadto był jeszcze zestaw „Śpiewajmy razem 1” dla całej klasy i garść „Pieśni ojczystych” Olofa Söderhjelm.

– Cholera, ale nędza! – mamrotał Greger.

I zanim ktokolwiek się zorientował, wycisnął ze szkolnego budżetu sumę, o której istnieniu nikt nawet nie miał pojęcia, za którą zakupił zestaw perkusyjny, bas, gitarę elektryczną i wzmacniacz. Do tego nowiutki adapter. Podczas następnej lekcji okazało się, że jest niezwykle zręcznym gitarzystą. Zdrowa, ogromna lewa dłoń skakała po gryfie jak włośchaty południowoamerykański pajak ptasznik, podczas gdy samotny prawy kciuk wybijał mgliste i szeleszczące akordy, wydobywając flażoletowe tony z dziecinną łatwością. Potem przeszedł do bluesa i udawał, że śpiewa jak Murzyn, co było dość proste, zważywszy na to, że był Skańczykiem. Potem odstawił pełną żalu solówkę za pomocą paznokcia kciuka spełniającego rolę kostki. Klasa patrzyła oniemiała.

Gdy zabrzmiał dzwonek na przerwę, Niila i ja zostaliśmy.

– Nigdy tak nie będę umiał zagrać – powiedział Niila pośępnie.

Greger odłożył gitarę.

– Wyciągnij ręce! – zakomenderował.

Niila zrobił, co mu kazano. Greger wyciągnął przed siebie swoje i przyglądał się palcom.

– Licz – rozkazał.

Niila policzył. Sześć palców.

– A ile ty masz?

– Dziesięć.

Tak, można na to było spojrzeć i z tej strony.

Ponieważ Greger zauważył nasze zainteresowanie, dostaliśmy pozwolenie na rozpoczęcie improwizowania na przerwach. Niila z wielkimi oczyma przebierał na gitarze elektrycznej, oczarowany tym, że tak lekko przyciska się struny. Ja chwyciłem bas. Wydawał się niespodziewanie ciężki, gdy wisiał na taśmie przez ramię jak mauzer. Następnie włączyłem oba wzmacniacze. Niila zapytał z obawą, czy może porazić prądem palce. Odparłem, że nie ma niebezpieczeństwa, bo przecież struny są odizolowane jedna od drugiej.

I zaczęliśmy grać. To było ekscytujące i cudowne, choć brzmiało paskudnie. Ale od tej chwili granie w pewien sposób stało się bardziej prawdziwe. Droga od płyty własnego wyrobu w garażu przez trzeszczącą gitarę akustyczną w piwnicy do tego, że teraz staliśmy przed prawdziwym sprzętem. Lśniący lakier, chromowane pokrętła i przyciski, lekko brzęcząca membrana głośnika. To było coś. To było serio.

Pierwszym zadaniem było utrzymanie rytmu. Najpierw każdy osobno, co nie było łatwe. Potem razem, co było jeszcze gorsze. Następnym zadaniem była zmiana akordów. Najlepiej równocześnie. Nadal trzymać rytm. I wrócić do poprzedniego chwytu.

Kto sam grał, rozumie, jak to jest. Sporo czasu upłynęło, nim można było zacząć nazywać to muzyką.

Greger przysłuchiwał się czasem i udzielał przyjacielskich rad. Jego najwspanialszym darem była olbrzymia cierpliwość. Na przykład na tamtej długiej przerwie, kiedy uczył nas zaczynać równocześnie. Odliczał nam raz po raz, ale ja zaczynałem zawsze na trzy, a Niila na cztery. Przez chwilę było na odwrót. W końcu, gdy już obaj zaczynaliśmy na cztery, Greger powiedział, że trzeba zaczynać na jeden. To drugi jeden. To nigdy nie wypowiedane na głos.

– Raz, dwa, trzy, cztery – (już!)

Niila stwierdził, że orłem z matmy to on nigdy nie był. Greger wyciągnął wtedy swoją niepełnosprawną dłoń i poprosił, by Niila policzył kikuty palców.

– Czterech palców nie ma i wtedy jesteście cicho – wyjaśnił Greger przyjaźnie. – Czyli muzyka zaczyna się od kciuka!

Co najdziwniejsze, to podziałało. Po raz pierwszy weszliśmy równocześnie. I do dziś, gdy słyszę kogoś odliczającego przed kawałkiem, zdarza się, że widzę przed oczyma kikuty palców Gregera.

Improwizowaliśmy całą jesień. Spędzaliśmy na tym cały wolny czas. Przerwy, okienka i po szkole. I w końcu, na jakiejś długiej przerwie udało nam się nareszcie odegrać jakiś bluesowaty akompaniament.

Greger słuchał i kiwał głową z aprobatą.

– Grajcie dalej – zachęcał.

I otworzył drzwi do sali. Do środka wszedł nieśmiały chłopak o delikatnej twarzy i z długą grzywką. Nie spojrzał na nas.

Otworzył tylko podłużne pudło, które targał. Wnętrze było wyłożone czerwonym pluszem. Długimi palcami wydobył czerwono-białe elektryczne wiosło, podłączył do jednego ze wzmacniaczy i podkręcił głoś. Potem odstawił do naszego podstawowego akompaniamentu solówkę, która niemal wyrywała serce z piersi, krzykliwe solo przepelnione rozdzierającym smutkiem. Grzmiało tak, że drżały szyby w oknach. Dźwięk zupełnie nie przypominał tego, do którego byliśmy przyzwyczajeni, przerywany, rozdzierający, wyjący. Jak zrozpaczony człowiek. Pomajstrował małą skrzynką przy gitarze i wycie stało się jeszcze straszliwsze. Potem pociągnął solówkę. Trzaskające i ryczące gitarowe solo, zwierzęco samcze, niepojęte, że wydobywało się z tego delikatnego trzynastolatka. Palce fruwały po strunach, kostka smagnięciami wydobywała gwałtowne kaskady dźwięków, ucho nie nadążało, tylko serce, ciało, skóra. Na koniec zrobił coś, czego jeszcze nigdy nie widziałem. Zdjął gitarę i trzymał ją przy głośniku, a ta już po chwili zaczęła grać sama z siebie, rozrywające gwizdy, wilcze wycie i flety jednocześnie.

Potem chłopak się uśmiechnął. Miętko, niemal dziewczęco. Odrzucił w tył jasną grzywkę i odłączył zasilanie. Twarz z lodowatoniebieskimi oczyma wyglądała bardzo fińsko.

– Jimi Hendrix – powiedział krótko.

Rozsunęliśmy zasłony. Kilkunastu uczniów przyciskało nosy do szyby, gęsto stłoczeni, ramię przy ramieniu. Dźwięk słychać było w całej szkole.

Greger popatrzył na nas rozmarzony.

– Teraz to zaczyna już coś przypominać, chłopaki! To jest Holgeri.

Odwróciłem się do Niili i wymamrotałem z potwornym przeczuciem.

– Kurde, ale mu dadzą popalić.

– Co? – powiedział Greger.

– Nieee, nic.

W klasach starszych szykanowanie wybuchło na dobre. Jeśli ktoś w niewłaściwy sposób się wyróżniał, wyładowanie w Pajalskiej Szkole Centralnej było paskudne. Patrząc z zewnątrz, mogło to wyglądać inaczej. Szkoła w słabo zaludnionym obszarze, w spokojnej wsi. Niewiele ponad dwustu uczniów. Cicha atmosfera w korytarzach, nieśmiałość – można by sobie ubzdurać.

Prawda była taka, że istnieli niebezpieczni uczniowie. Powoli zaczynali siać spustoszenie już w klasach średnich, ale dopiero teraz rozkwitli. Być może to dojrzewanie. Zbyt dużo podniecenia, zbyt dużo lęku.

Niektórzy w ramach rozrywki stemplowali siniakami w najdalszych zakamarkach korytarzy, wciskali swoje twarde jak kość kolana w udo albo pośladek. W miękkie części. Gdy się obróciłeś, obolały do mdłości, stali, szczerząc się. Czasem nosili igły do szycia schowane w pięści i wbijali je głęboko przez ubrania i skórę, gdy przechodziłeś. Częste było klucie w mięśnie na barkach, co powodowało cholerny ból jeszcze przez długie godziny po ciosie.

Prześladowcy doskonale potrafili zwietrzyć ofiarę. Wiedzieli doskonale, gdy ktoś był inny, wyławiali samotników, artystów, zbyt inteligentnych. Jedną z ich ofiar miała na imię Hans, cichy chłopak, który chętnie przebywał w towarzystwie dziewczyn. Prześladowcom udało się kontrolować całe jego życie, straszili go tak, że nie odważył się chodzić sam po korytarzach. Próbował ukrywać się wśród kolegów, trzymać się w środku grupy jak osłabiona antylopa. Dopiero kilka lat później mógł przenieść się do Sztokholmu i ujawnić swoje homoseksualne skłonności.

Kolejną ofiarą był Mikael. On też był nieśmiały i zamknięty w sobie, nie był w stanie oddać. Był inny, to się rzucało w oczy. Głęboko w środku uważał, że jest kimś. Przy sposobności, gdy nie było nauczyciela, banda otoczyła go na zajęciach z obróbki metali. Z klasowym sadystą na czele – Uffe – zaczęli trenować na Mikaelu chwyt duszący. Palcami poplamionymi snusem Uffe powoli ścisnął coraz mocniej smukłą szyję, aż chłopak zaczął kumkać jak żaba. Koledzy z klasy stali i na to patrzyli, ale nikt nie zaprotestował. Natomiast z zainteresowaniem obserwowano z coraz bliższej odległości. Czy to tak jest być duszonym? Popatrzcie, jakie ma wytrzeszczone oczy! Wkrótce kilku innych chciało z ciekawości spróbować. Wcale nie musieli przytrzymywać ofiary siłą, siedział sparaliżowany strachem. Popatrzcie, prawie rzyga, lepiej puścić. Jeszcze ktoś chce? Chodź, wypróbuj. Patrz kujona, jaki on przerażony! Przyciśnij tu, niżej, lepiej działa. Chrłe, chrłe, uuuhhuuurhhh... Ty też spróbuj, on się nie odważy wypaplać! Tam jest szyja, kurwa mać, jaka cienka!

Nauczyciele podejrzewali, co się dzieje na korytarzach, ale nie mieli odwagi interweniować. Kilku z nich też niszczone. Nauczycielkę z południowej Szwecji systematycznie wykańczano nerwowo, raz po raz wybiegała z klasy z płaczem. Uczniowie śmiali się do niej szydę, cokolwiek by mówiła, odmawiali wypełniania przygotowanych przez nią ćwiczeń, chowali jej książki, wychylali się z seksualnymi aluzjami, bo była niezamężna, wkładali jej do torebki pornograficzne zdjęcia i tym podobne. Coraz więcej uczniów się przyłączało, gdy tylko zauważyli szansę. Całkiem zwyczajne chłopaki i dziewczyny. Koledzy i koleżanki z klasy. Tak rozochoceni, że cali drżeli w środku. Zdarzały się chwile, że powietrzem w klasie nie dało się już dłużej oddychać.

Gdy tylko usłyszałem solówkę Holgeriego, zrozumiałem, że ma przerabane. Właśnie tego typu ludzi szukali szykanujący – wątłych chłopaków, którzy za bardzo się wyróżniali. Wcześniej przemykał mi kiedyś w korytarzach, ale nigdy tak naprawdę nie zwróciłem na niego uwagi, unikał konfrontacji, ale nie był odpychający. Jeden z tych cichych uczniów z sąsiednich małych wsi, którzy najchętniej trzymali się ze swoimi, stali w rogu korytarza i mrucze do innych po fińsku. Nigdy nie czuli się w centrum gminy Pajala jak u siebie. Holgeri opowiedział mi, jak trudne są zawsze jesienią pierwsze tygodnie szkoły po wakacjach. Przez całe długie lato mówił po fińsku i nagle umysł musi się przestawić na szwedzki. To trwa kilka tygodni, nie znajduje się słów, mówi z błędami, dlatego najlepiej jest milczeć.

Holgeri pochodził z Kihlanki, zwykle gawędziliśmy sobie, gdy czekał na szkolny autobus. Najczęściej gadaliśmy o muzyce. Byłem ciekaw, jak nauczył się grać na gitarze, powiedział, że to przez ojca. Nie żył już od kilku lat, ale Holgeri nigdy nie chciał powiedzieć, co dokładnie mu się stało. Najlepiej pamiętał z dzieciństwa, jak siedział u ojca na kolanach, gdy ten grał melodie Liikavaara Fransa i śpiewał dziarskim głosem w euforycznym stadium upojenia, jak ocierał ślinę

z wąsów, które pielęgnował za pomocą nożyczek do paznokci, a potem dawał synowi drobniaki. Ojciec umarł, a gitara została. Holgeri wziął ją, zaczął przebiegać palcami po strunach i zdawało mu się, że słyszy głos ojca, gdzieś z głębi przepastnych lasów, gdzie ten właśnie przebywał.

Mama przeszła na wcześniejszą emeryturę z powodu nerwów, a syn był wszystkim, co jej pozostało. Kiedy więc Holgeri zażyczył sobie gitary elektrycznej ze wzmacniaczem, dostał ją, mimo że ledwie stać ją było na ubrania i buty.

Dokładnie tak jak ja siedział przy radiu. Domorosłym sposobem układał solówki do melodii i w świecie swych marzeń został gwiazdą, geniuszem, na widok którego publice odbierało mowę. To powodowało trochę problemów w zespole. Niila ciężko harował, ćwicząc na swojej gitarze akompaniującej, ale nadal dość trudno szło mu nadążenie ze zmianą akordów. Holgeri był dużo zręczniejszy czysto technicznie, ale z kolei zdawał się być głuchy na to, co robili inni. Jego wstawki wchodziły za wcześnie albo za późno i rzadko pasowały do melodii. Próbowałem mu to powiedzieć w jakiś przyjacielski sposób, ale on nie słuchał albo tylko uśmiechał się do siebie. Holgeri był jedną z takich osób, którym trudno być prostolinijnym. Jakby dziergał z muzyki koronki. Chciałeś dźwięk – wychodził akord, zgodziłeś się na akord – wychodził rif, spodobał ci się rif – ten przeradzał się w solówkę albo zmieniał w pętlę w równoległych tonacjach. Nie można się było z nim połączyć. Niila z początku go nie cierpiał, oczywiście przede wszystkim z zazdrości, ale równocześnie zdawał sobie sprawę, że bez niego istnieć nie możemy.

Czasem w domu w Kihlanki Holgeri siadywał wieczorem na rozkładanej kanapie i wyjmował gitarę zmarłego ojca. Swymi nastoletnimi palcami uderzał akordy jak wielkie motyle. Trzepotały nad żeberkowymi krzesłami i szmacianymi dywanikami, wznosiły się przy kuchence, gdzie gotowały się ziemniaki, zakrecały nad ściennym kalendarzem, nad zegarem z wahadłem, tkanym kilimem, stroną z gazety z rodziną królewską i plakatem idola Honkena Holmqvista, węszyły w garnkach i koszyku na chleb, nurkowały przed szkolnym plecakiem i kaloszami, znów w górę, w stronę mamy w bujanym fotelu, kółko nad brzęczącą robótką na drutach i motkiem wełny, potem w stronę roślin w doniczkach, begonii i języka teściowej, w górę do szyby, krótkie zerknięcie ku łąkom, brzozom i wieczornemu słońcu, ciepłemu jakby prosto od krowy, i dalej, obok nożnej maszyny do szycia, radia z drewnianą obudową, szafy z krzywymi drzwiami, a potem z powrotem do gitary, do ciemnej dziury w pudle rezonansowym, gdzie cisnęły się inne motyle, chcąc wylecieć na zewnątrz.

Mama nie mówiła nic, nie chwaliła, ale i nie przeszkadzała. Była tylko jako ciało. Ciepło ciała.

ROZDZIAŁ 14

O straszliwych zmaganiach w pajalskiej oczyszczalni ścieków i jak niespodziewanie dostajemy jeszcze jednego członka zespołu

Mimo napomnień Laestadiusa, mimo ostrzeżeń medycyny i mimo wielu odstrasżających przykładów wśród krewnych i znajomych, kilku z moich szkolnych kumpli zaczęło się w weekendy upijać. Tornedalen leżała w pasie wódki rozciągającym się przez Finlandię daleko w głąb Rosji, a w starszych klasach jednym z najpopularniejszych pozalekcyjnych zainteresowań było picie na umór. Objawiło się wielu nawróconych neoalkoholików, którzy na przerwach głosili ewangelię 750 mililitrowej butelki bimbru, a gdy jeden spróbował, inni chcieli iść w jego ślady.

Działo się to wtedy, gdy chłopaki z Kaunisvaara zaczęli puszczać pogłoskę, jakoby mieli najwytrzymalsze głowy na alkohol w całym Norrbotten. Dowody nie podlegały dyskusji. Przez ostatni rok jeździli do Gällivare i Kiruny, gdzie, hulając, upijali i wysyłali pod stół całe kompanie górników, synów i wnuków z przesiąkniętych alkoholem rodów, które budowały kiedyś linie kolejowe na odludziu, a gdy nawet ci nie potrafili dotrzymać im kroku w picciu, rzecz wydawała się jasna.

Chłopaki z Kaunisvaara zaczęli po prostu zadzierać nosa. Powątpiewającemu otoczeniu odpowiadali, że są w stanie rzucić wyzwanie każdemu. Po debatach dwóch braci z Paskajänkä wzięło sprawy w swoje ręce. Dysponując zarówno rozeznanie w tym temacie, jak i zdolnościami organizacyjnymi, ogłosili Mistrzostwa Gminy w Picciu.

Plotka rozniosła się wśród męskiego towarzystwa w całej gminie. Reguły były proste: to były zawody juniorów, więc maksymalnie można było chodzić do dziewiątej. Poprzez szkolne autobusy, kuzynów, kółka pokerowe, a przede wszystkim przez kluby sportowe przekazywano wici dalej. Ponieważ każda miejscowość mogła wysłać tylko jednego zawodnika, przeprowadzano najpierw bezlitosne eliminacje lokalne. Po jakimś czasie, w piątkowy wieczór na początku października, nadszedł czas na finał.

Zawody miały odbyć się w starej pajalskiej oczyszczalni ścieków. Znajdowała się ona wówczas nad rzeką, niedaleko kościoła, a był to czerwony budynek z cegły, otoczony słabym, ale wyraźnym zapachem gówna. Właśnie z tego powodu buda stała się dla miejscowych punktem centralnym produkcji zacieru. Przez właz w dachu wślizgiwali się na strych, gdzie baniaki mogły bulgotać w spokoju, a zapach drożdży niknął w kloacznych odorach.

Znałem braci z Paskajänkä, więc pomagałem w przygotowaniach, w zamian za obietnicę, że ja i Niila będziemy mogli być świadkami zawodów. Nosiliśmy baniaki i napełnialiśmy je wodą, ale samą miksturę przyrządzały osoby bardziej doświadczone. Drożdże piekarskie i cukier, a w niektórych naczyniach również ziemniaki i rodzynki. Całość dojrzewała przez kilka tygodni, by osiągnąć właściwy aromat i moc. Destylacja to dla chłopaków z Paskajänkä była bzdura. Wprawdzie trzech z nich z pewnością wyrabiało kiedyś bimber HiLaGu, nazwany tak od imion producentów, z własnoręcznie wykonaną etykietą, ale z taką ilością fuzli, że włosy na karku się jeżyły. Bardziej uzdolniony technicznie z braci wypróbował nawet urządzenie sklecone po kryjomu w przyzakładowej szkole. Ustawił je na maszynie w garażu, ale z powodu

nieszczęlnych węży, opary etanolu zapaliły się i cała machina piekielna eksplodowała. Na pogotowiu tłumaczył rozległe oparzenia tym, że garnek ziemniaków zleciał z kuchenki, a zapach drożdży, którym przesiąkły ubrania pochodził z maminego zaczynu na ciasto, który na siebie wylał, by się schłodzić. Na pamiątkę tego miał odtąd ksywę Leipä – Bochenek oraz bezwłose przedramię z łuszczącą się czerwoną skórą.

Po tym incydencie bracia doszli jednogłośnie do wniosku, że destylowanie to głupota, niepotrzebna i bezsensowna procedura, która psuje smak i pozbawia drogocennej witaminy B. Prawdziwy facet powinien tolerować zacier – i z tym właśnie założeniem zaproszono zawodników.

Odczekano do wieczora, żeby nie przeczuwający niczego złego pracownicy oczyszczalni poszli do domu. Pod osłoną ciemności kilkanaście osób wspięło się do środka przez właz w dachu i zgromadziło w smrodzie, w nieposprzątanym pomieszczeniu magazynowym na piętrze. Wszyscy uczestnicy zasiedli w kręgu na podłodze. Wyczekując zaczęli się sobie przypatrywać. Chłopak z Korpilombolo ze zwisającą czarną grzywką miał pryszczę na czole i melancholijny wygląd. Chłopak z Junosuando cały czas się uśmiechał, wysuwając dolną wargę, jak to często robią mieszkańcy tej części gminy. Młokos z Tärendö miał brodę podzieloną na dwie części i kapiący kartoflany nos. Małolat z Muodoslompolo o owczej fryzurze z brązowych loków spluwał ciągle z nerwów. Pajalę reprezentował Bochenek – chłopak o niskiej linii włosów i lodowato niebieskim, lekko zezującym spojrzeniu. Ponadto w mistrzostwach brało udział jeszcze kilka pomniejszych wiosek. Chłopak z Lainio był błydy i dzięki płochliwym, ogromnym oczom jak u rena wyglądał na chrześcijanina. Nieproporcjonalnie w okresie dojrzewania delikatne przedramiona młokosa z Torinen kończyły się olbrzymimi dłońmi drwala, a jego nos był pokryty tyłoma wągrami, że wyglądał, jakby obsiadły go meszki. Przedstawiciel Kaunisvaary – młody człowiek o wąskich ustach, pochylony do przodu jak wykrzywiona sosna – uważany za faworyta, był jednym z prężniejszych narciarzy biegowych we wsi. Już jako czternastolatek wybiegał sobie jedenaste miejsce w wyścigu Malmloppet, a pojemność jego płuc odpowiadała napompowanej dętce od traktora. Poza tym przyszło jeszcze kilku kibiców, by przyglądać się, czy wszystko idzie zgodnie z zasadami.

Chodzący do ósmej młodszy brat Bochenka o imieniu Erkki uroczyście otworzył pierwszy kanister. Był niski, ale masywny, znany ze swej ryzykanckiej techniki bójek. Na widok pieniącego się zacieru opanowało go takie pragnienie, że domagał się zakwalifikowania go do zawodów jako zgłoszonego później. Nikt się nie zgodził, bo pula zawodników z Pajali już była wyczerpana. Erkki zaczął wtedy powoływać się na swoje Japońskie korzenie i przywoływać przodków pokolenie za pokoleniem, wymuszając na Bochenku potwierdzenie tej genealogii coraz bardziej prowokującym tonem. W końcu zgodzono się na kompromis. Erkki mógł brać udział jako reprezentant Leśnych Lapończyków z Sattajärvi, a jego obowiązki jako obsługi technicznej zawodów mieliśmy przejąć ja i Niila.

Niezwłocznie przystąpiliśmy do nalewania zacieru. Ja lałem z baniaka, a Niila podawał kubki dalej. Wszyscy wypili szybko w gęstej ciszy. Natychmiast poszła następna kolejka. Gorliwe siorbanie i przełykanie. Kubek numer trzy. Po jego opróżnieniu zarządzono przerwę na beknięcie i snus. Każdy zerkał na każdego i mruczał, że słabszych sików długo trzeba by szukać, a coś takiego w ich rodzinnej wsi piły niemowlaki z butelki. Kibice i obserwatorzy poprosili o spróbowanie. Spełniono ich prośbę. Ja również nabrałem pełne usta i o mało co surowy ziemniak nie utknął mi w gardle. Smakowało to jak zaczyn na ciasto i było po prostu piekielnie mocne.

Ale ludzie zaczęli coraz bardziej niecierpliwie przypominać mi o moich powinnościach tu, na tym padole łąz, wyciągnąłem więc i otworzyłem następny baniak. W imię sprawiedliwości próbowałem nalewać do kubków możliwie po równo, a Niila sprawdzał, czy wszyscy wypili do

dna. Atmosfera dojrzewiała. Nagle wybuchło żarliwe gadanie po tornedalsko-fińsku. Najweselszy był Erkki, który przecież doświadczył najwięcej łask, zaczął każdemu z osobna dziękować uściśnięciem ręki, aż Bochenek kazał mu stulić pysk i nie przerywać koncentracji na zawodach.

Jak zwykle upojenie niosło ze sobą najmniej spodziewane zmiany osobowości. Chłopak z Korpilombolo zaczął się szczerzyć jak słońce i opowiadać seksualne kawały o nauczycielach na zastępstwie. Junosuando zmarszczył groźnie brwi i zaczął gadać o zagęszczeniu nazistów w latach trzydziestych w pewnych sąsiednich wsiach do czasu, gdy Tärendö, pojawiwszy aluzję, zaczął agresywnie przytaczać statystykę głupków wioskowych w Junosuando. Lainio wypełził nagle ze swej nieśmiałości i pobożności, proponując partyjkę pokera na jednokoronówki. Kaunisvaara zapytał uszczypliwie, od kiedy to Laestadianie z Lainio interesują się takimi rzeczami. Muodoslompolo przybrał tajemniczą minę i zaczął dawać do zrozumienia, że pochodzi od podróżujących incognito osiemnastowiecznych francuskich osobistości z królewskiego rodu. Torinen odparł, że jeśli dobrze słyszą; okolice Muodoslompolo znane są bardziej z krwawych konfliktów między rodami i do perfekcji rozwiniętego chowu wsobnego. Bochenek jeszcze raz kazał wszystkim stulić pysk, po czym natychmiast zaczęły się sypać komentarze na temat *Pajalan piksipojat* – pajalskich zarozumiałców i nowomodnego bełkotu w rodzaju łączenia gmin, który sprawił, że wspomniani zarozumiałcy uwierzyli, że są kimś.

Po dwóch kolejnych kubkach atmosfera stała się jeszcze bardziej szorstka. Równocześnie argumenty stawały się mniej trafne i coraz mniej wyraźnie artykułowane. Jedynym, który zachował jasny umysł, był Korpilombolo. Nagle wstał. Prosił o wybaczenie, że musi przerwać, ponieważ naszła go niewiarygodna ochota na seks, zapytał więc, czy nie znamy przypadkiem jakiejś pajalskiej kobiety bez uprzedzeń. Erkki opisał dokładnie drogę do emerytowanej nauczycielki matematyki i złośliwie życzył mu powodzenia. Pozostali zadecydowali, że czas przystąpić do bójki, ale najpierw trzeba się odlać i rozochocić. Po sikaniu jednak wszystkich zaczęło boleśnie suszyć, czemu musieliśmy z Niilą natychmiast zaradzić.

Powieki mieli już tylko do połowy otwarte. Język rósł w ustach. Bąki po zacierze zaczęły wypełniać pomieszczenie kwaśnym gazem błotnym. Junosuando i Tärendö wymienili kilka rozlazłych ciosów pięścią, następnie padli sobie w ramiona i dogorywali we wspólnym stosie. Muodoslompolo zaniósł się gwałtownym śmiechem na widok tej sceny, po czym chwycił puste wiadro po zacierze, przyciągnął do siebie i porzygał się. Głośno domagał się, by mimo wszystko dalej brać udział w zawodach, do czasu gdy i on zasnął, siedząc z pochyloną, dyndającą głową. Kaunisvaara parsknął coś pogardliwie o poczynaniach nowicjuszy.

Po kilku nowych kolejkach Lainio sprawiał wrażenie zaskoczonego, że dotrzymał kroku aż tak długo, ponieważ cała jego rodzina jest głęboko wierząca, a on sam zaczął pić tak niedawno, że jeszcze właściwie nie nabrał przyzwyczajenia. Torinen zajął się spokojnie swymi cechami dziedzicznymi i zaczął wylizywać wszystkich alkoholików w rodzinie, doszedł do kilku tuzinów, nim osunął się na bok i legł jak długi.

Niila przywlekl jeszcze jeden baniak. Bochenek i Kaunisvaara świdrowali się wzrokiem jak obolali bokserzy, wychylając kubki jednocześnie. Lainio dotrzymywał im kroku, podobnie jak Erkki, który nie odczuwał presji zawodów i nadal pił głównie dlatego, że mu smakowało. Bochenkowi została jedynie część zdolności do artykulacji – był w stanie wydawać z siebie tylko samogłoski. Kaunisvaara z kolei miał problemy ze wzrokiem i nie trafiał na kubek, jeśli nie zamknął jednego oka. Wykorzystywał natomiast swą przewagę werbalną i zaczął śpiewać niemal bez bełkotu pajalską pieśń strajkujących. Lainio kazał wtedy wszystkim komunistom wynieść się tam, skąd przyszli, w piękną syberyjską zimą, twierdząc na dodatek, że Lenin i Stalin współżyli ze sobą płciowo, a Marks z pewnością by się do nich przyłączył, gdyby nie był pogrzebany. Zwrócił raz jeszcze uwagę na to, jak niespodziewanie przyjemnie jest grzeszyć i gdyby wiedział

o tym wcześniej, zaczęły o wiele dawniej. Następnie, zadowolony z wieczoru, spokojnie oparł głowę o ścianę za plecami i zasnął bez wieczornej modlitwy.

Kibice zauważyli, że rozstrzygnięcie się zbliża, zaczęli więc głośno dopingować. Trzech było z Kaunisvaara, potomkowie strajkujących drogowców i stalinistów. Milczeli, gdy byli trzeźwi, ale teraz krzyczeli, że komunistyczne picie wzmacnia ducha buntu i wyostrza argumenty, a nigdzie nie było tak wesołych popijaw jak na imprezach Czerwonej Młodzieży. Z pajalskich kibiców jeden był z Naurisaho, drugi z Paskajänkä i gdy obaj zadeklarowali, że są socjaldemokratami, temperatura podniosła się znacznie. Bochenek i Kaunisvaara wychylali jeszcze po jednym kubku, tymczasem chłopaki z Kaunisvaara zaczęli zwykłą koleją rzeczy grozić laniem, najpierw w pięknych tornedalsko-fińskich porównaniach, później jasno, wyraźnie i bezpośrednio, wreszcie zaś groźnymi gestami i świdrującymi spojrzeniami. Socjalfaszyści powinni sikać krwią po kilku rewolucyjnych uderzeniach młotka. Chłopaki z Pajali zapytali wtedy uszczypliwie, czegoż to rewolucjoniści dokonali w lokalnej historii oprócz rozwalenia autobusu w okolicach Kengis i wymachiwania rewolwerami w położonych na uboczu leśnych schroniskach dla drwali. Towarzystwo z Kaunisvaara odkrzyknęło, że tak paplają tylko języki, które lizały tyłki władzy, a lokalna siła robotnicza jest teraz równie mocno umotywowana jak kiedyś. W ostatnim momencie Erkki stanął między obiema grupami, wyjaśniając przebiegle, aczkolwiek bełkotliwie, że zawsze czuł pociąg do komunizmu, ale też wiele radości sprawiały mu spotkania Młodych Orląt, zwłaszcza, gdy zapraszali na ciasto i sok, i że dotąd nie potrafi zając żadnego politycznego stanowiska. Oba stronnictwa natychmiast przyssały się do niego, próbując go nawrócić, tymczasem ja napełniłem wszystkie kubki.

Bochenek musiał oprzeć się o ścianę, aby nie upaść. Kaunisvaara widział podwójnie, nawet jednym okiem, i zmuszony był przytrzymywać opadającą powiekę palcem wskazującym. Obaj ucichli. Przeszli granicę bólu, trucizna rozprzestrzeniła tylko śmierć i paraliż. Ramię Kaunisvaary ciężko opadło, oko się zamknęło. Wszyscy natychmiast zamilkli. Ale właśnie wtedy, gdy wszyscy myśleli, że sprawa jest już jasna, powiedział, że skoro ramię go nie słuca, ktoś musi mu pomóc. Jeden z kumpli uniósł mu kubek do ust i wlał zawartość w ciemność. Bochenek z kolei nie odpowiadał na pytania, bo zanikł już nawet jego słuch, ale nadal rozumiał gestykulację. Mógł o własnych siłach unieść kubek, ale nie mógł przełykać, zmuszony był lać powoli, tak by samo spływało do gardła. Zgłosiłem propozycję remis. Kibice z Kaunisvaara gwałtownie zaprotestowali, że takie tchórzostwo jest nie do pomyślenia i żaden pajalski intrygant nie zrobi ich w konia, pozbawiając oczywistego zwycięstwa.

Rozdałem nowe kubki. Zostały opróżnione dokładnie w ten sam sposób. Stwierdziłem więc głośno, porządnie zaniepokojony, że obaj są nieprzytomni i zwycięstwo musi przypaść im obu. Kibice z Kaunisvaara unieśli wtedy powieki swojemu bohaterowi i pokazali, że źrenice wcale nie są wywrócone do góry, wręcz przeciwnie, wciąż pałają gorączką rywalizacji. Krzycząc do ucha, dopytywano się Bochenka, czy chce kontynuować i jeśli tak, kazano mu otworzyć usta. Rozdziawił je i zawodnicy dokończyli jeszcze jedną rundę.

Gdy i ten kubek został opróżniony, definitywnie nie było już żadnych oznak życia. Szorstkie próby przywrócenia do przytomności czyniono po obu stronach. Bochenek osunął się pod niewygodnym kątem, a chłopak z Kaunisvaara zaczął się ślinić z językiem na wierzchu. Za moją radą ułożono ich na boku, głową w przód, w wyniku czego wyszło na jaw, że obaj mieli mokre tyłki.

Erkki, bełkocząc, usilnie błagał o dolewkę. Podobnie jak u brata, popijawa rzuciła mu się na mowę, ale i tak rozumiałem, o co mu chodzi, i obsłużyłem go. Wypił do dna, stwierdzając potem po fińsku z wieloma dziwnymi dźwiękami, że tytuł mistrza gminy w picciu należy do Leśnych Lapończyków z Sattajärvi.

Kibice zarówno z Kaunisvaara, jak i z Pajali wlepili we mnie wzrok. Ja z kolei wlepiłem wzrok w Niilę. Ten pokiwał głową i powiedział, że to prawda. Erkki wypił o kubek więcej niż pozostali. Erkki, szczerząc zęby, niewyraźnie podkreślił, że w życiu nie był bardziej pijany. Socjaldemokrata czy komunista – warto się nad tym zastanowić, ale teraz to on naprawdę musi się odlać.

Niila i ja pomogliśmy mu wydostać się przez właz w dachu. Kibice z Kaunisvaara siedzieli przybici i pili na pocieszenie, rozmawiając o ostatnich jesiennych samobójstwach. Chłopaki z Pajali odkryli, że Bochenek się porzygał, oczyszczono mu więc usta, żeby się nie udusił. Słodko-kwaśny zapach zdradził, że zacierowa biegunka już zaczęła działać. Poległy Kaunisvaara był niepokojąco blady, ale założono, że pomoże mu jego silne serce narciarza. Inni chrapali jak świnie z otwartymi lub zamkniętymi oczami, szczęśliwie nieświadomi jutra.

Na zewnątrz oczyszczalni stał Erkki, malując jesienną noc pędzlem parującej strugi. Pogratulowałem mu serdecznie i nagle wpadłem na pewien pomysł. Uroczyście ogłosiłem, że jako mistrz juniorów Erkki może niniejszym odebrać nagrodę-niespodziankę, mianowicie posadę perkusisty w tutejszym najbardziej obiecującym młodym zespole rockowym.

Niila otworzył usta, ale nic nie powiedział, bo dostał sójkę w bok. Erkki odparł na to, że bębnow nie widział nawet na fotografii. Uspokajająco zapewniłem go, że jeśli umie trzymać druta, to poradzi sobie również z pałeczką. Erkki tak się śmiał, że struga przerwała się w kilku miejscach i w ten sposób sprawa była jasna.

W poniedziałek, dokładnie na przerwie obiadowej, nasz zespół rockowy powstał oficjalnie. Z kilku przyczyn był to wielce pamiętny dzień. Chociaż od zawodów minęły już dwie doby, Erkki wciąż miał kaca. Ale to nic w porównaniu z Bochenkiem, wielokrotnie składającym między atakami mdłości przysięgę abstynencji, której później faktycznie dotrzymał przez kilka tygodni. Chłopak z Kaunisvaara zwalczał złe samopoczucie poprzez morderczy program treningów: biegał przez ogromne mokradła w kaloszach swojego ojca, z kamieniami wetkniętymi w cholewki jako obciążenie, porąbał kilka fur drewna na zmianę prawą i lewą ręką i pedałowal do szkoły na rowerze ze zdemontowanym siodełkiem, by niepotrzebnie nie odpoczywać, równocześnie wzmacniał płuca, oddychając tylko co drugi raz.

Początkowo Erkki chciał się wycofać, gdy dotarło do niego, że w graniu na perkusji używa się dwóch pałeczek. To było dwa razy więcej, niż się spodziewał. W końcu jednak zasiadł niechętnie za szkolną perkusją, chwycił pałeczki jak siekiery i zaczął z całej siły rąbać w kotły. Runęły, jak zmiecione przez tornado, statyw, talerze i cały kram. Erkki dalej siedział. Tępo patrzył przed siebie. A potem stwierdził, że kac bez wątplenia się zmniejszył. Zdumiony ustawił wszystko z powrotem na miejsce i dokonał kolejnej próby z podobnie piorunującym rezultatem. Tym razem ból głowy zniknął prawie zupełnie. Godne uwagi. Gdyby tylko pograł jeszcze chwilę, odpuściłyby nawet drgawki i pocenie się.

Usiłowałem nadać basem tempo jego nieistniejącemu rytmowi, Niila i Holgeri zapełniali przerwy gitarami. O tonacji nie wspomnieliśmy ani słowem, jakbyśmy nie byli na tym poziomie. Erkki zdawał się być całkiem nieświadomy naszej obecności, zezował oczami, wystawiał język i wydymał wargi. Już wtedy wyglądał na imbecyla, jak wielu perkusistów podczas gry, chociaż w innych okolicznościach wyglądają całkiem normalnie.

Bez ostrzeżenia, w samym środku gitarowej solówki Holgeriego, Erkki przerwał i zacisnął pasa. Byliśmy całkiem zbici z tropu, przestaliśmy grać. Erkki powiedział, że to z rockiem to było coś najzabawniejszego, czego kiedykolwiek w życiu spróbował, wliczając w to sztukę upijania się i samogwałtu. Nie mógł natomiast porównać go z rzekomymi uciechami seksu, ponieważ to

doświadczenie jeszcze pozostawało przed nim, ale prawdopodobnie okaże się mało znaczące, ponieważ zawsze podejrzewał, iż cipa jest przereklamowana.

Poprosiłem, by spróbował jeszcze raz, ale tym razem miał uderzać w określonych odstępach. Erkki zawahał się, ale zaczął ponownie. Efekt był jeszcze gorszy, piekielny łomot. Z bębnow leciały drzazgi, na skórze pojawiły się wgłębienia, śruby w statywie poluzowały się, a części upadły oddzielnie na podłogę. Popatrzyłem na Niilę. Pokręcił głową. Do tak nierytmicznego i diabelskiego hałasu sami nigdy nawet się nie zbliżyliśmy. Holgeri odłączył już swoją gitarę i pakował się. Niila poszedł w jego ślady. Sam zacząłem się zastanawiać, jakby tu się pozbyć Erkkiego w taki sposób, by nie poczuł się urażony. Powiedzieć, że nagrodą był tylko jeden dzień w zespole. Tak byłoby najlepiej. Wszystko inne to nieporozumienie.

Niemniej Erkki uprzedził nas wszystkich. Wstał, nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, i wyszedł za drzwi z dziarskim „do zobaczenia”.

Chwilę później usłyszałem na zewnątrz szyderczy śmiech. Niski i triumfalny. Widziałem przez uchylone drzwi, jak Erkki znalazł się w potrzasku między Uffe i jego kumplem Juoko.

Kilku typków z ich bandy stało tuż obok. Paru z nich rzuciło się na Holgeriego, przewróciło go i przygniotło mu szyję do ziemi.

– Wy cholerne króliki! – syczeli.

Zdjął mnie strach. Żołądek zwinął się w węzeł, naczynia krwionośne skurczyły się w oczekiwaniu na atak. Niepewność była zawsze najgorsza. Nigdy nie wiadomo było, ile czasu to potrwa tym razem. Ile siniaków? Ile bólu? Ile czasu upłynie, zanim przyjdzie Greger?

Z zewnątrz dobiegł krzyk. Przeróżliwy i rozrywający. Co do cholery robili z Erkkim? Chyba nie wyciągnęli noży?

W jednej chwili chciałem umrzeć. Potem zobaczyłem ich czołgających się po podłodze. Juoko mrugał i mrugał, a krew spływała z rozciętej brwi. Uffe krążył wokół i śliniąc się, zbierał odpryski przednich zębów.

Kumple wycofali się, biali ze strachu. Erkki, kuśtykając, wszedł do sali, krew sączyła mu się z dolnej wargi i brody.

– Już nas nie ruszą – powiedział spokojnie.

ROZDZIAŁ 15

*Gdzie po sobotniej saunie rozwiązuje się język i co każdy młody mężczyzna
wiedzieć powinien*

W naszej rodzinie w każdy sobotni wieczór szliśmy do sauny – tradycja/ która z pewnością wywodziła się jeszcze z czasów pogańskich. Ostatnimi laty moja siostra chciała chodzić do sauny sama, po tym, jak zaczęły jej rosnać cycki. Gdy ona skończyła, wchodziłem ja, mama i tata. Wchodziliśmy do *löylyä* i pociliśmy się, aż brud się rozpuszczał, myliśmy się mydłem, aż łój zniknął, zdrapywaliśmy łuszczącą się starą skórę, szorowaliśmy plecy i robiliśmy się czerwoni jak obdarte ze skóry zające. W saunie trzeba tylko pamiętać o jednym: nie puszczać bąków. To również było coś, co przekazywano sobie od wieków z pokolenia na pokolenie i najlepiej było to zaakceptować, jeśli nie chciało się być wyrzuconym.

Na zakończenie jeszcze raz wchodziliśmy w parę, by pozbyć się resztek mydła i gdy już na samym końcu człowiek splukał się ostatecznie zimną wodą, był bardziej czysty, niż to w ogóle możliwe.

Tego wieczoru jednak było inaczej. Później zrozumiałem, że ojciec wszystko zaplanował, coś wisiało w powietrzu. Podenerwowanie. Usiedliśmy w przebieralni, gdzie w rogu stała pralka. Mama pospiesznie wyszła, widać było, że chce nas zostawić samych. W piecyku trzaskał ogień, tak dla stworzenia miłej atmosfery. Jakaś uparta świerkowa szczapa sypała na podłogę kawałkami żarzącego się węgla, które ojciec gasił mokrą stopą. Smażyliśmy każdy swoją kiełbaskę i jedliśmy z rozkoszą, spragnieni soli po całym tym poceniu się. Ojciec wychylił saunowe piwo i zaczął mieszać fińską wódkę z oranżadą. Przez cały ten czas nie powiedział ani jednego słowa.

Zwykle w takiej chwili zostawiłbym ojca samego i wyszedł. Wiedziałem, że lubił przesiadywać godzinami, patrząc w płomienie, a jego ugryjski umysł człowieka melancholijnego, człowieka lasu i zimy, przepełniały smętne myśli. Tym razem jednak coś przeczuwałem. To był ten rodzaj intuicyjnego kontaktu, który rozwija się między ojcem i synem, gdy nie papla się cały czas. Dwa samce, czujące nawzajem swój pot, słyszące oddech. Napinasz mięśnie, potem rozluźniasz, przez skórę i krew słyszysz niski odgłos trawienia. Stajesz się organiczny. Odślaniasz się. Ocierasz z czoła pomarszczone codzienne frazesy.

Ojciec odchrząknął, ale przez kilka kolejnych minut nadal nic nie mówił. Znów odchrząknął, by zmiękczyć język. Popił. Dołożyłem nową szczapę do ognia. Dostrzegłem, jak para skrapla się na zimnym szkle.

– Teraz, gdy już nie jesteś maluchem... – zaczął w końcu po fińsku.

Nie odpowiedziałem. Pomyślałem, że zarost jeszcze się u mnie nie pojawił, aczkolwiek zaczynałem mieć niewyparzoną gębę, a moje stopy szybko rosły, co jest pierwszą oznaką dojrzwania.

– Zastanawiasz się pewnie czasem... zadajesz sobie pytania...

Zdziwiony zerknąłem na niego i zobaczyłem, że mięśnie jego szczęki napinają się i pulsują.

– Pytasz siebie... o życie... o ludzi... Teraz, gdy już podrośłeś, powinieneś się dowiedzieć...

Zrobił przerwę, popił znowu, unikając patrzenia na mnie. Pomyślałem, że teraz nastąpi lekcja wychowania seksualnego. Prezerwatywy.

– To musi zostać między nami. W zaufaniu. Między nami mężczyznami.

Spojrzał na mnie po raz pierwszy, oczy miał nieźle pijane. Skinąłem głową. Znowu zatopił wzrok w płomieniach.

– Mój ojciec, czyli twój dziadek, w młodości był prawdziwym ogierem. Dlatego też mam przyrodnie rodzeństwo – powiedział krótko. – Oboje są w moim wieku i mają własne dzieci. Tu, w okolicach Pajali, masz więc pięcioro kuzynów, o których nie miałaś pojęcia, trzy to dziewczyny, powinieneś wiedzieć które, żeby uniknąć kazirodztwa.

Wymienił je. Jedna z nich chodziła do równoległej klasy, była słodka.

– A teraz następną rzecz. Są w gminie dwie rodziny, które wyrządziły nam ogromną krzywdę i których masz na zawsze nienawidzić. W pierwszym przypadku sprawa sięga procesu o krzywoprzysięstwo z 1929 roku, w drugim chodzi o prawa do sianokosów na bagnach, które sąsiad wyłudził od twojego pradziadka w 1902 roku. Obie te krzywdy muszą zostać pomszczone za wszelką cenę, gdy tylko będziesz miał po temu sposobność, aż się sukinsyny przyznają i zapłacą, a do tego na kolanach poproszą o przebaczenie.

Ojciec opowiedział pokrótce zawile koleje losu sprzed wielu lat. Były pozwy i odwołania, fałszywe świadectwa, przekupywanie urzędników państwowych, były bijatyki, listy z pogroźkami, niszczenie własności, próby wymuszenia, a w jednym przypadku nawet uprowadzenie obiecującego psa do polowań na łosie, któremu – jak reniferowi – wycięto nożem znaki własności na uszach. Złośliwościom, którymi nas ci szaleńcy prześladowali, nie było końca i chociaż mściliśmy się w miarę możliwości i tak byliśmy na dużym minusie. Potworne było to, że nieprzyjacielskie rody siały wrogą propagandę na nasz temat i mocno wyolbrzymiały niewielkie akcje odwetowe, które udało nam się przeprowadzić. Dlatego też powinienem mieć się na baczności na potańcówkach i przy innych oficjalnych okazjach, gdzie z zemsty można było paskudnie oberwać w krzakach lub innych ciemnych miejscach.

Wymienił nazwiska owych rodów i zrelacjonował dokładnie różne odgałęzienia ich drzewa genealogicznego i małżeństwa, dzięki którym w pewnych przypadkach zmieniło się nazwisko, lecz krew nadal pozostała z tego samego trującego źródła. Tu pojawiło się nazwisko kolegi ze szkoły, chudego chłopaka z dziewiętej, z jednej z małych wiosek, który do tej pory zdawał się nie zwracać na mnie uwagi. Ojciec stwierdził, że właśnie w ten sposób postępują, sprawiają pozory całkowicie nieszkodliwych, aż poczujesz się bezpieczny i odsłonisz plecy. Niejeden z naszych krewniaków gorzko pożałował swej łatwowierności, lecząc liczne rany i złamania, o tym ojciec mógł zaświadczyć.

Zapamiętywałem wszystko dokładnie, a ojciec przepytывał mnie, ponieważ nie wolno było niczego zapomnieć ani też wybaczyć przez czyste zaniechanie. Pił i przez chwilę całkiem go poniosło, pochrząkiwał, prychał i knuł podstępne plany. Proponował mi karierę zawodową w administracji gminy, ponieważ tam, na wpływowym stanowisku można wskórać cholernie dużo, uprzykrzając im życie, poza tym było się nie do ruszenia, a poprzez finezyjny nepotyzm można wprowadzić kolejnych krewnych, aż w końcu ci krzywoprzysięzcy i złodzieje ziemi nie mogliby się już w gminie wcale pokazywać.

Ojcu skończyła się wzmocniona oranżada, więc zaczął pić prosto z flaszki. Przeszedł teraz do informacji o bardziej ogólnym charakterze. Jako wkrótce już dorosły, zdolny do pracy mężczyzna powinienem wiedzieć, kto był łamistrajkiem w proteście drogowców w 1931 roku i w strajku spławiaczy przy Alanen Kihlankijoki w 1933, kto był nazistą – zwłaszcza w Tärendö i Anttis, ale też i w samej Pajali, kto był donosicielem podczas drugiej wojny światowej – między innymi kilku z tych, którzy nadal nazywali siebie socjaldemokratami, a wysyłali braci

robotników-komunistów do obozu koncentracyjnego Storsien, gdzie zostaliby rozstrzelani, gdyby tylko Hitler wkradł się do Szwecji. Dowiedziałem się również, którzy już przeprosili, a którzy jeszcze nie, i że krewnym tych ostatnich można by o tym przypomnieć przy sposobności.

Powstał z tego młyn, tyłu krewnych do spamiętania, których nie wolno pomylić, kolejni z moich szkolnych kolegów wmieszani. Ojciec doszedł do wniosku, że należałoby wszystko powtórzyć, co też dokładnie uczyniliśmy. Później rozprawił nieco bardziej ogólnie o dziejach ruchu robotniczego: dlaczego to szczególnie pamiętliwi socjaliści do dziś unikają gazet „Haparandabladet” i „Norrbottenskuriren”, dlaczego robi się zakupy w Konsumie, a nie w ICA, albo dlaczego celnicy, nadleśniczy, nauczyciele w szkołach ludowych i laestadianie wciąż spotykają się z podejrzliwością.

Potem przeszedł do działu „osobliwości”, przedstawiając historię ruchu Korpelarörelsen z wszystkimi imionami i nazwiskami zamieszanych weń rodów, pochylony w przód rechotał na wspomnienie, jak to czekali na kryształową arkę od Boga, która miała ich zabrać do Ziemi Świętej, pędzlowali sobie nawzajem cipy i dupy, skakali, przeklinając gorzej niż w schroniskach dla drwali, nazywając pieprzenie jedzeniem, przytykali rogi renifera do głów, jeździli jedni na drugich jak na koniach i pili zacier, aż się posrali w policyjnym samochodzie, ogólnie bawiąc się tak dobrze, jak to tylko możliwe, gdy ma się do dyspozycji jedynie proste i niewielkie środki dostępne na dalekiej prowincji.

Wytrzeszczałem tylko oczy z niedowierzania i zasugerowałem, że sobie ze mnie żartuje, bo nigdy wcześniej o tym nie słyszałem. Ojciec odpowiedział, że to tylko ugrzecznona wersja, więcej zdradzi mi, gdy będę seksualnie bardziej dojrzały.

Moje postrzeganie Tornedalen zmieniło się całkowicie. Cała okolica wypełniła się żyłkami od wędek, rozciągniętymi wzdłuż i wszerz między ludźmi. Potężna pajęczyna nienawiści, pożądania, strachu, wspomnień. Sieć była czterowymiarowa, rozciągała swoje lepkie nici w przeszłość i w przyszłość, w dół do zmarłych, pod ziemię, i w górę do jeszcze nienarodzonych, w niebie – miała wywierać na mnie wpływ, czy tego chciałem, czy nie. Była silna, była piękna, przerażała mnie. Byłem dzieckiem, a teraz ojciec nauczył mnie widzieć. Korzenie, kultura, cholera wie, jak to nazwać, ale to było moje.

Na koniec ojciec zajął się słabymi stronami naszej własnej rodziny. Byli między nami alkoholicy. To dlatego nie częstował mnie teraz, powinienem wstrzymać się aż do pełnoletności, nim zacznę zabawiać się z trucizną alkoholu, ponieważ sztuka upijania się jest skomplikowana i wymaga dojrzałości. I jeśli dojdę do wniosku, że mi smakuje, muszę się pilnować. Właściwością alkoholu jest mianowicie to, że rozplywa się ciepłem i zadowoleniem po ciele, tymczasem jego smak dla przeciętnych ludzi jest ohydny. A jednak ojciec wiele razy słyszał, jak pijacy mówili, że doceniają sam smak alkoholu i prawdopodobnie właśnie przez to ugrzęźli w bagnie.

Poza tym niektórzy z naszych krewnych stawali się agresywni, gdy pili. To również było trudne do przewidzenia, zanim samemu zaczęło się pić, ale ważne, by być tego świadomym, ponieważ kiepska głowa do piwa jest powodem mandatów, trudno gojących się ran po nożu i prowadzi ludzi do mamra w Haparanda. Moich pierwszych stanów upojenia powinienem zatem doświadczać w samotności, zamknięty w swoim pokoju. Gdybym wówczas poczuł, że przepełnia mnie nieprzeparta chęć do bójki, muszę na przyszłość unikać alkoholu w towarzystwie. Wówczas jedynym wyjściem było trenowanie woli już od młodych lat i chodzenie na potańcówki trzeźwym – rzecz niesłychanie trudna, lecz nie niemożliwa.

Potem zaczął wyliczać rodzinnych wariatów. Kilku już spotkałem, jeden siedział w wariatkowie w Gällivare, drugi w Piteå. W języku medycyny nazywało się to schizofrenia i przechodziło z pokolenia na pokolenie. Choroba ujawniała się w wieku lat osiemnastu, miała określone przyczyny. Nieszczęśliwe zakochanie się było jedną z nich, więc ojciec błagał mnie,

bym miał się na baczności wobec skomplikowanych kobiet z lękiem przed seksem. Prosił mnie, bym nigdy nie nalegał na płeć piękną, jeśli odmawia wpuszczenia do dziurki, ale raczej postępował zgodnie z jego receptą i znalazł bezpruderyjną chłopkę z wielką dupą.

Drugą przyczyną szaleństwa były rozmyślania. Ojciec prosił mnie usilnie, bym nie zaczął myśleć zbyt dużo, najlepiej jedynie o tym, co najpotrzebniejsze, ponieważ rozmyślanie było złym nawykiem, który z upływem lat tylko się pogłębi, im więcej czasu się mu poświęcało. Jako lekarstwo zalecał ciężką fizyczną pracę: odgarnianie śniegu, rąbanie drewna, biegi na nartach i tym podobne, ponieważ myślenie pojawia się najchętniej wtedy, gdy człowiek wyciąga się na kanapie albo w inny sposób odpoczywa. Rekomendował to głównie we wczesne ranki, zwłaszcza w święta i na kacu, gdy najstraszliwsze myśli mogłyby wyleźć na wierzch.

Szczególnie ważne jest, by nie zacząć zastanawiać się nad religią. Bóg, śmierć i sens życia to niebezpieczne strefy dla młodej, wrażliwej psychiki, gęstwina, w której się błądzi, powodująca najcięższe przypadki szaleństwa. Takie rozważania można sobie spokojnie odłożyć na starość, ponieważ wtedy jest się silniej skonstruowanym i zahartowanym, poza tym nie ma się tak wiele do roboty. Na nauki confirmacyjne trzeba zatem patrzeć jak na wiedzę czysto teoretyczną, pewną liczbę tekstów i rytuałów do zapamiętania, ale absolutnie nie do zgłębiania.

Najniebezpieczniejszą, choć całkiem oddzielną sprawą, przed którą chciał mnie przestrzec najbardziej, a która posłała w opary szaleństwa całe kompanie młodych biedaczyn, było czytanie książek. Ten niedobry zwyczaj nasila się ostatnimi czasy, stąd więc niewypowiedziana wdzięczność ojca, że nie wykazałem do tej pory takich tendencji. Szpitale psychiatryczne są przepełnione ludźmi, którzy czytają zbyt dużo. Kiedyś byli – tak jak my – silni fizycznie, otwarci, zadowoleni i zrównoważeni. Potem zaczęli czytać. Najczęściej przez przypadek. Jakieś przeziębienie, wymagające kilku dni leżenia w łóżku. Ładna okładka wzbudzająca ciekawość. I nagle rodzi się zły nawyk. Pierwsza książka prowadzi do następnej. I następnej, i jeszcze jednej, ogniwa w łańcuchu, który wiedzie prosto w dół, w wieczny mrok choroby psychicznej. Po prostu nie można przestać. To gorsze niż narkotyk.

Z największą ostrożnością można posługiwać się książkami, które czegoś uczą, jak leksykonem, podręcznikiem albo instrukcją naprawy. Niebezpieczna jest literatura piękna – to tam rozmyślania mają swój początek i pożywkę do rozwoju. Do cholery! Tak niebezpieczne i uzależniające produkty powinny być sprzedawane wyłącznie w kontrolowanych przez państwo sklepach, za okazaniem dowodu tożsamości, reglamentowane, i tylko dorosłym.

W tym momencie mama z góry zawołała, że jedzenie gotowe. Zawinęliśmy się w ręczniki i wyszliśmy z piwnicy. Ojciec zatoczył się i uderzył w duży palec u nogi, ale zdawał się nie czuć bólu.

A ja przestałem być chłopcem.

ROZDZIAŁ 16

Gdzie zły człowiek zawiera bliską znajomość ze zmrożonym śniegiem, po czym jego żona podaje mu zimne napoje

Ojciec Niili, Isak, usiłował zatrzymać dojrzewanie swoich synów, bijąc ich. Im byli więksi, tym solidniejsze lanie. Okresy nadużywania alkoholu przychodziły coraz częściej i trwały coraz dłużej. Na trzeźwo był kapryśny, drażliwy i przygnębiony. Spędzał czas na ustanawianiu reguł zachowania w każdym zakamarku domu i karał metodycznie, gdy tylko znalazł winowajcę.

Isak uważał się za niesłuchanie sprawiedliwego. Zwyczajem dyktatorów często narzekał, jak ciężką mu jego zadania, jak niewdzięczna jest rodzina i jakie katastrofy nawiedzą dom, gdy jego kiedyś zabraknie, co – jak przypuszczał – zapewne nastąpi niedługo. Jak wszyscy alkoholicy, dużo rozmyślał o śmierci. Tęsknił do niej, groził nią i bał się jej bardziej niż czegokolwiek innego. Myśli stawały się tym silniejsze, im bardziej był wyniszczony. Często siadywał w kuchni i na rozpostartych gazetach czyścił strzelbę. Sprawdzał mechanizm, rozkładał i smarował, przytykał lufę do oka i podążał wzrokiem w nieskończoność za spiralą gwintu. Gdy przechodził jakiś krewny, napomykał mimochodem, jak podzieli spadek, jaki jest jego ulubiony psalm, jaki fragment Biblii uważa za odpowiedni do nekrologu. Dzieci próbowały się przyzwyczaić do tej myśli, ale i tak za każdym razem było równie okropnie. Gdy nie pojawiał się dłużej niż zwykle, wyprawiły się do piwnicy, do garażu i na strych. Chciały wiedzieć, czy już się dokonało, nigdy jednak ze sobą nie rozmawiały. Kiedy łożył im skórę dłonią albo pasem, jego oczy znikwały, stawały się czarne jak dziury w czaszce. Nie był z tego świata. Był już częściowo zmurszały, do połowy u Boga lub Szatana. Jego poczucie obowiązku i sprawiedliwości było tak silne, że mógł bić, chociaż płakał, bić swoje dzieci z oczyma pełnymi łez, bić z głębi mętnego żarn, który nazywał miłością.

Gdy pił, przybliżał się do życia. Jego twarz nabierała kolorów, suche koryta rzek nawadniały się i znów zaczynały tętnić. Umiał się śmiać, rozkoszować się pierwszymi szklankami, miał ochotę na kobiety, jedzenie i pieniądze. Równocześnie rosła zazdrość. Kierowała się zwłaszcza w stronę synów, tym silniejsza, im bardziej byli dorośli. Najgorzej traktował Johana, najstarszego syna, który miał najbliżej do pełnoletności. Isak był zazdrosny o to, że Johan wkrótce będzie miał własne kobiety, młode delikatne kochanki, o to, że alkohol nie zniszczył jego młodzieńczego ciała, że niedługo zacznie zarabiać własne pieniądze, będzie żył i cieszył się pokusami tego świata, podczas gdy jego zżerać będą zimne robale. W snach Johan podchodził do niego, na siłę otwierał mu usta i wciskał pociemniałe siekacze, aż zaginały się w luźnych dziąsłach. Chłopak robił tak z całym rzędem zębów, aż zostało samo dziąsło, płaskie i zakrwawione, jak przebita dłoń Chrystusa.

Dojrzewanie okazało się silniejsze od śmierci. To był kiełek przebijający się przez asfalt, pierś rozrywająca koszulę, dreszcz we krwi, jakiego nie dawała nawet wódka. W głębi duszy Isak chciał zabić swoich synów. Ale myśl była tak zakazana, że przerobił ją na łojenie skóry, porządne łojenie skóry, na powolną, przeciągającą się egzekucję. A mimo to oni nadal rośli.

Wczesnym sobotnim rankiem, gdy Johan miał szesnaście, a Niila trzynaście lat, ojciec kazał im wybrać się do lasu. Mieli przenieść kilka stosów drewna do leśnej drogi po mocnej

przedwiosennej skorupie zlodowaciałego śniegu. Było to drewno z trzebieży, które Isak tanio kupił na domowe potrzeby. Pożyczył śnieżny skuter i popędził w dzicz, omijając pniaki i kępy traw, a synowie podskakiwali na saniach i rozcierali smagane wiatrem policzki. Widać było, jak mamrocą do siebie w huku silnika, zerkając czasem w stronę pleców ojca, ale nie słysząc go, co mówią.

Dzień wstał słoneczny. Światło sączyło się przez korony sosen, iskrzyło się i błyszczało w lustrzanych pryzmatach śniegu. Wiosenne wiatry postrącały brody porostów i płyty kory, które powoli wtapiały się w zlodowaciały śnieg. Nocny mróz utwardził powierzchnię, tworząc wytrzymałą podłogę, którą można ciąć kciukiem i podnosić całkiem duże jej płyty. Pod spodem leżał śnieg sypki jak puder, tak luźny, że łatwo wpadało się po uda.

Isak kopnął w zaśnieżony stos drewna, odszukał łopatę i kazał Johanowi odgarniać śnieg. I miało to pójść piorunem. Jeśli nie będzie gotowe przed południową odwilżą, bo synowie się guzdrali, będzie niewesoło, oj niewesoło.

Johan ze spokojem wziął łopatę i oparł o hałdę drewna. Potem zdjął rękawice i wymierzył cios twardą jak kamień pięścią prosto i zdecydowanie w miejsce nad prawą brwią ojca. Isak stracił równowagę i upadł na plecy. Jego ryk rozniósł się echem w ogromnej otaczającej ciszy. Johan bił dalej, w nos, w brodę, w kość policzkową. Niila rzucił się, jak wcześniej z bratem ustalili, na ojcowskie nogi i zaczął walić w przeponę. Żadnej broni, tylko pięści o kościstych knykciach, twarde, silne chłopięce pięści, które grzmocily i grzmocily. Isak, wrzeszcząc, wił się jak krokodyl. Ciało przecisnęło się przez zlodowaciałą skorupę i zapadło w sypki śnieg. Walczył dziko, śnieg dostał mu się do ust. Krew leciała czerwona i lepka, oczy niemal ginęły w opuchliznie. Ale chłopcy tylko walili dalej. Isak kopał, bronił się, walczył teraz o swoje życie. Chwycił Niilę i ścisnął w duszącym uchwycie. Johan wyłamywał ojcu do tyłu małe palce do momentu, gdy ten zaczął krzyczeć i musiał puścić. Przebiwszy się przez skorupę, zniknął, miotając się, jak tonący, w zimnej, białej pianie. Nowe uderzenia, coraz mocniejsze; kawałek żelaza pod silnymi młotami, rozpalony do czerwoności odłamek, który z każdym ciosem żarzył się coraz słabiej, stawał się ciemniejszy, bardziej szary i sztywny.

W końcu stary przestał się w ogóle ruszać. Bracia podnieśli się, sapiąc, i wspięli na krawędź skorupy. Stary wciąż leżał głęboko w swojej śnieżnej norze i patrzył w górę na synów – sylwetki odcinające się od nieba. Zaglądali w dół, jak do grobu, i rozmawiali szeptem niczym dwaj księża. Płatki śniegu topiły się i chłodziły śmiertelną maskę starego człowieka.

– Poddajesz się? – krzyknął Johan piskliwym od mutacji głosem.

– Niech cię szlag! – zarzęził Isak i splunął krwią.

Wskoczyli więc znowu do jamy. Zaczęli od nowa. Bili ojca, aż pot kapał. Walili w tą starą twarz alkoholika, niszczyli we wraku ostatki sił życiowych, chcąc złamać go raz na zawsze.

– Poddajesz się?

Tym razem ojciec płakał. Chlipał i siąkał nosem, nie mogąc się ruszyć głęboko w swoim grobie. Synowie wyszli z jamy i przygotowali ognisko na kawę, roztopili śnieg w okopconym kociołku. Gdy kawa się zagotowała i fusy opadły, a zapach rozniósł po okolicy, aż sójki syberyjskie zerknęły zza pni, wyciągnęli ojca z nory i położyli na skórze renifera. Wcisnęli kostkę cukru między poharatane wargi i podali parujący kubek. Ojciec ledwie siorbał, tymczasem Johan wyjaśniał spokojnie, że jeśli jeszcze raz podniesie rękę na członka rodziny, to – Bóg im świadkiem – naprawdę go zabiją.

Przez najbliższe dni czekali na zemstę. Wieczorem zamykali drzwi do swojego pokoju na klucz, by nie dać się zaskoczyć podczas snu, chowali zamek od strzelby i unikali zostawiania na wierzchu noży. Matka opiekowała się ojcem przez pierwsze dni, gdy leżał w łóżku, karmiła maślanką i kisiem z jagód, zmieniała opatrunki. Pytała synów spojrzeniem, ale nigdy na głos,

zauważyła jednak, jak unikali wchodzenia do pokoju. Isak milczał. Wpatrywał się w pęknięcia w pomalowanym na biało suficie, mieszaninę czarnych cienkich linii wijących się, rozgałęziających i rwących. Tworzyły drogi w odległych, nieznanym krajobrazach. W swych męczarniach zaczął tymi drogami podążać. Mijał domy i zagrody, poznawał ludność i nazwy miejscowości. Chodził wzdłuż rzek, próbując szczęścia w łowieniu ryb, przemierzał lasy pełne zwierzyny i jagód, wspinał się na wzgórza i podziwiał widoki. Na koniec wypatrzył sobie miejsce, gdzie chciał mieszkać i zbudował dom z własnoręcznie wyrąbanych sosen. Nastawił się na życie w samotności. Mięsa, ryb i drewna na opał miał tam pod dostatkiem. Zimy były długie, do takich przywykł, a lata pełne światła. Jedynie dwie rzeczy były inne niż w starym świecie. Po pierwsze, nie było komarów. Nawet na olbrzymich mokradłach, gdzie maliny morożki ugięły się pod ciężarem wielkich jak pięść żółtych owoców, żadnego komara, żadnej meszki czy bąka albo końskiej muchy, cudowny leśny świat zupełnie pozbawiony ugryzień i użądleń.

Po drugie, nie istniały tam żadne grzechy.

Isak zatrzęsł się w głębi swej duszy, gdy to spostrzegł. Nareszcie znalazł raj. Gdziekolwiek by szukał, nie było zła. Natura rodziła i żywiła, jadła i była zjadana w odwiecznym falowaniu głodu i śmierci. Lecz to była niewinna walka, nieskazona zepsuciem. Przyroda oddychała wokół niego, w nim, poprzez niego. Mógł przestać pogrążyć się w smutku. Skończyć rozpaczliwą walkę o utrzymanie się na powierzchni wody. Tylko otworzyć się jak pusta przestrzeń i pozwolić dobremu, zielonemu powietrzu przewiewać siebie na przestrzal.

W ten nieoczekiwany sposób, po raz drugi w swym życiu, Isak spotkał Boga. Z czasem wyzdrowiał i znów stał się złośliwy, inaczej byłoby to przecież nierzeczywiste. Przestał natomiast mówić o samobójstwie. I zaprzestał bicia, bo wziął groźbę synów na poważnie. Zamiast tego nieoczekiwanie zaczął widzieć sens w byciu starym. Długie lata po tym, jak synowie opuścili dom, próbował wrócić do nawyku bicia żony, ale okazało się, że się zmieniła i mu oddaje.

W zamian urozmaicał sobie starość szykanowaniem śmieciarzy, bezczelnością wobec personelu samochodowej stacji diagnostycznej, ponownym mierzeniem granic działki oraz żądaniami odszkodowania i odwołaniami do różnych instytucji. Ale nigdy nie stał się zbyt zrzeczny w dochodzeniu swoich racji, a krewni nie angażowali się w jego gardłowanie.

Rodzina przeszła wstrząs tektoniczny. Krajobraz pofałdował się i przybrał nowe kontury. Mama Niili, która całe życie poświęciła na manewry odwracające uwagę, znalazła nagle przestrzeń wokół siebie. Nie przywykła do tego, przygnębiło ją to. Poczuli się osamotniona i bezwartościowa. Dzieci już dawały sobie radę same, bez niej jako worka treningowego i mediatora. Wojna się skończyła, ale jak właściwie teraz żyć?

Gdy okazało się, że ma czas, by zająć się sobą, ciało zmogły rozmaite dolegliwości. Jej głos, niedoświadczony i niepewny, zaczął rozbrzmiewać w domu, skrzypiąc monotonnie jak stare koło. Gdy tylko otwierała usta, pokój wypełniał się przeraźliwie piskliwymi, zmęczonymi kłakami kurzu, które osiadały stosami, sięgając talii, i utrudniały poruszanie się. Młodsze dzieci – dziewczynki i młodszy brat – były nie do opanowania, wreszcie bowiem odważyły się rosnąć i coraz bardziej unikały tego morowego powietrza. Matka wydychała swoje szare błony na dzieci, lecz one zrywały je z siebie i wyciągały języki w kierunku życia. Zmieniła taktykę i mówiła im, że właśnie przez nie jest chora, że to ich wina, że ona cierpi. Powtarzała to po wielokroć, dzień po dniu, aż nie mogły już dłużej się przed tym bronić. Pajęczyna oblepiała je nitka po nitce i każdy krok stawał się nużący i ciężki. Wyrywały się i gryzły mlecznymi zębami. Ale nie mogły się uwolnić.

Johan, który teraz był kimś w rodzaju ojca rodziny, nie mógł pojąć, co się działo. Isak odmówił zajmowania się rozhisteryzowanymi maluchami, mówiąc, że taki się człowiek staje,

gdy nie ma kary za grzech pierworodny. Cały dom zdawał się pleśnieć i pękać. Radość życia ściekała w szpary między deskami podłogi, gdzie powoli kwaśniała. Było to bardzo osobliwe, ale wszyscy zatęsknili za laniem. Baty, a potem przebaczenie.

W końcu Johan podszedł do matki.

– Poszukasz sobie pracy – powiedział.

Policzki jej pobladły, zastanawiała się, dlaczego chce ją posłać na śmierć, była przecież tak obolała i wycieńczona.

– Poszukasz sobie pracy! – powtórzył.

Odmówiła, przecież ją wyśmieją, kto by chciał niewykształconą babę?

– Pomoc domowa – powiedział – stołówka dla dzieci, opieka nad przewlekle chorymi.

Nie odpowiedziała, runęła na kanapę w kuchni, oddychała płytko i chrapliwie w ataku astmy. Dzieciaki na podłodze przestały się bić, Isak zamarł w bujanym fotelu. Matka bez oddechu wiała się z bólu. Niila chciała wzywać karetkę, ale Johan go zatrzymał. W milczeniu wyjął z lodówki mleko, podszedł do matki i wylał je na nią. Spłynęło białe po twarzy, po piersiach, po spódnicy i zrolowanych skarpetach. Tłuste i gęste. Ale zimne.

Mama wierzgnęła jak niemowlak, natychmiast nabrała sił i rozwścieczona wstała na nogi. Po czym po raz pierwszy w życiu uderzyła Johana, był to silny, siarczasty policzek.

– Poszukasz sobie pracy – powtórzył po raz trzeci.

Poczuła moc pulsującą w jej ręce, nadal mogła czuć ruch uderzenia w ramieniu, przez bark, aż do dużego przyczepu mięśni na plecach. Zaskoczona wykręcała ciało na wszystkie strony i czerwieniejąc, rozglądała się wokół. Bóle zniknęły.

ROZDZIAŁ 17

Gdzie rozpala, się majowe ogniska, zaopatruje w broń i ogłasza nagrodę za odstrzał dwóch młodych leśnych gwardzistów

Im byłeś starszy tym lepiej rozumiałeś, jak funkcjonuje Pajala. Cała wieś składała się mianowicie z kilku dzielnic, każda z nich miała swoją nieoficjalną nazwę, na przykład Naurisaho, Strandvägen czy Centrum. Dzielnicą osadników otrzymała dość adekwatną nazwę: Teksas, natomiast zabudowania wokół starej oczyszczalni ścieków nazywano, ze względu na smród, Paskajänkkä – Gówniane Błota, a moja własna dzielnica nosiła nazwę Vittulajänkkä, czyli Cipowe Błota.

Każda z dzielnic miała swój gang i swoich przywódców. Stosunki między zgrajami obejmowały wszystko: od przyjaznego ducha współpracy do rywalizacji, szczęki broni i otwartej wojny, zależnie od momentu. Krucha równowaga sił, można by powiedzieć. Czasem dwie dzielnice jednały się przeciw trzeciej. Czasem wszyscy przeciw wszystkim.

Jako chłopak z dzielnicy najobfitszej w dzieci, przywykłem do wyzwań w obrębie gangu. Trzeba było tylko się stawić. Mogło chodzić o regionalne prestiżowe mecze hokeja, rozgrywane w zimowe wieczory na wiejskiej drodze. Odbywały się w najlepiej oświetlonym miejscu, pod latarnią. Bryły śniegu w charakterze bramki, zwały po pługu jako bandy, lewo bądź praworęczne kije zakupione w sklepie żelaznym lub pożyczone od starszego brata, piłka tenisowa albo zniszczony hokejowy krążek, żadnych osłon, żadnych sędziów, za to dziesięciu-piętnastu smarkaczy z niesamowitą chęcią, by wygrać.

Do wyniku 2:2 zawsze jakoś szło. Gorliwe krycie, nazywaliśmy to forteking, samotne karkołomne ucieczki, początki gry na podania, ale częściej strzał na bramkę, a potem przekłete szukanie krążka w zaspach. Ktoś występuje jako Uffe Sterner albo Stisse czy Lillprosten. Albo Phil Esposito, który w kanadyjskiej telewizji przestrzelił na wylot stalową płytę.

Widzimy już pierwszą rozkwaszoną wargę. Środkowy napastnik z przydługim kijem, więc trzonek sterczy do tyłu i uderza kogoś w szczękę. Mleczne zęby na miejscu, ale krew. Po dramatycznym głosowaniu wykluczenie z boiska.

Potem pełne zwanie na środku pola. Nurkowanie w śnieg. Natychmiastowa zemsta. Napięte dyskusje. Gol, który zostaje unieważniony, bo ktoś przesunął słupek. Protesty. Wzajemne oskarżenia. Strzał w mosznę. Ktoś beczy. Odwet, nowy cios. Mija o włos gębę. Zwanie łokciami. Pchnięcie w zaspę. Ktoś podstawia nogę. Cios w szczękę.

I potem nagle dziesięciu chłopaków leży w zaspach i grzmoci się z otwartymi ustami pełnymi śniegu, tymczasem jeden samotny wyrostek popycha krążek tam i z powrotem przez linię wygrywając sto do trzech, nim sam z własnej woli nie powlecze się do domu iskrzącą się od śniegu zimową ulicą.

Innym zajęciem gangów było zbieranie materiału na majowe ognisko. Zaczynało się tuż po świętach, gdy wyrzucano choinki. Wieś natychmiast roiała się od maluchów ze stosami suchych iglastych gałęzi na sankach. Wyścig zbrojeń odbywał się głównie pomiędzy Paskajänkkä i Strandvägen, ponieważ oba rewiry leżały nad rzeką, gdzie można było palić olbrzymie ogniska. To właśnie było celem. Ułożyć największe.

Na szkielecie ze świerków kładziono wszystko, co dało się spalić. Puste kartony ze sklepów, drewno z rozbiórki, opony, plastikowe wiadra, meble, kartony po mleku, połamane narty, płyty pilśniowe, buty, tak, nawet szkolne książki. Od czasu do czasu wysyłano szpiegów do konkurencyjnej sterty, by zdali relację i porównali.

Zdarzało się, że podbierano sobie nawzajem ze stosów.

Dochodziło również do używania przemocy, ale nie tak często, jak przy okazji miejscowych meczów hokeja. Używano raczej ukrytych pogroźek, nieustępliwości czy podstępu.

Na przykład, by stos wyglądał na większy, można było sztaplować go na wysokość. W ekstremalnych przypadkach mogło to prowadzić do zabójczych ognisk, które – jak chwiejne drapacze chmur – mogły się zawalić i spalić dwudziestu najbliższych stojących widzów. Niczego nie pojmujący dorośli strącali zwykle stosy przed ich zapaleniem.

Raz zdarzyło się też tak, że kilku chłopaków w desperacji podpaliło konkurencyjny stóg kilka dni przed Nocą Walpurgii. Czyn był tak paskudny, że ognisko zwycięzców straciło wszelką sympatię.

Później stoi się w śniegu przy tych płonących górach śmieci, puszcza petardy i patrzy, jak kilkumiesięczna praca idzie z dymem. Taka jest nagroda. Plus te dwie rakiety, na które zrzucił się cały gang, wysłane w powietrze pod sam koniec, gdy niebo jest możliwie najciemniejsze. Wzleciały jak żarzące się łodygi kwiatów i wytrysnęły każda w swoją, mieniającą się kiść. I była już wiosna. Nareszcie przyszła.

Gdy się było trochę starszym, szpanowało się posiadaniem wiatrówki. Marudziłem przez kilka miesięcy, zanim ojciec kupił mi dubeltówkę, używaną i porysowaną. Nie była szczelna, więc grzywka mi sterczała, gdy strzelałem, a pocisk ledwie był w stanie opuścić lufę. Efekt był lepszy po zastosowaniu taśmy izolacyjnej i przygięciu pióra, ale zabójczą bronią nigdy się nie stała. Zwykle po szkole trenowałem strzelanie do celu – do tarczy na ścianie garażu. Celownika nie dało się ustawić, trzeba więc było trzymać trochę do góry i w lewo. Ojciec spróbował raz, ale się zdenerwował, bo nigdy nie udało mu się trafić w tarczę i zwał winę na dalekowzroczność.

Broń pneumatyczna sprawiła, że gangi stały się bardziej dzikie i wrzaskliwe. Hordy włóczyły się po okolicy, spocone, napalone wyrostki z brudnymi na kolanach spodniami, sikali na krzyż, rysowali fiuty na drogach, uczyli się nowych przekleństw i siali spustoszenie, gdzie tylko mogli. Fajnie było być razem. Czułeś się silny. A gdy w końcu spotkałeś inny gang, podobnie krewki i uzbrojony, rezultat mógł być tylko jeden. Wojna na wiatrówki.

Aby uniknąć wmieszania się dorosłych, walki przeniesiono w dzikie leśne ostępy na drugim brzegu rzeki. Okropnie chciałem brać w nich udział, ale nie wiedziałem, czy się nadaję. Właśnie zacząłem siódmą klasę i przez starszych uczniów nazywany byłem królikiem, nie miałem motoroweru, a moja strzelba nie była czymś, czym można by się chwalić. Niili natomiast udało się pożyczyć od kuzyna wschodniemiecką strzelbę z pompką o okrutnej sile rażenia. Potrafiła przestrzelić płytę pilśniową, ja tymczasem ledwie byłem w stanie zrobić w niej dołek.

Pewnego popołudnia postanowiliśmy odwiedzić front. Jadąc na rowerach, z bronią na ramieniu, przetoczyliśmy się przez stary most. Wkrótce most i wieś zniknęły, a przed nami rozpostarł się porośnięty krzakami sosnowy las. Minęliśmy porębę, odbiliśmy w wyboistą leśną drogę i ukryliśmy rowery w krzakach wikliny. Las był potwornie bezgłośny. Gdzieś w pobliżu toczyła się wojna, ale wszystko zdawało się ciche i spokojne. Pachniało jesienią. Wilgotne grzyby rozpostarły brązowe kapelusze, chwiały się od robaków. Zerwałem kilka przejrzalnych jagód i wessałem w siebie wodnisty sok.

Nagle usłyszeliśmy suchy trzask i czapka spadła Niili z głowy. Nim snajper zdążył powtórnie załadować, krzyknąłem, że my, do cholery, jesteśmy ochotnikami. Wtedy ktoś zszedł z drzewa, mamrocząc przepraszająco, że palec mu się omsknął i że główna siła znajduje się daleko stąd.

Szliśmy wąską ścieżką, która wiodła prosto do obozowego ogniska, gdzie kilkunastu chłopaków piło kawę i zażywało snus. Większość była rok lub dwa od nas starsza, niektórzy mieli ubrania w barwach ochronnych i czapki Obrony Kraju. Spluwali na brązowo i przyglądali się nam krytycznie. Generał, osiłek z Paskajänkä z meszkiem pod nosem, pokazał palcem sosnową gałąź z szyszkami dziesięć metrów od nas. Wycelowałem, trzymając trochę w górę i w lewo. Szyszka rozprysła się za pierwszym podejściem. Niila, który nie zdążył jeszcze potrenować, za pierwszym razem spudłował. Drugi strzał też się nie udał. Podobnie trzeci. Chłopaki uśmiechali się ironicznie, mówiąc, że ma iść w cholerę. Czwarte pudło. Niila zaczął się pocić. Generał się wkurzył i warknął, żeby młokos spadał do domu, do mamusi. W milczeniu Niila ponownie załadował. Napompował. Dopompował więcej. I jeszcze trochę, nie przejmując się całym tym szyderczym śmiechem. Potem strzelił w sam środek ogniska. Zadźwięczało. Później dwa brązowe strumyki pociekły z przestrzelonego kociołka.

Chłopaki rozdziawili usta. Wpatrywali się w strzelbę Niili. W kawę, która sycząc, spływała w żar. Potem jeden zaoferował się spuścić Niili łomot, ale go przystopowało, bo Niila znów załadował i już zaczął pompować.

– Jutro przyniosę nowy kociołek – powiedział spokojnie.

Generał splunął w ogień. W końcu kiwnął głową. Byliśmy zwerbowani.

Potem całą paczką leżeliśmy bez ruchu w nadbrzeźnych krzakach, nie odzywając się, z celownikami przy oku. Przy płynęli dwoma łódkami, długimi i smukłymi tornedalskimi łodziami przystosowanymi do górskich rzek. Sześciu chłopaków w pierwszej, siedmiu w drugiej. Wszyscy byli uzbrojeni i mierzyli w skraj lasu, poza dwoma, którzy zajmowali się silnikami. Nie odkryli zasadzki, ale na wszelki wypadek byli czujni i gotowi. Przybliżali się coraz bardziej. Zmniejszyli prędkość, omijali kamienie.

Jedyną zasadą było niestrzelanie w twarz. Natomiast w tyłek czy w uda jak najbardziej. Tam bolało najgorzej i zostawiało duże siniaki. Zerkaliśmy na Generała. Wciąż leżał w zupełnym bezruchu. Wróg był już tak blisko, że byliśmy w stanie odczytać reklamy na ich czapkach z daszkiem. Zgasły silniki, łodzie przestały sunąć, ostatni kawałek przebyły, wślizgując się na brzeg. Chłopak na dziobie podniósł się, żeby stopą wyhamować impet uderzenia o ląd.

W tym momencie Generał strzelił. Dokładnie w udo przeciwnika. Na ten sygnał wszyscy wystrzeliliśmy pierwszą salwę. Ciężki jak ołów rój os opuścił krzaki i dopadł swoje cele. Ofiary krzyczały z przerażenia i bólu, cholera, ale naparzialiśmy. Odpowiadali strzałami, nie zdążywszy porządnie wycelować, do czasu, gdy udało im się zastartować silniki. Salwa za salwą. Kłujące węzowe ukąszenia na całym ciele. Położyli się płasko na dnie, mając burty za osłonę. Łodzie powoli odwróciły się i odpłynęły. A my zaczęliśmy się śmiać; rechocząc, zwijaliśmy się na mchu.

Wysiedli na ląd kilkaset metrów w górę rzeki. Kilku utykało. Rzeliśmy jeszcze serdeczniej, potem wycofaliśmy się do lasu, przygotowując się do nowego ataku.

Mieliśmy coś w rodzaju strategii, z początku przynajmniej. Ale później było tylko: strzelić i uchylić się, leżeć, wciskając się w krzaki bagna zwyczajnego. Usiłowałem trzymać się blisko Niili. Czułem się trochę jakby chroniony przez jego siłę rażenia. Celował co prawda jak ślepowy staruszek i prawie nigdy nie trafiał, mimo wszystko chyba na szczęście. Leżeliśmy tak i sapaliśmy po marszobiegu, zasłaniając dłońmi usta, co miało stłumić dźwięk. Zastanawialiśmy się, gdzie też podzieli się koledzy. Zerkaliśmy w leśny mrok, słyszeliśmy, jak ktoś pędzi i strzela. Z drugiej strony usłyszeliśmy krzyk i zmiany pozycji.

– Spadamy w tamtym kierunku – szepnąłem.

W tym momencie Niila popukał mnie w plecy. Zaledwie o kilka kroków od nas stało czterech szczerzących się chłopaków z wrogiego obozu z wymierzonymi strzelbami. Gdy powoli

wstawaliśmy, trzymali nas cały czas na muszce. Upuściłem broń w mech, Niila swoją ciągle trzymał.

– Rzuć broń, bo odstrzelimy ci fiuta! – rozkazał najwyższy z nich.

Niila stał, wytrzeszczając oczy ze strachu. Szczęka mu się trzęsła. Ostrożnie poluzowałem mu kurczowo zaciśnięte na kolbie dłonie. Wtedy usłyszałem jego szept:

– Strzelaj...

– Odłóż broń na ziemię! – krzyknął ten wysoki mutującym głosem, naoglądał się w telewizji amerykańskich filmów policyjnych.

Skinąłem służalczo głową. Ostrożnie pochyliłem się z bronią Niili. I wtedy, zanim ktoś zdążył zareagować, strzeliłem temu z mutacją prosto w pachwinę.

Ryknął jak zwierzę. Runął. Strzały zagrzecotały za nami, gdy uciekaliśmy zygzakiem. Na dupie czułem palący ból. Niila, który zdążył chwycić moją strzelbę, wrzeszczał i trzymał się za ramię. Ale byliśmy wolni, wyliśmy, triumfując, i rzuciliśmy się między drzewa, a gałęzie chłostały po twarzy.

Po tym zająsci respekt do nas wzrósł niesamowicie. Chłopak z mutacją musiał wyjąć kulę ostrzem finki. Wyznaczono za nas obu nagrodę, jak za odstrzał szkodników. Karton fińskich papierosów dla tego, komu uda się nas dopaść.

Branie jeńców było jedną z największych atrakcji w wojowaniu i czasem chyba najtrudniejszą. Raz udało nam się z Niilą podkraść niepostrzeżenie do chłopaka ze Strandvägen, który właśnie przykucnął i srał. Plotka o strzelbie Niili rozeszła się szeroko, do tego Niila bardzo przekonująco zapewniał, że pocętkuje mu odbył, jeżeli chłopak się nie podda dobrowolnie. Błada i drżąca ofiara podciągnęła spodnie, nie zdążywszy się podetrzeć. Potem zabraliśmy go do bazy. Aplauz był ogromny. W oczekiwaniu na obowiązkowe tortury został przywiązany własnymi sznurowadłami do sosny. Torturowanie polegało na tym, że Generał wymachiwał składanym nożem przed twarzą, groził i straszył. Było o fiutach do skrócenia, o mrowiskach do nakarmienia i innych atrakcjach, o których przeczytał w komiksach. Gdy udało się doprowadzić ofiarę do płaczu, sukces był pełen. Dalej zwykle rzadko się posuwano. Inaczej oprawcy wpadliby w jeszcze gorsze opapy niż te, które sami zgotowali.

Któregoś razu wzięto do niewoli przywódcę nieprzyjacielskiej armii. Związaliśmy mu ręce nad głową i przerzuciliśmy koniec liny przez grubą gałąź. Potem naciągnęliśmy sznur tak, że chłopak stał na palcach i zostawiliśmy go z jego własną prześmierdłą skarpetką wetkniętą w usta. Myśleliśmy, że sam da radę powoli się oswobodzić, /de tego nie zrobił. Pod wieczór matka zaczęła się zastanawiać, gdzie się podziewa jej syn. Po kilku telefonach kumple skumali, o co chodzi. Już zaczynało zmierzchać. Skontaktowano się z naszą paczką, opisaliśmy, jak tam dotrzeć, i wkrótce wyruszyła drużyna chłopaków z latarkami.

Problem sprawiło odszukanie miejsca. W gęstniejącym jesiennym zmroku trudno było się rozeznać, poza tym chłopak nie mógł krzyczeć ze względu na skarpetę. Wszystkie drzewa wyglądały tak samo, ścieżki zamazały się, kontury znikły. Zaczęło wiać, więc szумы i szelesty głużyły wszelkie inne odgłosy. Potem zaczęło też padać.

Znaleziono przywódcę kilka godzin później. Posikał się w spodnie. Kiedy poluzowano sznur, runął na ziemię. Pierwsze słowa, które wypowiedział, gdy już wyjęto mu z ust skarpetę, były wyrokiem śmierci na wymienionych z nazwiska małolatów.

Przez kilka najbliższych dni utrzymywało się tymczasowe zawieszenie broni, by uspokoić emocje. Potem ja wpadłem w zasadzkę. Oddzielono mnie od stada jak antylopę i cętkowano tyłek do czasu, gdy rzuciłem broń i krzyknąłem, że się poddam. Cholera, jak to bolało! Ciemnofioletowe siniaki na całych udach. Ale i tak nie rozbeczałem się, gdy tymczasem chłopaki kłócili się o to, komu powinien przypaść karton papierosów. Ich przywódca przycisnął mnie do

ziemi i powiedział, że teraz poczuje to samo, co on. Szczęząc zęby, przerzucił sznur przez mocną gałąź, potem ściągnął mi skarpetę i nasikał, aż cała była mokra. Poczułem, że mam sucho w ustach, ze strachu kręciło mi się w głowie. Próbowałem przygotować się na tortury. Cokolwiek by ze mną robili, nie wolno mi płakać. Muszę wytrzymać, muszę być twardy mimo bólu. Psiakrew, jeśli nie wytrzymam!

W tym momencie usłyszeliśmy w dali hałas. Jeden z wartowników krzyknął, że atakują. Przywódca się zawahał, słysząc zbliżający się wojenny łoskot.

– Biegnij! – rozkazał i wymierzył we mnie broń. Inni zrobili to samo. Wstrzymałem oddech, chcąc złagodzić ból, i wystartowałem. Gnałem, rzucając się na boki. Strzały dudniły w ciele, bolały jak oparzenia.

– Pudłujecie! Pudłujecie! – darłem się ze szlochom w dołku i obejrzałem w tył zdjęty strachem.

Właśnie wtedy strzelił przywódca. Upadłem. Wylądowałem w mchu na plecach. Kiedy próbowałem otworzyć oczy, odkryłem, że jestem ślepy.

– Wstrzymać ogień! – wrzasnął ktoś.

Ofensywa stanęła zbita z tropu. Kroki zbliżały się. Czaszka tętniła jak bęben. Ból, ciemność. Dotknąłem twarzy. Ciepła i mokra.

– Kurwa! – krzyknął ktoś. – Przynieście wody!

Coraz więcej ludzi zbierało się wokół mnie, słyszałem, jak sapią po biegu.

– Nic nie widzę – powiedziałem i miałem ochotę zwymiotować.

– Dostał w oko! Kurwa, wszędzie krew!

Ktoś podał ociekającą szmatkę, próbowałem się wytrzeć. Usiadłem i czułem, jak krew się sączy. Wycierałem dalej. Sprawdziłem, delikatnie dotykając palcami.

W panice zamrugałem, ale wszystko było mgłą. Tarłem mocniej. Wzrok odrobinę się polepszył. Wyjąłem materiał i woda pociekła, splukując krew. Zamrugałem. Zasłoniłem jedno oko. Potem drugie. Ulga, widziałem! Równocześnie poczułem wybrzuszenie pod skórą.

Kula trafiła mnie między oczy. Oślepiła mnie krew.

Walki zawieszono na resztę dnia. Niili udało się wyciągnąć pocisk rozżarzoną agrafką, a w domu powiedziałem, że trafił mnie kamień spod ciężarówki. Rana wkrótce się zagoiła, ale bliznę mam nadal.

Po tym wydarzeniu skończyłem z wojną na wiatrówki.

ROZDZIAŁ 18

O brzdąkaniu na gitarze i innych mniej lub bardziej męskich zajęciach

Nasz pierwszy oficjalny występ miał miejsce w pajalskiej auli szkolnej w lutym, w pochmurny, zimny i szary dzień, na porannym apelu. Cel tych zebrań był górnolotny: w ciągu dwudziestu minut w każdy piątek rano spędzić starsze klasy, by ożywić morale, podwyższyć poziom duchowy i wzmocnić solidarność w szkole. Pomysł zaczerpnięty został zapewne z południowej części Szwecji, a dotarł aż tutaj dzięki jakiejś konferencji dyrektorów, z czasem jednak apele zaczęły przypominać *seura* – spotkanie modlitewne. Rolę kaznodziei pełnił starannie uczesany, zatroskany nauczyciel od doradztwa zawodowego, Henrik Pekkari, albo jedwabistooki dyrektor, Sven-Erik Klippmark, usiłujący nawrócić wszystkich grzeszników, którzy bazgrali, paprali się snusem, kopali w szafki, tłukli butelki, cięli ławki lub w inny sposób zwiększali wydatki podatnikom w gminie. Znacznie skuteczniej dokręciliby śrubę, gdyby, posługując się tornedalsko-fińskim, nastraszyli bachory laniem, batami i długotrwałym kalectwem, co było metodą wychowawczą, do której większość przywykła.

Niekiedy zdarzały się również akcenty muzyczne. Kantor Göran Thornberg odegrał odważnie na pianinie preludium Bacha, najwidoczniej nieświadomy braku koncentracji ospałej publiczności.

Szkolny chór dziewczęcy śpiewał kanon, tymczasem dyrygentka chóru, srebrnowłosa Birgitta Söderberg, usiłowała zbagatelizować gwizdanie z podtekstem erotycznym chłopaków z dziewiątej TP czyli tych, którzy nienawidzili przedmiotów teoretycznych i elity kulturalnej. Chłopiec z Peräjävaara z instynktem samozachowawczym samobójcy grał na trąbce, a tak fałszował, że nawet nauczyciele wybuchali salwami śmiechu. W każdym razie przeżył, a potem został nauczycielem muzyki.

Nadszedł piątek, ziewające chłopaki z dziewiątej zasiedli z tyłu, głośno bekali i strzelali gumkami. Reszta uczniów zajmowała miejsca przed nimi. Scenę skrywała opuszczona kurtyna. Jakiś czas temu Greger, zasugerowawszy temat: młodzieńcze odpowiedzialność i kreatywność, dostał od dyrekcji wolną rękę na zaaranżowanie porannego apelu. Tylko gdy stało się tuż przy kurtynie, słychać było niski, dziwny, elektryczny pomruk.

Uczniowie przygotowywali się na to, by przetrzymać albo wygwizdać, zależnie od nastawienia i humoru. Nauczyciele zajęli strategiczne pozycje. Ostrzyżony na jeża, nieustraszony historyk Gunnar Lindfors, objął stanowisko przy ostatnim rzędzie i wysyłał rentgenowskie spojrzenia, gotów w każdej chwili unieść kogoś za kark.

Greger wkroczył na scenę z uroczystą miną i stanął przed draperią. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nauczyciele uciszali zebranych. A ci paprali i chichotali jak najęci. Pedagogzy rzucali groźne spojrzenia w kierunku najbardziej aktywnych zarzewi oporu. Nowy szyderczy wybuch śmiechu, napady kaszlu, pusta flaszką turlana po podłodze między rzędami krzeseł, głośno darty papier.

Greger uniósł zdeformowaną dłoń. Pomachał bez słowa kciukiem, a potem zniknął z boku sceny.

Wtedy zaczęliśmy.

– Džas letmi hirsamader rokenroll mjuzik!

Ci, którzy siedzieli z przodu, oparli się plecami o krzesła. Reszta, nie rozumiejąc, gapiała się w zaciągniętą kurtynę. Materia kołysała się i wybrzuszała jak pokrywka na wiadrze z *surströmming* – kiszonymi śledziami.

– Rokenroll mjuzik! If ju łona law łitmi!

Załomotaliśmy jak szaleńcy w półmroku za kurtyną. Erkkiego opanował duch współzawodnictwa, więc walił we wszystko, co się ruszało, przez co melodia zrobiła się dwa razy szybsza. Niila złapał chwyt w złej tonacji, a sprzężenie, jakie wywołał Holgeri, zabrzmiało jak gwóźdź do trumny. No i na samym przedzie. Przy mikrofonie. Stałem ja.

Nie śpiewałem, ryczałem. Odgłos godowy łosi. Potworny śmiertelny wrzask. Sam coś, cholera, tworzyłem na miejscu. Nie wiedząc o tym, wynaleźliśmy punk rocka kilka lat za wcześnie. Kawalek dobiegł końca – tak można by to mniej więcej określić, bo „skończył się” to złe słowo, gdyż Erkki z pustym wzrokiem nadal siał spustoszenie, a ja ponownie nachyliłem się do mikrofonu:

– Džas letmi hirsamader rokenroll mjuzik!

Drugi raz. Kurtyna nadal była zasłonięta. Usiłowałem dostosować dźwięki basu do największego bębna, ale gra Erkkiego zmieniła się teraz w coś podobnego do ataku epilepsji. Niila znalazł nareszcie odpowiednią tonację, ale wszedł dwa takty za późno. Holgeri grał solówkę do innej piosenki, nie zauważył, że gramy znów pierwszą.

– Džas letmi hirsamader...

Trzeci raz ten sam kawałek. Greger gorączkowo błędził po omacku w mroku kurtyny między sznurami i fałdami materiałów.

Erki walił tak, że uszy drętwiały, przez to nie słyszałem już własnego głosu. I teraz po raz pierwszy kurtyna uniosła się i zrobiło się oślepiająco jasno od reflektorów. A tam byli oni, cała pieprzona szkoła. Wychyliłem się i wrzasnąłem: Džas letmi hirsamader, już po raz czwarty.

Niila niespodziewanie wszedł na czas. Dopasował się do Erkkiego, a Holgeri i ja dołączyliśmy. I jak pędząca lokomotywa pociągnęliśmy piosenkę jeszcze raz od początku przez całą długość szyn, a na ostatni akord odciągnęliśmy Erkkiego do tyłu razem ze stołkiem, aż wyrznął o podłogę.

Zrobiło się cicho.

Zataczałem się w bok, do momentu gdy kabel od gitary się skończył, z przemożną ochotą natychmiastowego wyemigrowania. Głowę miałem jak marakas. Greger chwycił mnie za barki. Obrócił. Coś powiedział, ale byłem ogluszony talerzami Erkkiego.

Później spojrzałem. Bili brawo. Cała wypełniona po brzegi aula. Klaskali, najwidoczniej całkowicie dobrowolnie, a kilka dziewczyn, które bywały na koncertach pop w Luleå i wiedziały, jak to działa, krzyczało o bis.

Powoli aula pustoszała, a my staliśmy, nadal nie rozumiejąc do końca, co się wydarzyło. Już teraz, po naszym pierwszym koncercie poczuliśmy się otoczeni pustką, którą czuje się po każdym występie, rodzaj wewnętrznego smutku. Erkki stwierdził, że ma dziurę w pamięci, ale powiedział, że ciało ma rozgrzane jak po saunie. Greger mrucał, że sznur od kurtyny powinien być jakiegoś odblaskowego koloru. Otumanieni zaczęliśmy znosić graty do sali od muzyki.

Reakcje na nasz występ były różne. Sukcesem wprawdzie nie był, ale za to wywarliśmy niezatarte wrażenie. Uczniowie-laestadianie natychmiast wyszli z auli, chłopacy w ostatnich rzędach nagle przestali rzucać kulkami zmiętego papieru w łysinę nauczyciela od matmy. Kilku kumpli zaszczyciło nas największą pochwałą, jaka tylko może paść z tornedalskich ust:

– No, nie było tak źle.

Inni zapewniali, że niczego potworniejszego na porannych apelach nie słyszeli od czasu akordeonistki z Sion. Obiecywali, że następnym razem podetną struny. Trochę przykre było również to, że niektórym najbardziej podobał się drugi kawałek. Inni twierdzili wprawdzie, że najlepszy był trzeci albo pierwszy. Natomiast nikomu nie przypadł do gustu kawałek czwarty, jedyny, który zagraliśmy porządnie. Nie mieliśmy tyle odwagi, by zdradzić, że za każdym razem była to ta sama piosenka, tylko w różnych stadiach paniki. Kilka dziewczyn z ósmej zaczęło zerkać w stronę Erkkiego, bo jego sceniczna ekspresja okazała się najsilniejsza, inne zaś na Holgeriego, bo był najprzystojniejszy. Gregera natomiast na burzliwej radzie pedagogicznej poddano druzgocącej krytyce za artystyczną nieodpowiedzialność.

Z grubsza wyszliśmy więc z tego z samym tylko przerażeniem. W Tornedalen kreatywność dotyczyła głównie kwestii przetrwania. Darzono szacunkiem, a nawet podziwem pomysłowego stolarza, który z przyniesionych prosto z lasu pni potrafi! wyrzeźbić wszystko, od łopatkę do smarowania pieczywa do stojącego zegara; albo drwała, któremu zabrakło paliwa w śnieżnym skuterze, ale jechał dalej przez dziewięć kilometrów na mieszanke lekarstwa na serce i bimbru; lub też babę, która nazbierała trzydzieści kilogramów żółtych malin, nie mając wiadra, w swoje sprytnie związane gacie; albo chłopaka, który przewiózł przez granicę cały roczny zapas papierosów w trumnie swojego brata, gdy ten umarł po fińskiej stronie; albo wdowę po przemytniku, która pokroiła konia na kawałeczki tak sprytnie, że synowie mogli przewieźć go pod nosem celników do Szwecji w torbach na rowerowych kierownicach, a potem zszyć przywracając do życia, po czym sprzedać ze sporym zyskiem. Ale to zdarzyło się oczywiście w latach czterdziestych, zanim się urodziłem.

Przykładem tornedalskiej kreatywności są fanatycy wędkarstwa. Wszyscy faceci, którzy żyją po to, by wiercić przereble, nakręcać, łowić na błysk, którzy przez całą zimę wiążą muchy na łososie, kieszenie mają pełne ważek, moli i ślepych gadów, którzy raczej idą na ryby niż współżyją płciowo, znają czternaście sposobów wiązania żyłki, ale tylko jedną pozycję miłosną, którzy inwestują tysiąc koron w każdy złowiony kilogram łososia zamiast kupić go za grosze w Konsumie, którzy wolą stać w dziurawych kaloszach niż świętować z rodziną *midsommar* – nadejście lata, zaniedbują nocny sen, łamią małżeństwa, których wylewa się z roboty, którzy nie dbają o higienę, obciążają chałupę hipoteką, zaniedbują dzieci, gdy tylko usłyszą, że przy wodospadzie Jokkfall dostrzeżono na powierzchni wody kręgi – ślady żerujących ryb.

Równie perwersyjną grupą są tornedalscy budowlańcy, skryci faceci, nieobecni duchem w czasie rozmowy, nie mogący usiedzieć spokojnie w miejscu, niecierplivi, z błędzącym wzrokiem. Lecz gdy tylko mają w garści młotek, stają się normalnymi ludźmi, wtedy potrafią nawet powiedzieć żonie kilka miłych słów z kącikami ust pełnymi gwoździ. Cholera, ile taki facet zdąży zbudować w życiu! Chata i obora, stuk, stuk i gotowe! Sauna i wygodka, raz, dwa i stoi! Drewnutnia i stodoły, trochę łomotu i już! Składzik, magazyn, proszę, jak idzie! A potem garaż, buda dla psa, szopa na rowery i domek zabaw dla dzieciaków.

Mniej więcej na tym etapie gminny wydział budowlany zaczyna traktować parcelę jako zabudowaną. Mężczyzna staje się wówczas niesforny; cierpki jak ocet; zaczyna krzyczeć na dzieci, pije, nie może spać, traci włosy, kopie psa, ma kłopoty ze wzrokiem i słuchem, a lekarz z Gällivare zapisuje mu valium, do czasu, kiedy zdesperowana żona odziedziczy pustą działkę rekreacyjną.

Facet może zacząć od początku.

Letni domek, sauna, wychodek, drewnutnia, psia buda. I po krótkiej chwili wytchnienia składzik na wędki, ziemianka, domek dla gości, składzik na narzędzia, altana, miejsce do zabaw dla maluchów. Potem wszystkie przybudówki. Z animuszem przez całe lato – zbijać, łomotać i dobrze się czuć.

Ale czas mija i w końcu nieuchronnie zabudowa jest kompletna. W urzędzie gminy członkowie wydziału budowlanego zawzięcie studiują zdjęcia lotnicze. Mężczyzna staje się tak potwornie nieprzyjemny, że żona jest na dobrej drodze, by go zostawić.

Wtedy nadchodzi czas remontów. Nowy dach, zmienić płytę wiórową na wełnę mineralną, przenieść piecyk do dużego pokoju, zagospodarować strych, urządzić pokój w piwnicy, zmienić kit w oknach, skrobać i malować, zmienić drzwiczki od szafek, położyć wykładzinę, zmienić krany i umywalkę, wyczyścić saunę z pleśni, zbudować taras i balkon, oszklić altanę.

Lecz później wszystko już jest zrobione. Już nieodwołalnie. Do końca zabudowane, dzieło stworzenia zakończone, dłonie szukają na próżno trzonka młotka, a małżonka dostrzega, że nie ma już ratunku. Teraz to już tylko psychiatryk w Gällivare.

Tymczasem wchodzi reforma umożliwiająca budowanie małych domków bez zezwolenia.

Niewiarygodne, jak wiele takich domków może pomieścić jedna działka. I wszystko może zacząć się od początku. Małżeństwo znów wypełnia się czymś ciepłym, spokojnym, czymś, co można by pewnie nazwać miłością.

Nasze rockowe granie było czymś zupełnie innym. Pożytku z pewnością nie przynosiło. Nikt nie dostrzegał w nim wartości, my sami też nie. Nie było potrzebne. Po prostu się bawiliśmy, otwieraliśmy serce i pozwalaliśmy muzyce wyjść. Starszkwowie uważali to za oznakę rozpuszczenia i zbyt dużej ilości wolnego czasu, za przepych i marnotrawstwo obecnych czasów. Tak właśnie się dzieje, gdy dzieciaków nie goni się do roboty. Powstaje nadmiar. Nadwyżka energii, która wiruje i podnosi ciśnienie krwi.

Na początku często z Niilą dyskutowaliśmy, czy nasze granie można uważać za *knapsu*. Słowo jest tornedalsko-fińskie i oznacza „babski”, zatem coś, czym zajmują się tylko kobiety. Można by powiedzieć, że rola mężczyzn w Tornedalen ogranicza się tylko do jednego: nie być *knapsu*. Brzmi to jasno i zrozumiale, ale całość komplikują specjalne reguły, wymagające dziesiątków lat na przyswojenie, coś, czego są w stanie doświadczyć zwłaszcza mieszkający tu mężczyźni z południowej Szwecji.

Pewne zajęcia są *knapsu* z założenia, zatem mężczyźni powinni ich unikać. Są to na przykład: robótki ręczne, zmiana zasłon, tkanie chodników, dojenie, podlewanie kwiatów i tym podobne. Drugą grupą są zajęcia definitywnie męskie: ścinanie drzew, polowanie na łosie, budowanie chat na zrąb, spławianie drewna i bójki na potańcówkach. Od dawien dawna świat podzielony był na dwie części, wszyscy wiedzieli, o co chodzi.

Ale przyszedł dobrobyt. I nagle pojawiły się setki nowych zajęć i informacji, które wprowadzają pewien zamęt. Ponieważ pojęcie to przez stulecia kształtowało się wśród ludu nieświadomego zachodzących procesów, definicje nie nadały. Oprócz kilku dziedzin. Silniki na przykład są domeną mężczyzn. Silniki spalinowe są bardziej męskie od elektrycznych. Samochody, śnieżne skutery i piły motorowe zatem nie są *knapsu*.

Czy natomiast facet może szyć na maszynie? Ubijać śmietanę mikserem? Doić krowy automatyczną dojarką? Wyjmować naczynia ze zmywarki? Czy prawdziwy mężczyzna może odkurzać swój samochód, zachowując taki sam szacunek, jakim cieszył się wcześniej? Macie tu kwestie do przemyślenia.

Jeszcze więcej kłopotów sprawiają inne nowinki. Czy na przykład jedzenie niskotłuszczowej margaryny jest *knapsu*? Posiadanie farelki w samochodzie? Kupowanie żelu do włosów? Medytowanie? Pływanie z maską? Używanie plastra? Wkładanie psiej kupy do specjalnego plastikowego worka?

Poza tym reguły różnią się – każda wieś ma swoje. Hasse Alatalo z okolic Tärendö opowiedział mi, że w jego rodzinnej wiosce za *knapsu* uważano z jakiegoś powodu wywijanie cholewek kaloszy.

Z tych wszystkich powodów my mężczyźni możemy być podzieleni na trzy kategorie. Pierwsza to prawdziwy macho. Często facet z małej wioski, szorstki, milczący i zawzięty, z nożem przy pasie i solą w kieszeni, przygotowany na to, by przeżyć w dzikich ostępach. Jego przeciwieństwo można rozpoznać równie łatwo – mężczyzna zniewieściały. Ten jest ewidentnie *knapsu*, rozpieszczony przez starsze siostry, nie nadający się ani do wycinki lasu, ani do polowania. Zwykle umie się obchodzić ze zwierzętami, a nawet z kobietami, pomijając sprawy płci, dlatego też dawniej zostawał znachorem albo tamowaczem krwi.

Trzecią grupę mężczyzn stanowi ogromna warstwa pomiędzy dwoma poprzednimi kategoriami. Do niej z Niilą należeliśmy. Tu ustalano stopień *knapsu* czyichś czynów. Wystarczyła tak błaha rzecz, jak założenie czerwonej czapki. Można było wówczas ugrzęznąć na kilka tygodni i być zmuszonym do walki, stawania na głowie i poddawania się rytuałom za nic mającym śmierć, nim się człowiek wyrwał z bagna *knapsu*.

Muzykę rockową grają głównie mężczyźni. Ekspresja jest agresywnie męska. Obserwator z zewnątrz powinien zatem szybko zorientować się, że rock nie jest *knapsu*. Ale temu należy przeciwstawić fakt, że brzdąkanie nie jest żadną porządną pracą. Dzień w lesie i gość będzie sikał krwią. Również śpiewanie uważano za niemęskie, przynajmniej w okolicach Pajali i w stanie trzeźwym. A już robić to po angielsku, w języku zdecydowanie za miękkim dla twardych fińskich szczęk, tak zwiotczałam, że tylko dziewczyny mogły mieć z niego piątki, w tym ślimakowatym szwargocie, drżącym i wilgotnym, wynalezionym przez chodzących w błocie mieszkańców wybrzeża, którzy nigdy nie musieli walczyć, którzy nigdy nie głodowali i nie marzli, mowie dla obiboków, trawożerców, leniuchów pierdzących w kanapy, mowie całkowicie pozbawionej rzeźkości, do tego stopnia, że język flaczeje w ustach jak odcięty napletek.

Zatem jednak byliśmy *knapsu*. Bo nie potrafiliśmy przestać grać.

ROZDZIAŁ 19

O dziewczynie z czarnym PV, o lodowiskach i tyłkach oraz o tym, jak można zabawić się w Pajali

Nasz drugi występ mieliśmy po spotkaniu Czerwonej Młodzieży w Domu Kultury w Kaunisvaara. Załatwił go Holgeri, znał bowiem dziewczynę z zarządu – jedną z około trzydziestki – stała tam w arafatce i wystukiwała rytm trzewikami o szpiczastych noskach. Można by powiedzieć, że odbiór był przyzwoity. Od czasu debiutu w auli minęło kilka miesięcy i już zdążyliśmy się lepiej zgrać. Dwa kawałki ułożyliśmy sami, reszta to były covery, które wyłowilem z listy „Tio i Topp”. Kilku starych, zaciekawionych pionierów stanęło przy drzwiach. Wszyscy wkrótce obrócili się i poszli sobie, oprócz jednego staruszka z uszkodzonym słuchem od czasu ćwiczeń z ręcznymi granatami w wojsku. Stał z rozdziawionymi ustami, raz po raz poprawiał na głowie czapkę z daszkiem i myślał: do diabła, ale też w dzisiejszych czasach marnują prąd.

Po ostatnim kawałku dziewczyna Holgeriego zaczęła bić brawo, prosząc o coś na bis. Inni się dołączyli. Nadal staliśmy na scenie, zerknąłem nerwowo na Erkkiego i Niilę. Nie umieliśmy innych piosenek, tylko te, które właśnie zagraliśmy.

Wtedy usłyszeliśmy pisk. Holgeri! Stał tuż przed głośnikiem. Elektryczne wycie rozniosło się po lokalu, szyby zadrżały.

A potem zaczął grać. Sam z ryczącym sprzężeniem. Nie patrzył w kierunku publiki. Ukląkł i oparł gitarę o podłogę, potrząsał nią jak ofiarą mordu przed lejkowatymi ustami głośnika. Targał wyjące struny. Melodia wydawała się znajoma. Przerywana, kołysząca się jak sygnał radiowy z oddali, ale też pełna siły. Patrzyliśmy tylko na Holgeriego. Położył się na plecach, silnymi pchnięciami ramion wyciągał gitarę raz po raz w górę. Oczy półprzymknięte, czoło spocone. Potem wygiął szyję do tyłu i zaczął grać zębami. Tę samą dziwnie znajomą melodię.

– Hendrix! – wrzasnął mi do ucha Niila.

– Lepiej! – odkrzyknąłem.

I dopiero wtedy dotarło do mnie, co grał. Radziecki hymn. Stare drewniane ściany domu kultury aż się trzęsły.

Potem kilka osób weszło na scenę i pytało, jakiej jesteśmy orientacji politycznej. Holgeri siedział, uśmiechając się miękko, jak po śnie, tymczasem dwie dziewczyny usiłowały usadowić mu się na kolanach. Ja sam wylądowałem naprzeciw panny o osobliwie pociągniętych tuszem, arabskich brwiach. Jej włosy były lśniaco czarne, jakby maczane w kałamarzu. Twarz natomiast była biała od pudru. Było w niej coś lalkowatego, cienka warstwa celofanu. Jej ciało skrywały typowe dla socjalistów w latach siedemdziesiątych za duże ciuchy, ale zdradzały ją płynne ruchy ramion. Zerkając na mnie, delikatnie poruszała biodrami. A ja wiedziałem, że tam w środku jest kobieta, pożądanie. Milcząc, wyciągnęła rękę, pożegnała się jak dorośli, uśmiechając się i ukazując ostre ząbki. Uścisnęła mi dłoń mocno jak chłopak, aż zabolęło.

Potem spakowaliśmy instrumenty i wzmacniacze. Staruszek w czapce z daszkiem chodził dookoła i szczerzył się niewinnie, tymczasem sprawdzał, czy dziewczyny mają już cycki. Skarbnik dał nam kanapki z plasterkami metki i pięćdziesiąt koron z klubowej kasy jako gażę.

– Jedziesz do Pajali?

To była czarnowłosa. Staliśmy na schodach przed wejściem, szarpała lekko kołnierz swojej kurtki.

– Podrzucić cię? – ciągnęła.

Skinienie gdzieś w dal. Podniosłem się i niepewnie poszedłem za nią. Zatrzymała się przy czarnym błyszczącym PV.

– Wóz mojego ojca.

– Fajny – odpowiedziałem.

Chwilę później byliśmy już w drodze. Siedzenie pod tyłkiem było zimne, oddechy osiadały parą na szybie. W zapadających zimowych ciemnościach włączyłem dmuchawę i ogrzewanie. Samochód z przeciwka zatrąbił potężnie i zamrugał światłami. Szperała chwilę w przyciskach, nim znalazła wajchę i wyłączyła długie światła.

– Nie masz jeszcze osiemnastki?

Nie odpowiedziała. Odchyliła się na siedzeniu w tył, z ręką na drążku skrzyni biegów. Trzymała się środka drogi. Pokryta lodem jezdnia znikwała pod nami, zwały śniegu połyskiwały w świetle reflektorów po obu stronach. Na mokradłach leżała niebieska, sztywna tafla.

– Fajnie jest być komunistą? – zapytałem.

Próbowała znaleźć włącznik radia. Samochód zjeżdżał powoli w stronę rowu. Jęknąłem, nagłym ruchem wróciła na właściwy kurs.

– Nie bój się – powiedziała – sporo już jeździłam.

Pojechała starą drogą z Autio do Pajali. Na początku prostego odcinka wcisnęła gaz do dechy. Silnik wył i osiągał coraz wyższe obroty, prędkość rosła jak gorączka. Powietrze lizało lodowi) powłoką karoserię i szyby, rozpościerało się zimnem na wypukłym dachu.

– Tu często stoją renifery – powiedziałem.

Zaśmiała się i jeszcze bardziej przyspieszyła. Zrozumiałem, że lubiła ryzykować i straszyć innych. Gdybym w tym momencie zapiął pas, udałoby się jej. Zamiast tego zbierałem się w sobie, usiłując jednocześnie wyglądać na wyluzowanego, i wpatrywałem się w skraj lasu, gotowy w każdej chwili przyjąć bezpieczną pozycję w razie kolizji.

Po wielu manipulacjach udało jej się złapać fińskie radio. Tango w tonacji moll, kobieta śpiewająca o miłości i smutku. Samochód wspinał się po zakrętach na szczyt wzgórze, zostawiając za sobą melancholijny dym. Serce zapadające się w zimny krajobraz, krwawy ślad. Ukradkiem zerkałem na dziewczynę, w ciemności dostrzegłem jej profil, krągłość podbródka, pełne usta, łobuzersko zadarty fiński nos. Poczulem ochotę, by ją dotknąć. Całować.

– Co można robić w Pajali? – spytała.

– Licho wie – odparłem.

Byliśmy już przy Manganiemi, po chwili pędziliśmy przez stary most. Światła wioski przebiły się przez las i rozbłysły białą poświatą na stromym brzegu rzeki. Dodała gazu, chociaż z przeciwka wąską jezdnią mostu nadjeżdżała Scania Vabis. Przemknęliśmy tak blisko, że nawet gazeta „Haparandabladet” by się nie zmieściła. Ciężarówka zatrąbiła wściekle, tymczasem dziewczynie nie drgnął żaden mięsień twarzy.

– Grają coś dzisiaj w kinie?

– Nie sądzę – odpowiedziałem.

Co innego można by wymyślić? Pomyślałem o koledze z klasy, który w kotłowni miał króliki. Karmił je na wpół zgniłymi jarzynami z Konsumu, które i tak by wyrzucili. Czasem można było podpatrzeć, jak króliki się dupczą. Ale to przecież zbyt dziecinne, pomyślałem.

– Możemy popatrzeć na trening hokeja reprezentacji Pajali. Pod koniec tygodnia grają mecz ligowy z Ötå-Kuiva.

Pokazałem jej, jak ma jechać, najpierw prosto, potem w prawo przy podobnym do pudła po butach sklepie Arthura i dalej w stronę centrum wąską uliczką z sklepem obuwniczym Harjuhahto, papierniczym i fryzjerem męskim Larssona, piekarnią Wennberga, kioskiem Mikaelssona i cukiernią Lindqvista. Przy szkole skręciliśmy i znaleźliśmy się przy lodowisku. Zaparkowaliśmy samochód, który dopiero teraz nareszcie się nagrzał, i podążyliśmy wydeptaną w śniegu ścieżką.

A tam ruch na całego. Ogromne opancerzone chłopaki w żółto-czarnych koszulkach trenujące na całym lodowisku jazdę do tyłu po kole. Nie pochodzący z tych stron, ale osiadły tu trener Stenberg, brodaty policjant, dmuchał w gwizdek i kłął inspirująco:

– Do kitu, cholera, ścinacie zakręty! Większe koło, do diabła!

Potem była rozgrzewka dla bramkarza – okrutne, przerażające strzały, pchnięcia i walenie łyżkowatymi kijami marki Koho, bramkarz tymczasem stał jak skazany na śmierć w swej pośmiertnej masce i zbierał siniaki mimo ochraniaczy. Część krążków ze świstem szybowała ponad bandą i lądowała daleko na łące, gdzie szczęściarze znajdowali je w czasie odwilży.

– Strzelać, do kurwy nędzy, do diabła i jego pierdolonej babki! – ryczał Stenberg, który z własnej inicjatywy ogłosił nabór i rozpoczął treningi w każdej z małych wiosek na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów.

Następnie odbył się mecz treningowy. Nieokrzesa naparzanca, więcej w niej było chęci niż taktyki. Łomotanie w bandy, jeżdżenie na tyłku i strzały, aż jęczały kije. Długowłosa napastnik w jednej z drużyn miał starego typu osłonę na zęby i wyglądał przez to jak owczarek w kagańcu. Przyspieszał, wkładając w to całą swą ogromną masę mięśni, wcinał się między obronę z takim impetem, że osłony biodrowe skrzydłowych odfruwaly na boki jak po kolei zarzynane renifery. Gorzej było z kontrolowaniem krążka. Na szczęście zdołał podać go do tyłu na czas, by jadący za nim mogli strzelić przez przecinkę. Jego odpowiednikiem w przeciwnej drużynie był szczupły blondyn o nieobliczalnych odruchach. Zamierał jak jaszczurka, a przepuszczając krążek, podkręcał kij jak błyszczącą igłę wokół delikatnego na krawędziach gumowego pocisku.

Staliśmy na śnieżnej zaspie przy bandzie i przez chwilę się przyglądaliśmy. Przysunąłem się do niej, niby przypadkiem, nasze kurtki spotkały się. Żuła gumę, pachniało lukrecją, gdy próbowała robić balony. Zauważyłem, że zadrżała i mocniej otuliła szyję arafatką.

– Marzniesz?

– Trochę.

– Możemy... mam kumpla, który ma króliki...

– Ale dziecinne – powiedziała i owinęła sobie gumę wokół palca.

Zamiast tego powinienem objąć ją ramieniem. Za późno. Czuję się jak fujara. Chciało mi się wrócić do domu i trenować rify przed lustrem. Zauważyła, że się cofnąłem. Stała się łagodniejsza, przez chwilę nawet zdawała się zainteresowana meczem.

– Powinni więcej ćwiczyć szybkie podania – powiedziałem. – Jak Rosjanie. To tutaj jest bardziej kanadyjskie. Czysta siła, no wiesz, hokej drwali.

Na chwilę zagłębiłem się w analizę gry, chwalać błyskotliwą technikę Rosjan, która brała się stąd, że na treningach odczepiali dolną część kija i grali samym tylko trzonkiem. Po pewnym czasie zauważyłem, że ją to nudzi. Wkrótce potem ja również zacząłem marznąć.

– Możemy zajrzeć na gimnastykę dla gospodyń domowych.

Skinęła głową i popatrzyła mi w oczy zdecydowanie za długo. Szybko jednak odwróciła wzrok, jakby się zdradziła. Poczuję, że serce mi łomocze, poszedłem przed nią w kierunku sali gimnastycznej oddalanej o kilkaset metrów.

Drzwi do damskiej przebieralni nie były zamknięte. Wśliznęliśmy się do środka. Hałaśliwy jazz rozlegał się ze szkolnego magnetofonu. Śmierdziało rybą i pokostem, jak to zwykle bywa w

starych salach gimnastycznych, ohydny zapach tortur dolatujący z pasów, skrzyń i obręczy. Plus kwaśna mieszanka zapachu babskiego potu i łona. Ubrania pań wisiały na haczykach w przebieralni, zrolowane wełniane spodnie, halki niczym namioty, kwieciste sukienki, rajstopy, miseczki biustonoszy większe niż moja czapka. Na podłodze stały siatki z zakupami, ortalionowe torby i wykoślawione kozaczki, buty na filcu i trzewiki ze spiczastymi noskami, w kałużach stopniałego śniegu.

Skradałem się w kierunku sali. W środku było oślepiająco jasno. Nagłe trzęsienie ziemi przeszło przez cały budynek, belkowanie zadrzało. Kobiety trenowały skoki z trampoliny. O cholera, jak się te ciała trzęsły! Cycki podskakiwały jak worki mąki, zwały tłuszczu pęczniały jak ciasto drożdżowe. Całe szczęście, że nie skakały równo w rytm muzyki, bo gdyby podskakiwały jednocześnie, podłoga by się zarwała. Potem były podskoki po całej sali. Dudniące słoniowe stąpanie ogromnych łydek wzdłuż drabinek. Pot spływał po podwójnych podbródkach w dekolt; żylaki lśniły krwistą czerwienią. Ciągnij, ciągnij – zachęcała prowadząca zza magnetofonu, a czterdzieści silnych ramion gospodyń gięło się jak brzozy w czasie burzy. I hej i ho, i wprzód, i skłon – i dwadzieścia gigantycznych dup, które wydały na świat setkę dzieci, majtało w powietrzu. Pot spływał z tyłków po tłustych grzbietach, łona wydzielaly silny odór. I w górę raz, i hopsasa, kroczek w bok i biodra w przód. Były oczywiście kolizje z niesłychanym impetem. Baby padały jak dwutonowe bomby, ślizgały się w pocie na pokostowanych deskach podłogi, wyczołgiwały się i wstawały nieugięte. Sala cuchnęła moczarami i klimakterium. Śmierć i rodzenie w odwiecznej mieszance, babskie podniecenie.

Dziewczyna chwyciła mnie za włosy. Wplotła w nie swoje zmarznięte delikatne palce. Dreszcz przebiegł mi po plecach aż do bioder. Poczułem, że kolana mi miękną, musiałem usiąść. Ześliznęła mi się na kolana, wypluwając gumę. Jej źrenice urosły do rozmiaru czarnych przerebli. Zaczęłam pieścić kciukiem jej pokryty meszkiem podbródek, linię szczęki w tył, w górę do zakrętasów uszka. Przybliżyłem się do jej twarzy. Zamknąłem oczy i szukałem jej skóry. Policzki tajały, paliły. Zaczęła oddychać szybciej, podniecona. Czułem, jak się uśmiecha pod moimi wargami. Rozchyliliśmy kurtki. Ciało blisko ciała. Jej młode piersi były jędrne i sterczące. Objąłem ją ramionami, ścisnąłem ze łzami w oczach, czułem przepelniające mnie szczęście. Być razem. Mieć dziewczynę.

Nagle jej ręka znalazła się pod swetrem. Lodowata, ale miękka od miłości. Pieściła moje wrażliwe mięśnie na plecach, sprawiła, że drżały. Szybciej, bardziej niecierpliwie. Szczypała trochę. Drapała.

– Chcesz... ze mną chodzić? – wyjąkałem.

W odpowiedzi jej ręka powędrowała do moich spodni. Zmieniła się w szczura, który łaskocząc, przebiega po pośladku, biodrze, pędzi po pachwinie. Spiąłem się.

– Spokojnie – zaśmiała się cicho, ukazując białe zęby.

Chciałem jej powiedzieć, że mam jeszcze niewiele włosów, przygotować na rozczarowanie, ale już tam była. Uwijała się zwinnie po mosznie, jak pająk, gdy złowi muchę. Chwyciła sztywnego małego. Byłem w pułapce, nie mogłem uciec. W tym momencie mnie pocałowała, wcisnęła głęboko swój długi, smakujący krwią język. Czułem, jak kręci mi się w głowie, po omacku błądziłem po jej piersiach, niezdarnie i szorstko. Popchnęła mnie w tył, w dół na ławkę. Ściągnęła swoje dzinsy. Chciałem ją dotykać, ale odepchnęła moją rękę.

– Ale się guzdrasz – powiedziała bezlitośnie i popchnęła mnie w dół.

Przyciśnięty leżałem płasko na łopatkach. Położyła się na mnie jak porządkowy. W tle słychać było tupanie kobiet.

– Jesteś taka... ładna... – wymamrotałem nieśmiało.

Zamknąwszy oczy, zachłannie wcisnęła mnie w siebie. Głęboko w najciemniejszą wilgoć. Była tak ciepła i miękka, jak poduszka. Wężowymi ruchami zaczęła się nade mną kołysać, powolny i czuły taniec, w którym coś rosło, cały czas się powiększało. Obraz malowany na czerwono, coraz bardziej czerwono, aż płótno stało się mokrą powłoką. Odpowiadałem podobnymi ruchami, byłem tym wszystkim oszołomiony. Zwiększyła tempo i zaczęła piskliwie pokrzykiwać. Stała się bardziej gwałtowna, dzika, jak pies, który gwałci kanapę. Zakryłem jej usta dłonią, ale mimo to krzyczała. Ostry koci pisk.

– Cicho, usłyszają nasi – ostrzegłem, czując, że skóra mi się napina. Wybrzusza. Ucisk, krwotok.

Próbowałem się wysliznąć, żeby przerwać, ale mnie przytrzymała. Stawało się coraz większe i silniejsze. Łaskotanie nożem, aż zrobi się dziura. Jej włosy zwieszały się ciężko nade mną. Ciemne, mięsiste chmury.

I teraz. Teraz, tak teraz, teraz, teraz, cały świat rozprysł się i deszcz lunął z czarnych chmur.

Kiedy otworzyłem oczy, stała tam jedna z kobiet. Góra mięsa z Vittulajänkä. Świdrujący wzrok spod przeopconej trwałej, krople potu spadające ciężko z nosa i podbródka. Zrozumiałem, że zaraz zacznie krzyczeć. Zwoła wiedźmy, stworzy atmosferę linczu. Przycisną nas do podłogi stukilowymi tyłkami i sprawdzą, czy jesteśmy kieszonkowcami. Ktoś powie:

– *Kulli pois!*

A potem któraś z Leśnych Laponek przeżuje moje jaja na mielone jak ryczącemu bykowi renifera o białych oczach.

Przerażony wyciągnąłem interes, podciągnąłem portki, tymczasem babsztyl przyglądał się krytycznie sflaczałym resztkom wzrodu. Tupanie dochodzące z sali było ciężkie i okrutne.

– Dużo hałasu o nic – powiedziała, uśmiechając się.

Po czym napiła się wody z kranu, dała spokój łobuzowi i wróciła do sali gimnastycznej. Silny zapach obory towarzyszył nam przez całą drogę na zewnątrz.

Dziewczyna wsiadła do PV i powiedziała cześć. Nie dałem jej zamknąć drzwi.

– Zobaczymy się jutro? – zapytałem.

Patrzyła przed siebie, napinając obojętne wargi.

– Powiedz chociaż, jak masz na imię.

Pomajstrowała chwilę i zapaliła silnik. Wrzuciła bieg i samochód zaczął się toczyć. Biegłem z boku, uchwyciwszy mocno drzwi. Wpatrywała się we mnie ogromnymi ciemnymi oczyma. I nagle maska opadła. Rozprysła się, połamała, a pod spodem była tylko wielka rana aż do żywego mięsa.

– Jadę z tobą! – krzyknąłem zdesperowany.

Dodała gazu, drzwi wysliznęły mi się z rąk. Ruszyła z piskiem opon i w świetle latarni zniknęła w chmurze śniegu. Odgłos silnika stawał się coraz słabszy, w końcu całkiem zamarł.

Przez długą chwilę stałem bez mchu, tymczasem wsączała się we mnie prawda. Nie miała kluczyków. Samochód był uruchamiany na kabel. Gdy ból zapuszczał korzenie w moje wnętrze, zrozumiałem, że nigdy więcej jej nie zobaczę.

ROZDZIAŁ 20

O przyjęciu urodzinowym, gdzie wykonuje się Pieśń Tornedalską, przybywa drużyna myśliwych i jak czterech młokosów myślą sięga gwiazd

Mój dziadek z czasem stawał się coraz większym samotnikiem. Dobrze się czuł sam ze sobą, a po tym, jak babcia umarła, ubzdurał sobie, że ludzie sprawiają problemy. Mieszkał w chacie na uboczu i sam się o siebie troszczył, mając w życiu ostatnie życzenie: móc umrzeć we własnym domu. Gdy go odwiedzaliśmy, był miły, ale powściągliwy. Nie chciał, do cholery, do żadnego domu starców, miało to być dla nas zupełnie jasne. I wcale nie miał nieposprzątane, miał przytulnie.

Czasu jednak nie mógł zatrzymać, nieuchronnie zbliżał się więc lutowy dzień, gdy staruszek miał skończyć siedemdziesiąt lat. Krewnych dręczyły wyrzuty sumienia, że tak rzadko go odwiedzają i wspólnie postanowili, że trzeba zorganizować huczne przyjęcie. Chcieli mieć kilka zdjęć do rodzinnego albumu, zanim staruszek będzie zbyt zwapniały.

Wymagało to mnóstwa perswazji, nim najważniejsza osoba się zgodziła, bynajmniej nie ze względu na siebie, lecz ze względu na rodzinę. Nie przeczuwając niczego złego, przyglądał się, jak rozpoczynano przygotowania. Już tydzień wcześniej chata wypełniła się krewnymi, którzy zeskrobywali z desek podłogi odór spoconych nóg, szorowali gałgankowe chodniki, w zimowym chłodziu pucowali denaturatem stare okna, wytrzeptywali środek przeciw molom z czarnego pogrzebowego garnituru, myli klosze, usuwając stary łój, zmieniali ceraty, wycierali kurze we wszystkich zakamarkach, znajdując niepojęte ilości pajęczyn i zdechłych much, wynosili rupiecie do stodoły, ustawiali buty w nienaturalne rzędy i wzory, przewracali w szafach i szufladach, aż nic nie było już na swoim miejscu i niczego nie można było znaleźć. Dziadek zdążył się kilka razy rozmyślić, jęczał i przeklinał, chcąc wyrzucić wszystkich intruzów, ale to było jak „Dzień D” – operacja niemożliwa do przerwania, gdy już się rozpoczęła.

Urodziny przypadały w piątek. Moją siostrę i mnie zwolniono ze szkoły i dość wcześnie, za dnia, wyruszyliśmy z rodzicami do chaty dziadka. Było pogodnie, minus dwadzieścia stopni, suchy i bezwietrzny mróz kładący się szronem na szybach samochodów, pokrywający drzewa chropowatymi lodowymi igłami. Ostatnie poranne gwiazdy gasły na niebie. Nad lasami rozpościerała się niebieska poświata. Ojciec zaparkował samochód na odsnieżonym podwórku, szliśmy, stawiając kroki w skrzypiącym śniegu, otrzepaliśmy buty na ganku. Stary pies w sieni zaczął ujadać. Był na wpół ślepy i miał paskudny zwyczaj gryzienia, dlatego chwyciłem miotłę i czekałem w pełnej gotowości, gdy dziadek otworzył drzwi.

– *Tekkös sieltä tuletta?* Ach, to wy? – powiedział po fińsku, udając zaskoczonego. Mama wyciągnęła spod płaszcza kwiaty, które schowała tam przed mrozem, tato, gratulując, uścisnął mu dłoń, a ja potraktowałem miotłą atakującego fińskiego szpica tak, że wyjąc, sturlał się ze schodów.

Zasiedliśmy przy kuchennym stole, dochodziło do nas tykanie zegara z wahadłem. Chata wyglądała nienaturalnie czysto.

Dziadek siedział w bujanym fotelu, nerwowo przebierał palcami po krawacie, ciasno zapięty kołnierzyk uwierał pomarszczoną szyję. Wszystko było sztuczne i sztywne, tak jak to być

powinno przy okazji podniosłych uroczystości. W porze obiadowej zaczęli pojawiać się stryjowie ze swoimi żonami, na stołach znalazły się ogromne torty z bitą śmietaną. Ktoś zajął się parzeniem kawy i napełnianiem termosów, tymczasem ja i siostra pomagaliśmy smarować kromki chleba *rieska* i kładliśmy na nie soczyste plasterki pieczeni z łosia. Inni układali na tacach świeżo upieczone ciasteczka, a cudowny zapach cynamonu, kakao i wanilii rozszedł się po całym domu.

Na zewnątrz blade lutowe słońce przebiło się przez śnieżną zaspę, sprawiając, że zimowy dzień zaczął się skrzyć. W oddali na łące kilka reniferów kopało w śniegu i zlizywało zwiędłe źdźbła. Parę renów leżało w śnieżnych zagłębieniach z podwiniętymi nogami, zatrzymując ciepło, wystawały tylko same ciemne głowy. Stary pies zdawał się najwyraźniej nie zwracać na nie uwagi, węszył natomiast przy dołku wysikany przez dziadka. Kilka sikorek obsiadło przymocowany za oknem kawałek słoniny. Cały krajobraz nurzał się w białym świetle tundry, w słońcu tak kompletnie pozbawionym ciepła, jakby było pokazywane na filmie.

Przez całe popołudnie napływali nowi goście. Samochody wypełniły podwórko, a nawet drogę dojazdową. Najbliżsi sąsiedzi przybyli na fińskich sankach, dwie osoby spokojnie przyjechały na przełaj przez łąki na nartach. Uroczystości zaczęły nabierać tempa. Goście zasiadali przy kilku długich nakrytych stołach; wychudłe dziadki ze łzawiącymi oczyma i topniejącymi kawałkami lodu na brwiach oraz wciśnięte w odświętne, kwieciste sukienki krągłe babcie o przedramionach grubych jak maślane bochenki. Kawę siorbano ze spodków, częstowano kanapkami z łososiem i ciastkami. Rozpalono porządnie pod starą kuchnią, by było cieplej, a kobiety zaczęły wspominać dawne czasy i nabrały ochoty, by upiec chrupkiego chleba.

Po dokładce nastał właściwy czas na wyciągnięcie koniaku. Ojciec odkorkował kupną flaszkę i obniósł ją dookoła. Szklaneczki napełniały się gdzieś na milczące skinienie, a kierowcy zasłaniaли swoje dłonie. Atmosfera nieco się ożywiła. Mama kroїła tort i nakładała na talerzyki. Trochę wiwatowano na stojąco, dziadek tymczasem pocił się, siedząc w swoim fotelu. Ojciec dolał mu koniaku, dla lepszego samopoczucia. Następnie odśpiewano „Sto lat” zniekształconą szwedzczyzną z pełnymi szacunku minami. Staruszek był onieśmielony całym tym przesadnym przymilaniem i skulił się za stolikiem z wiechami kwiatów. Potem dostał rozkaz rozpakowania prezentów. Specjalnie nie zajął się nimi wcześniej, żeby ludzie nie pomyśleli, że tylko dlatego zaprosił ich na przyjęcie, mądra ostrożność w tornedalskich okolicach. Niezdarnymi palcami zaczął szarpać diabelnie mocne wstążki i taśmy, nim stryj się zlitował i znalazł *puukko*. Szybkimi ruchami noża staruszek rozcinał błyszczący papier jak brzuch szczupakowi i wyciągnął podobiznę łosia na szkle, rzeźbiony zegar kuchenny na baterie, łopatkę do tortów z tornedalskiego srebra, ozdobny kubek z cyny, koronkowe serwetki, lapoński gobelin z łańcuszkiem do zawieszenia, eleganckie etui z przyborami do golenia, księgę gości oprawną w naturalnie garbowaną skórę renifera, egzotyczną draperię z muszelek, grawerowaną wizytówkę na drzwi z napisem „Witamy” i podobne, nieprzydatne drobiazgi. Dziadek powiedział po szwedzku, że to zbytek, co było znakomitym podsumowaniem kosztownych udziwnień, których człowiek wcale nie potrzebuje. Nikt nie odważył się sprezentować przedmiotów naprawdę potrzebnych, takich jak na przykład siekiera albo nowy układ wydechowy do samochodu, ponieważ to mogłoby oznaczać, że obdarowany zaniedbywał swoje codzienne obowiązki.

Pod wieczór przyszło z wizytą Towarzystwo Przyjaciół Pajali, ze dwadzieścia miłych cioć i wujków uprzejmie witających się – niczym prawdziwi Szwedzi – uściśnięciem dłoni. Wiele osób przyniosło kwiaty z ozdobnie wypisanymi bilecikami. Po kanapkach i torcie wyjęli śpiewniki i zabrzmiały drżące, nieco piskliwe głosy. Szwedzkie ludowe przyśpiewki ze szkolnych czasów, znane, popularne piosenki dla wszystkich, ukłon w stronę rodzinnych stron. Tato częstował

koniakiem, dyskretnie omijając laestadian. Na koniec drżącym głosem zaintonowano Pieśń Tornedalską, powoli i dostojnie:

*Bądź zdrowa piękna Tornedal
Nasz domie hen na północy
W spienionych Torneälven fal
Odwiecznej magicznej mocy.*

Niektórzy ze starszych wzruszyli się i zaczęli ocierać łzy. Dziadka nieoczekiwanie chwyciło za serce, obwódki oczu mu się zaczerwieniły, szklanka w ręce zaczęła dygotać, mama musiała ją więc zabrać. Mało brakowało, a cała chata wybuchłaby płaczem. Zwłaszcza gdy śpiewano ostatnie zwrotki po fińsku, serce poruszyło się w brzuchu, zadrżało gorejące i obnażone.

Przez chwilę wszyscy siedzieli zatopieni w melancholii. Pozwalali się napełnić fińskim cierpieniem i rozważali w ciszy wszystkie katastrofy, które dotknęły rodzinę; wszystkie te niemiłosierne ciosy, wszystkie niedorozwinięte noworodki, wszystkie dzieciaki z chorobami psychicznymi, głód, nędzę, przymusowo zabijane konie, wszystkie gruźlicę i polio, wszystkie lata nieurodzaju, wszystkie nieudane próby przemytu, całe prześladowanie i poniżanie ze strony władz i zwierzchników, wszystkich samobójców, wszystkich zdrajców i łamistrajków, wszystkie te razy, gdy zostało się oszukany na pieniądze, wszystkich okrutnych nauczycieli i chciwych kierowników w przedsiębiorstwach, wszystkich tych z czarnych list, wszystkich robotników, którzy pojechali do Związku Radzieckiego, by pomóc Stalinowi, ale w ramach podziękowania zostali rozstrzelani, wszystkich tych okrutnych nadzorców drwali, wszystkich sadystów w internatach, wszystkich, którzy zapili się na śmierć, wszystkich, którzy utonęli podczas spławiania albo zginęli w kopalni, wszystkie łzy, wszystkie rany, cały ból i poniżenie, którego doświadczyła nasza uciśniona rodzina w czasie mozolnej wędrówki przez życie.

Na zewnątrz stalowoszary zimowy zmierzch przeszedł już w ciemność. Gwiazda polarna zwiślała jak sople z zimowego dachu. Otaczały ją tysiące migoczących punktów, temperatura tymczasem spadła jeszcze o kilka stopni. Las był zamrożony, zastygły, nie poruszała się nawet jedna gałązka. Przerazająca cisza zapanowała nad całą tajgą, nad rozległymi połaciami lasów rozpościerającymi się przez prawie niezamieszkaną Finlandię, poprzez ogromne obszary Rosji, przez jeszcze ogromniejszą Syberię, hen, po odległe brzegi Oceanu Spokojnego, nieruchoma leśna pustynia, przytłoczona śniegiem i mrozem. Głęboko w rozgałęzieniach potężnych świerków kryły się sikorki przypominające puszyste kulki. Jedynie tam, w głębi, odczuwało się ciepłe delikatne pulsowanie.

Nagle po kuchni rozszedł się szmer. Drużyna łowiecka! Myśliwi nadchodzą! Przewodniczący towarzystwa etnograficznego wstał i wygłosił uprzejme, aczkolwiek krótkie podziękowanie, a dziadek obiecał podarować lokalnej zabytkowej chacie stary nielegalny oścień, bo i tak kiepsko już widział po ciemku. Członkowie towarzystwa odwrócili filizanki na spodkach dnem do góry, narzucili kurtki i płaszcze, po czym w mig się ulotnili. Zostało jedynie kilku sąsiadów i emerytów, plus bracia ojca, którzy znów odważyli się kłąć i prosić o dolewkę.

Chwilę później dały się słyszeć kroki na schodach i kopnięciem otwarto drzwi. Do środka wtoczyło się ze dwudziestu milczących chłopów. Przedstawiciel myśliwych powiedział:

– No cześć.

Inni w milczeniu usadowili się przy stole i siedzieli zapatrzeni. Najmłodszy ledwie skończył dwadzieścia lat, najstarszy był już po osiemdziesiątce. Wielu było z nami spokrewnionych.

Rieska, tort i kawa, potem dokończono koniak, zastanawiając się równocześnie, dlaczegóż to Francuzi upierali się, by zabarwiać alkohol na brązowo i nadawać mu smak farby.

Reprezentant myśliwych podniósł się i nim chłopcy zaczęły się spustoszenie, rozpoczął uroczystą przemowę. Z mocą podkreślił, że dziadek nigdy w drużynie myśliwych się nie lenił. Jeszcze nie zramolał, ale gdy tylko to nastąpi, powinien zostać w domu przy zlewie, a mężczyźni załatwią mięso. Do tej pory żadne oznaki starzenia nie dają się zauważyć, powtórzył przewodniczący, staruszek zatem zdaje się być zdrowy na umyśle, ale gdy tylko zacznie, cholera, mówić od rzeczy, nie może się ruszać z domu na krok. Bo nawet stary ramol musi widzieć różnicę między łosiem, a na przykład samochodem, nim wypuści się go ze strzelbą do lasu, to właśnie różni tę drużynę od innych w gminie.

Myśliwi zdecydowanie przytaknęli, a przewodniczący łyknął sobie przed dalszym ciągiem przemowy. Stary może zatem jeszcze nosić strzelbę, wytrzymuje deszcz i chłód i wypełnia swój obowiązek, niech mu tylko, jasny gwint, żyły nie zwapnieją. Wtedy lepiej siedzieć w domu i pierdzieć w kanapę. Nawet jeśli teraz niczego nie można zauważyć, to tylko kwestia czasu, a mózg stanie się breją, a wtedy to już po ptakach, to musi sobie staruszek jasno i dokładnie uzmysłowić!

Po tym serdecznym, uroczystym przemówieniu okolicznościowym przekazano na ręce dziadka puchar z wygrawerowanymi imionami i nazwiskami wszystkich członków drużyny, nawet psów. Niektóre były źle napisane, bo popełniono błąd, zamawiając grawerowanie w Luleå, gdzie ludzie nie są przyzwyczajeni do fińskich nazwisk, ale za przyznaną zniżkę zakupiono ponadto flaszkę z zawartością.

Dziadek odparł na to, że błędy wynikają z pewnością z ich własnych bazgrołów, a jego kondycja pod wszelkimi względami może równać się z kondycją osiemnastolatka, widzi jak orzeł i słyszy pierdzącą kłepę z odległości stu metrów, a jeśli weźmie się pod uwagę wszystkie zapite komórki mózgowe w drużynie, to z pewnością nie on pierwszy będzie gadał od rzeczy. Po czym podziękował za butelkę, a zwłaszcza za zawartość, bo to był ostatni mocny towar, jaki został w całym domu, a gdy się skończy, przez całą resztę wieczoru będą częstować kawą.

Chłopcy wzdrygnęły się. Dziadek nalał wszystkim po naparstku i butelka była już pusta. Nie mogąc wykszusić słowa, niemal ze łzami w oczach, mężczyźni wzniesli szklanki i wychylili. To niemożliwe! Cholerne skąpiradło! Teraz, gdy udało im się wreszcie wyrwać z domu od swoich kobiet.

Dziadek zerknął w bok, dając znak. Ojciec cicho otworzył klapę w kuchennej pochodzę i zszedł w mrok. Równie szybko wyłonił się z powrotem i z brzękiem postawił flaszki na stole. Dwie z każdej ręki. A dziadek zaczął rechotać pełną gębą.

– Macie, chłopaki, żłopcie! – ryczał, aż brzuch mu podskakiwał.

Mężczyznom ulżyło, niemal zaczęli szlochać. Nikt nie przejmował się, że butelki nie miały oryginalnych zakrętek. Wreszcie bachanalia mogły się rozpocząć.

To było szczęście. Szczęście picia. Chlania. Zalewania się do utraty wzroku i słuchu, wśród przyjaciół, bez zrzędliwych komentarzy. Wlewać w siebie, aż mały staje, a język w gębie trzepocze jak proporczyk. Opróżnić butelkę, a na stole natychmiast pojawia się nowa, gdy nie trzeba sobie skąpic i mierzyć linijką, nie trzeba płacić ani siedzieć splukanym i na wpół trzeźwym w snobistycznej knajpie, zastanawiając się, gdzie podzieli się koledzy.

Wspaniała obfitość. Nie jakies tam skąpstwo małorolnego chłopca ścibiącego skrawki słoniny i zaplesniałe ziarno na siew, ale ekstaza myśliwego w obliczu setki kilogramów parującego mięsa. Uchlać się, napruć, nażłopać bez umiaru, jeden jedyny raz przestać myśleć o jutrze.

Panie, które pozostały, w tym również moja mama, dostrzegły oznaki zbliżającego się sądnego dnia i posępnie się wyniosły. Panowie jednogłośnie przyrzekli nie pić za dużo, ale ich języki były rozdwojone aż po samą nasadę. Moja starsza siostra też opuściła towarzystwo, by nie stać się obiektem chuci, musiałem więc przejąć jej obowiązki i zacząć zmywać filiżanki.

Niektórzy wpadli już w rubaszny nastrój i nazywali mnie *ktiapsu*, zastanawiając się, dlaczego mam takie małe cycki. Kazałem im się odpieprzyć i pocałować w dupę.

Chwilę później z zewnątrz dobiegł odgłos silnika. Gdy wyrzałem, okazało się, że to nasz zespół. Niila, Erkki i Holgeri dotarli starym volvo kombi, prowadzonym przez kuzyna. Pomogłem im wyładować wzmacniacze, gitary i nieco na dzisiejszą okazję uszczuploną perkusję. Zanim zabraliśmy się za podłączanie do prądu, ustawiliśmy wszystko przy piecu, by się ogrzało. Greger niestety nie mógł przyjechać, właśnie prowadził kilka ważnych rozmów telefonicznych, ale później może się pojawi.

Impreza osiągnęła stadium serdeczne. Zaczęły się opowieści, przechwałki i pornograficzne historie po fińsku i szwedzku. Ktoś zaczął śpiewać *Rosvo Roope* z przymkniętymi oczyma, chwilę później zabrzmiało *Villiruusu*, chociaż kilku prosiło, by dał spokój z pieśnią Korpela, bo to budzi wspomnienia.

Nawet ojciec zaczynał być na niezłym rauszu. Chwiejnie wycofał się z kilkoma pustymi flaszkami w garści i ledwie zdołał uniknąć sturlania się do piwnicy. Chłopy rechotały, a ojciec ze złością przeklinał idiotę, który zostawił klapę otwartą, chociaż zrobił to on sam we własnej osobie. Potem już przekazywał puste butelki mnie. Balansowałem w dół po spróchniałych stopniach, czułem uderzającą we mnie wilgoć i chłód. Tam na dole czuć było piaszczystą ziemię i kartofle. Na drewnianych półkach stały słoiki z konfiturami z żółtych malin i borówek, resztki okrojonego peklowanego łososia, kilka skrzynek piwa, puszka kiszonych i beczułka solonych śledzi. Na klepisku leżało kilka desek, a na nich stały flaszki z alkoholem. Dyskretnie napełniłem butelkę po lemoniadzie i przemyciłem chłopakom.

Gdy pierwsi z myśliwych wyszli się odlać, rozstawiliśmy się przed piecem. Pociągnąłem rozgałęźnik do gniazdka w ścianie, mając nadzieję, że główny bezpiecznik wytrzyma. W zimnych lampach wzmacniacza zatrzeszczało niepokojąco, gdy prąd zaczął płynąć. Niila i Holgeri podłączyli swoje gitary, a Erkki usadowił się na taborecie za swoim werblem i hi-hatem. Podłączyłem mikrofon do dodatkowego wejścia we wzmacniaczu basów i odkaszlnąłem, przygotowując struny głosowe.

Mężczyźni śledzili nasze majstrowanie podejrzliwymi spojrzeniami. Ale gdy Niila zaczął akompaniament w takcie na trzy, odprężyli się. Wszyscy rozpoznali stary szlagier, którego nauczyliśmy się specjalnie, by uczcić dzisiejszy dzień:

– *Oi muistatkos Emma sen kuutamoiilan, kun yhdessä tansseista kuljettin...*

Wszyscy opuścili szklanki, nie ruszając się z miejsca. Impreza osiągnęła już stadium melancholijne, a muzyka wpasowała się w to znakomicie. Śpiewałem zwrócony w stronę dziadka, a on onieśmielony odwracał wzrok.

– *Oi Emma Emma, oi Emma Emma, kun lupasit olla mun omani...*

Kontynuowaliśmy piosenką *Matalan tarpan balladi*. Nastrój stał się tak przepełniony smutkiem, że okna zaparowały. Na koniec wykonaliśmy Pieśń Miłosną z Erkheikki, a był to powolny walc w tonacji moll z pełną żalu solówką Holgeriego, która nawet kamień doprowadziła do płaczu.

Potem chcieli z nami wznosić toasty. Zgodnie z panującym w Tornedalen zwyczajem, nikt nie skomentował występu ani jednym słowem, ponieważ niepotrzebna pochwała wiodła z czasem tylko do przesadzonych planów na przyszłość i bankructwa. Ale po oczach widać było, co czuli.

Usiedliśmy w kącie i popijaliśmy ukradkiem z butelki po lemoniadzie. Myśliwi natomiast nabrali ochoty na trochę ruchu. Przeszło już pierwsze znieczulenie, chcieli wyprostować nogi i podyskutować. Jeden zatoczył się do nas, pytając o nasze stanowisko polityczne. Inny był ciekaw, czy to, co napisali w gazecie „Aftonbladet”, to prawda, mianowicie czy dziewczyny w obecnych czasach są bardziej napalone. Na pierwsze pytanie odpowiedzieliśmy wymijająco, na

drugie natomiast, że ochota na seks u dziewczyn jest taka sama jak zawsze, nie dają tego po sobie poznać, ale można to zauważyć, gdy jest się już do połowy w środku. Wtedy zaczął zadawać bardziej nachalne pytania, czy mamy dziewczyny, czy są w takim razie napalone i jak często to robimy. I chociaż go olewaliśmy, nalegał i chciał wyciągnąć z nas wszystkie możliwe szczegóły.

Poczułem, że kręci mi się w głowie, chwając się, wyszedłem więc na podwórko. Przy zaspie stało kilku facetów i próbowało sobie przypomnieć, czy już sikali, czy właśnie mieli zamiar. Zdecydowali się na to drugie i wyciągnęli swoje szare interesy. Decyzja okazała się słuszna, bo wkrótce popłynęły strugi. Jeden zaczął bić rekord wysokości w sikaniu na zaspę, drugi poszedł w ślady tego pierwszego. Mój młody pęcherz był naprężony jak napompowana piłka do nogi i z łatwością ich pobiłem. Potem nawet pod rekordem wypisałem moczem swoje inicjały. Rozgniewali się na mnie i grozili, że zanurzą mi jaja w smole. Ująłem jeszcze inicjały w ramkę i znowu musnąłem rekord wysokości, nim zdecydowali się napełnić moje gacie śniegiem, ale wtedy ja byłem już w drzwiach.

Osiągnano teraz drugą fazę znieczulenia. Tę, która jest ostateczna i gładka jak białe prześcieradło śmierci. Szeroki w barach, podobny do niedźwiedzia gość zaczepił mnie i zaczął coś opowiadać. Trzymał mnie za ramię i mruczał coś z powagą, tymczasem jego nabiegłe krwią oczy zataczały kręgi jak ciężkie trzmielce. Nie dało się dosłyszeć, co mówił. Język w ustach miał gruby jak podeszwa, jego mowa brzmiała jak ciężkie człapanie w glinie. Jednemu z młodszych zachciało się debat i zaczął go prowokować, ale jego repliki były równie niejasne. Wkrótce wdali się w gorącą dyskusję, chociaż żaden nie rozumiał, co mówi ten drugi.

Ci, którzy jeszcze nie utracili zdolności artykulacji, utyskiwali, że chce im się pić. Usta były jak papier ścierny, krew wysychała w żyłach, wargi się sklejały, mięśnie twardniały jak suszone mięso. Zanurkowałem do piwnicy, wyciągnąłem ostatnie flaszki i postawiłem przed głosami wołającymi na pustyni. Nie ma już żadnych ograniczeń: gdy się zaczęło staczać po zboczu, pozostawało już tylko spadać dalej. Toczyć się w dal, zapierdalać aż w uszach gwizdże. Taki *oikea mies* nie boi się ani śmierci, ani trzydniowego kaca.

Nawet Erkki i Holgeri byli już na bani. Po Erkkim widać było najmniej, chociaż to on utrzymywał największe tempo. Dyskutował o muchach na łososie z jednym z myśliwych, młokosem z obwisłymi powiekami i zasmarkanym meszkiem pod nosem. Doszli do porozumienia i zgodzili się wypróbować jedno miejsce nad rzeką Tärendö, bo niewiele okazji może być w życiu bardziej doskonałych niż pieczenie świeżo złowionego lipienia na nocnym ognisku, nad szumiącą norrländzką rzeką. Wypili za to, a w oczach zakręciły im się łyzy. Tak piękne jest lato, tak doskonałe i wieczne! Północne słońce nad linią lasu, błyszczące czerwienią nocne chmury. Ani odrobiny wiatru. Rozlewisko jak lustro, ani jednej zmarszczki. Wtem krąg, powoli rozchodzący się po wodzie w zupełnej ciszy. A tam, w środek milczenia, spada ćma. Prężna powierzchnia wody chwyta pyłek ze skrzydeł. Owad sływa w gardziel bystrzy, kotłuje się wśród piany i kamieni. Nad wierzchołkami świerków roją się lekkie muchówki we wznoszącym się, powracającym ciepłe. Wszystko to oglądasz, siedząc w wąskiej szczelinie, jaką jest letnia noc, unosząc się na delikatnej błonce między dwoma światami.

Najstarsi, ci pod siedemdziesiątkę i osiemdziesiątkę, zaczęli się powoli osuwać na krzesłach. Ojciec dostrzegł niebezpieczeństwo, chociaż był już niezłe zwarzony, zwrócił się więc do mnie w języku najbardziej przypominającym tornedalsko-niemiecki. Zrozumiałem jednak gesty i razem chwyciliśmy najstarszego, najchudszego dziadka pod ramiona. Był nadzwyczaj lekki, gdy prowadziliśmy go do ławy w kuchni, stawał raczej nędzny opór. Posadziliśmy go na środku i oparliśmy wygodnie. Następni dwaj mieli bardziej okrągłe kształty i ważyli więcej – tych usadowiliśmy po bokach. Natychmiast się ocknęli i zaczęli pohukiwać jak sowy, ale wkrótce znowu usnęli w swym rządku. Tyły głów znalazły oparcie, a szczęki opadły. Siedzieli tak i

rozdziawiali usta jak pisklęta, ze swymi białymi łysymi czaszkami i pomarszczonymi szyjami. Zasiadłem naprzeciwko nich, próbując trafić w otwarte gęby kostkami cukru, ale ojciec przerwał mi z groźną miną.

Nasz dziadek przyszedł po spacerze za róg chaty. Leciało tak powoli, że palce miał sine z zimna, przeklinał starość i jej okrutne żarty. W czasie jego nieobecności pozostali dokonali straszliwego odkrycia. Alkohol się skończył! Kilku stryjów i myśliwych zebrało się na bełkotliwej naradzie kryzysowej. Przypominali sobie wszystkich co bardziej znanych w okolicy bimbrowników, rozważali stan własnych zapasów w domowych barkach i to, jak można by wynieść flaszki, nie budząc baby. Ktoś zauważył, że wieczór jeszcze wczesny i że stacja benzynowa OK jeszcze powinna być czynna. Można by kupić denaturat, wymieszać z mąką i przecedzić przez filtr do kawy, będzie nie tylko mocne, ale i zdatne do picia i z pewnością bezpieczne dla tych o silnym sercu. Jeden zaofiarował się nawet pojechać taksówką do Finlandii, jeśli wszyscy podzieliliby się kosztami. Kupiłby piwo w nocnym sklepie w Kolari, tyle, ile tylko zmieściłoby się w samochodzie. Celników znał, więc jeśli by go zatrzymali, zaprosi ich na imprezę. Wszyscy stwierdzili, że to dobra propozycja, bo fińskie piwo to najlepsze lekarstwo na kaca, kazali mu też kupić kwaśny chleb i *piimä* i wziąć ze sobą również fińskie dziewczuchy, jeśli się na jakieś po drodze natknie.

W tym momencie dziadek podniósł się dostojnie i wyciągnął pusty, trzylitrowy plastikowy baniak. Z powagą poprosił o napełnienie go wodą. Sąsiad wlał zimnej wody po brzegi, tymczasem reszta przypatrywała się temu w zdumieniu. Dziadek uroczyście wstawił baniak do szafki i zapytał, jak to jest ze znajomością Biblii wśród zebranych. Wszyscy milczeli, myśląc, że staruszek zwariował.

– Jesteście wierzący? – powtarzał dziadek uparcie.

– Neee – wymamrotało kilku.

Wtedy dziadek otworzył szafkę i wyjął pojemnik. Upił łyk i podał dalej, chłopcy pili, jeden po drugim. Gdy kolejka dobiegła końca, wszyscy zakrzyknęli, że dziadek to zaiste Jezus, a właściwie więcej niż Jezus, bo ten zamienił wodę w wino, a dziadek wyczarował prawdziwą wódę. Wprawdzie taką z gatunku pośledniejszych – miała posmak tłuszczu, ale z drugiej strony niewiele rzeczy jest równie zdrowych jak fuzle ze wszystkimi mikroelementami i chromosomami. Ja jeden zauważyłem, że zmieniła się nie tylko zawartość, ale nawet kolor zakrętki, postanowiłem jednak zachować to dla siebie, by nie popsuć atmosfery nawrócenia.

Starszy, tłustawy sąsiad zaczął się osuwać z kuchennego stołka. Zdążyłem tylko złapać go w locie, chroniąc mu skronie, gdy grzmotnął o podłogę. Nie można go było dobudzić, chwyciłem go więc za kostki i odciągnąłem ciało pod ścianę, by nie leżało na środku. Kończyny miał całkowicie sflaczałe. Pod głowę podłożyłem mu gazety, na wypadek, gdyby miał rzygać. W tym samym momencie zasnął następny staruszek, siedząc w bujanym fotelu, z brodą na piersiach. Snus ciekł po koszuli jak roztopiona czekolada. Młokos z meszkiem pod nosem aż się trząśł ze śmiechu, patrząc na idiotycznie wyglądającego dziadka. Ja też zacząłem chichotać na widok wszystkich pijanych świń, zataczających się po chałupie, bełkoczących między sobą, oblewających się przy picciu, wychodzących na śnieg w samych tylko skarpetach, śpiewających z zezującymi oczami, upadających na tyłek i czołgających się jak krokodyle wśród gałgankowych chodników. Ja i ten z meszkiem wspólnie znieśliśmy dziadka ze snusem i położyliśmy go na pochodzę, tuż przy poprzednim. Tę samą procedurę zastosowaliśmy wobec stryja, który w modlitewnej pozie zgaśł na zimnym ganku, dołączył do szeregu jako trzeci. Leżeli tak ramię w ramię jak zaszlachtowane świnię, a my na ten widok rzeliśmy do rozpuku, zginając się wpół. Potem piliśmy niedestylowany bimber, parskaliśmy, łykaliśmy i znów zrywaliśmy boki.

Ojciec z niepokojem wskazał mi trzech starszków na ławie w kuchni. Byli bladzi i nieruchomi. Poprosił mnie, bym sprawdził, czy na pewno nie są martwi. Podeszedłem i zbadałem puls na ich niebieskich od żył nadgarstkach. Nic. Nie, jednak coś, słabe pulsowanie.

Holgeri i Niila weszli, dygocząc z zimna i śmierząc kwasami żołądkowymi. Poprosili o kawę, by pozbyć się ohydnej zgagi, podałem im więc termos. Równocześnie zauważyłem, że ten z meszkiem nagle przestał się śmiać. Usadowił się natomiast krzywo na krześle i zaczął chrapać, dokładnie tak, jak faceci, z których jeszcze przed chwilą się nabijał. Był na dobrej drodze, by upaść, odciągnąłem go zatem, chwytając pod ramiona, i ułożyłem na kolejnym miejscu w szeregu – młody, o czerwonych policzkach, tuż obok zszarzałych weteranów.

Ktoś chciał taksówkę, zatoczył się do telefonu i zamówił. Inny podeszedł do mnie i zaczął szczekać – brzmiało to, jakby pies ssał kość. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, że chodzi o to, by mu pomóc zadzwonić do żony, żeby zawiozła go do domu. Zapytałem o numer telefonu, ale nie rozumiałem, co odpowiedział. Sprawdziłem więc pod jego nazwiskiem w książce telefonicznej i przyłożyłem słuchawkę do jego ucha. Po ósmym sygnale kobieta, która zapewne już dawno spała, odebrała. Mężczyzna zmagał się ze sobą, by się skoncentrować.

– Iszszch... liszszch... fouhe buffaaa...

Rzuciła słuchawką, chociaż z pewnością rozpoznała głos. Sam poczułem, że ziemia kręci mi się pod nogami. Podeszedłem do Niili. Przymknąwszy oczy, siedział z szumiącym tranzystorowym radiem przy uchu. Na falach średnich mógł dosłyszeć głosy umarłych, właśnie otrzymał wiadomość po tornedalsko-fińsku. Brzmiało to dokładnie jak jego ciotka, która zmarła jesienią zeszłego roku, głos szeptał:

– *Paska... paska...*

A potem ucichł tajemniczo. Powiedziałem, że może mają długą kolejkę do toalety w królestwie niebieskim, ale Niila syknął, uciszając mnie. Słuchał z zamglonym wzrokiem.

– Czekaj, tam jest ktoś jeszcze!

– Nic nie słyszę.

– To esperanto! Ona mówi, że... czekaj... że... ja umrę...

W tym momencie przyjechała taksówka. Dwóch najmocniej trzymających się na nogach usiłowało naciągnąć na siebie zimowe okrycia i wytoczyło się przez drzwi. Trzeci, bardzo masywny gość, wyjaśnił mi na migi, że chce się zabrać z nimi. Ostrożnie podtrzymałem go, gdy zśliśmy po schodach i zaśnieżonym podwórku. W połowie drogi do samochodu wydał z siebie przeciągłe, podobne do końskiego, parsknięcie. Potem ciało mu sflaczało, jakby przedziurawione. Runął, nogi mu się ugięły, jakby cały szkielet zmiękł. Próbowałem utrzymać ciężar, ale nie miałem żadnych szans. Sto kilo faceta, upadający wór sadła, krwi, kości i mięsa.

Zbadałem puls. Gość był nieprzytomny, całkiem nieobecny w tym świecie. Ciało leżało i parowało jak kawał mięsa w polarnym mrozie. Taksówka czekała z włączonym silnikiem. Chwyciłem faceta za stopy, próbując ciągnąć tę górę sadła w stronę pojazdu po śnieżnych grudach. Koszula mu się podwinęła i hamowała. Śnieg topniał na plecach, ale nawet chłód go nie obudził. Był ciężki jak trup. W końcu poddałem się i dałem taksówce znak ręką, żeby nie czekała. Stękając, zacząłem z kolei wlec ciało w drugą stronę, z powrotem w kierunku domu. Ślizgałem się, potykałem i pojękiwałem, czułem pot oblewający mi plecy. Centymetr po centymetrze. Żył, widziałem, jak parowało mu z nosa i ust. Rzadka wirująca mgiełka, unosząca się w poświacie latarni na ganku, w górę, w rozgwieżdżone czarne niebo.

Musiałem przystanąć i odsapnąć. I właśnie wtedy, w chwili, gdy podniosłem wzrok, rozbłysła zorza polarna. Ogromne zielone fontanny rozrastały się i pęczniały, fosforyzujące fale światła wytrysnęły pianą. Szybkie, czerwone cięcia siekierą, fioletowy miąższ przeblyskujący w szczelinie. Światło stawało się coraz jaśniejsze, nabierało życia. Pieniące się bałwany

fosforyzujących morskich wirów. Przez dłuższą chwilę stałem w bezruchu i po prostu rozkoszowałem się widokiem. Nagle poczułem, że tam z góry dochodzi cichy śpiew, jakby chór fińskich żołnierzy. Głos zorzy. A może był to wciąż rozbrzmiewający w ostrym mrozie odgłos oddalającej się taksówki. Było tak pięknie, że chciałem paść na kolana. Ten przepych, cała ta wspaniałość! Przeżył zdecydowanie za silne dla nieśmiałego, pijanego tornedalskiego chłopca.

Ktoś trzasnął drzwiami. Erkki podszedł do mnie chwiejnym krokiem i zaczął rozpinać rozpięty. Pokazałem mu, że tuż obok jego stóp leży pijany facet. Erkki zaskoczony stwierdził, że to prawda, cofnął się kilka kroków i upadł. Wygodnie wyciągnięty na śniegu wydłubał interes i sikał tam, gdzie leżał. Ulżyło mu, zamknął oczy. Kazałem mu, do cholery, zapomnieć o zasypianiu i kopniakiem sypnąłem mu śniegiem w facjatę. Groził, że mnie spierze, ale mimo to wygramolił się i stanął na nogach. Razem wtaszczyliśmy starego cholernika do chaty i ułożyliśmy w imponującym szeregu na podłodze.

Ojciec i dziadek siedzieli bladzi przy stole w kuchni i jękali, że staruszkowie na ławie umarli. Podszedłem tam i zbadałem puls całej trójce. Łyse czaszki pochylały się w różne strony, skóra była żółta i przypominała wosk.

– No, nie żyją.

Dziadek kłął na czym świat stoi na myśl o wszystkich tych biurokratycznych komplikacjach, które nastąpią, a potem zaczął chlipać jak staruszek i siąkać nosem, aż kapało do szklanki. Ojciec zaczął wygłaszać podniosłą bełkotliwą przemowę o fińskiej bohaterskiej śmierci, wymieniając: samobójstwo, wojnę, atak serca w saunie oraz zatrucie alkoholowe jako główne przykłady. A dziś wieczorem trzech z naszych lubianych i poważanych krewnych wybrało równoczesne – ramię w ramię – przejście przez Bramy Chwały...

Ten chudy pośrodku otworzył wtedy oczy i zażądał alkoholu. Ojca zamurowało, wytrzeszczył oczy. Dziadek podał swoją usmarkaną szklankę i patrzył, jak opróżnia się w drżących rękach. Śmiałem się z ich min tak, że niemal spadłem ze stołka, i powiedziałem, że to w takim razie prawdziwa impreza, skoro nawet umarli zaczynają chlać.

W chacie zaległ teraz spokój. W szeregu na podłodze leżeli mężczyźni w takich samych pozycjach, w jakich ich ułożyłem, pogrążeni w pozbawionej snów pijackiej śpiączce. Inni pełzali jak żółwie, rozwlekłymi, powolnymi ruchami. Niila siedział oparty plecami o ścianę, całkiem zielony na twarzy. Usiłował trzymać się prosto i popijał od czasu do czasu z czerpaka z zimną wodą. Holgeri leżał tuż obok w pozycji embrionalnej, trzęsły nim drgawki. Większość ucichła i zatopiła się w sobie, tymczasem wątroby próbowały usunąć trucizny, a komórki mózgowe zdychały jak roje much. Erkkemu już niewiele brakowało, by spadł ze swojego krzesła, ale ocaliła go kurtka, która zahaczyła się o oparcie. Żyłasty sześćdziesięcioletni myśliwy był jedynym, który jeszcze utrzymywał się na nogach, oparł się o stół i wykonywał gimnastykę nogami. Prostował je w przód, w górę, rozciągał na boki w zawiłych orientalnych wzorach. Zawsze tak robił, gdy był pijany, nikt mu zatem nie przeszkadzał.

Czułem, jak stan zamroczenia osiąga we mnie punkt kulminacyjny. Głęboko w ciele szumiało, gdy studiowałem ruchy nóg wierzgającego staruszka. Impreza już się skończyła, chociaż była dopiero jedenasta wieczorem. W niecałe cztery godziny myśliwi wleli w siebie po ponad litrze na głowę, a mimo to nikt się nie porzygał – dowód długiego i uporczywego treningu.

Z zewnątrz dobiegł warkot zbliżającego się samochodu, długie światła igrały na tapetach. Po chwili usłyszałem kroki na ganku. Do środka wparował Greger. Dostrzegł mnie.

– Wskakuj, jedziemy!

Ale zatrzymał się na chwilę. Wolno obrócił się dookoła i nie mogąc wykszusić słowa, oglądał imponujące pobjowisko.

Potrząsnąłem chłopakami, załadowaliśmy graty do samochodu i odjechaliliśmy. Greger pogwizdywał zadowolony i wystukiwał kciukiem rytm na kierownicy, aż poprosiliśmy, żeby przestał.

– Chłopaki – uśmiechał się. – Cały wieczór siedziałem przy telefonie i wydzwaniałem. Musicie teraz zacząć ćwiczyć.

– Co?

– Żebyście mieli więcej kawałków.

– Kawałków? – powtórzyliśmy głupio.

Greger tylko się roześmiał.

– Załatwiłem wam pierwsze tournée. Kilka szkół, świetlica i amatorski festiwal w Luleå.

Zahamowaliśmy przed szkołą. Greger otworzył pustą salę od muzyki i wtaszczyliśmy głośniki. Wszyscy wciąż byliśmy oszołomieni i podnieceni wiadomością, więc kiedy Greger pojechał już do domu, my zostaliśmy i graliśmy. Brzmiało paskudnie, ale wypływało z serca, było surowe i nieokresane jak my. Niila grał swoje riffy domowej roboty, a ja śpiewałem improwizując i zacząłem czuć się jak gwiazda rocka. Gitara Holgeriego była rozstrojona z zimna, palce miał zgrabiałe, ale być może właśnie dlatego wydobywał bajeczne solówki, drażniące i mylące ryki, rozkołysane brzmienia. Na koniec zagraliśmy nasz stary ulubiony kawałek – *Rock'n'roll music* – pewnie z dziesięć razy. Daliśmy spokój dopiero wtedy, gdy Erkki połamał obydwie pałeczki.

Było tuż po trzeciej w nocy. Wyludnione zabudowania wokół pajalskiego kościoła spoczywały w zimowych ciemnościach. Chrzęszcząc po sypkim śniegu, szliśmy do domu w świetle cicho mruczących latarni. Chłód pchał się nam w płuca, uszy rozszerzały się od panującej wokół ciszy świtu. W rękawicach opuszki palców bolały od ostrych strun.

– Trzeba by gdzieś stąd prysnąć – stwierdził Niila, – nawiać po prostu.

– Sztokholm! – powiedział Erkki.

– Ameryka! – wykrzyknął Holgeri.

– Chiny – powiedziałem – kiedyś chciałbym zobaczyć Chiny.

Było tak cicho. Jakby wszyscy we wsi zamarzli. Wędrowaliśmy całą szerokością drogi, wszyscy czterej obok siebie. Nic nie jechało. Cała okolica, cały świat trwał nieruchomo. Tylko my żyliśmy, cztery łomoczące serca w samym środku zimowej tajgi, w najgłębszym rozwidleniu konarów.

Zatrzymaliśmy się na największym pajalskim skrzyżowaniu, tym między sklepem z farbami i kioskiem. Zawahaliśmy się, jakbyśmy przeczuwali, że dotarliśmy na miejsce. Ze stąd rozpocznie się coś innego. Obróciliśmy się i zerkaliśmy niepewnie we wszystkich kierunkach. Droga na zachód wiodła do Kiruny. Na południe – w stronę Sztokholmu. Na wschód droga prowadziła do Övertorneå i dalej do Finlandii. A czwarta odnoga wskazywała w dole lód na rzece Torneälven.

Po chwili doszliśmy do środka drogi i usiedliśmy na tyłkach. Jakby w cichym porozumieniu położyliśmy się na samym środku skrzyżowania, w poprzek jezdni. Wyciągnęliśmy się na plecach i wpatrywaliśmy w rozgwieżdżone niebo. Nie słyhać było żadnych samochodów, wszystko było tak spokojne. Leżeliśmy tuż obok siebie i oddychaliśmy w górę, w kosmos. Pod siedzeniami i łopatkami czuliśmy chłód lodu. W końcu, przepełnieni spokojem, zamknęliśmy oczy.

I tu opowieść się kończy. Dzieciństwo, lata chłopięce, pierwsze życie, które przeżyliśmy. Zostawiam ich tutaj. Czterech młokosów leżących na plecach na skrzyżowaniu dróg, z twarzami

zwróconymi ku gwiazdom. Stoję cicho tuż obok i przyglądam się im. Oddechy są głębsze,
mięśnie rozluźnione.

Już zasnęli.

EPILOG

Co roku, gdy moja tęsknota staje się zbyt silna, wybieram się do Pajali. Docieram pod wieczór, spaceruję po nowym, przypominającym cyrk pylonowym moście, który rozciąga się nad rzeką Torneälven. Tuż nad głębią zatrzymuję się i spoglądam na wioskę ze szpiczastą wieżą drewnianego kościoła. Gdy się obracam, widzę na horyzoncie linię lasu i górę Jupukka z błyszczącą igłą masztu telewizyjnego. Poda mną płynie rzeka w swej nieprzerwanej wędrówce ku morzu. Niski dźwięk splukuje z uszu hałas miasta. Moja nerwowość odpływa w zapadający zmierzch.

Pozwalam oczom błądzić po wiosce. Wracają wspomnienia, ludzie, którzy tak jak ja wyprowadzili się stąd, przebłyskujące w pamięci imiona. Paskajänkka ze swymi Kangas, Karvonen, Zeidlitz, Samuelsson. Teksas ze wszystkimi Wahlberg, Groth, Moona i Lehto. Wilhelmsson i Marttikala, Äijä i Tornberg ze Strandvägen. Vittulajänkka i Ydfjärd, Kreku, Palovaara, Muotka, Pekkari, Perttu i mnóstwo innych.

Opiaram ręce o zimną poręcz i zastanawiam się, co z was wszystkich wyrosło. Z ludzi, których kiedyś znałem, ludzi, którzy dzielili ze mną świat. Myśli zatrzymują się na chwilę przy moich kumplach z zespołu. Holgeri został technikiem, pracuje teraz dla sieci telefonów komórkowych w Luleå. Erkki został brygadzystą w jednej z fabryk koncernu LKAB w Svappavaara. A ja zostałem nauczycielem szwedzkiego w Sundbyberg, dzielnicy Sztokholmu, przepełniony tęsknotą i melancholią, których nigdy nie udało mi się przewyciężyć.

Po drodze do domu mijam cmentarz. Nie mam kwiatów, ale przystaję na chwilę przy grobie Niili. Jedyne z nas, który postawił na muzykę. Który naprawdę postawił.

Po raz ostatni spotkaliśmy się na pajalskim jarmarku, przyleciał z Londynu i drapał w roztargnieniu ranki na nadgarstku. Nocą pojechaliśmy na ryby nad Lappekoski. Jego źrenice były małe jak główki szpilek, szeptał jak maniak:

– Odwilż, Matti, staliśmy tam na moście i patrzyliśmy, jak lody puszczają, cholera, ale to była odwilż...

Tak, Niila, pamiętam jak ruszyły lody. Dwa bachory i własnoręcznie zrobiona gitara.

Rock'n'roll music.

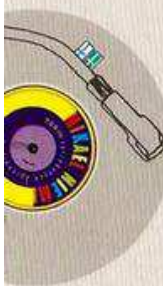
Smak chłopięcego pocałunku.

(...) Babcia zaludniła świat na tyle, na ile zdążyła i dała radę. Urodziła dwanaścioro dzieci, liczbę apostołów, i tak jak apostołowie, dzieci wypuściły się we wszystkich możliwych kierunkach. Niektóre mieszkały w Kirunie i Luleå, inne pod Sztokholmem, ktoś w Växjö, w Kristianstad, we Frankfurcie, w Missouri i w Nowej Zelandii. Tylko jeden pozostał w Pajali, był to ojciec Niili. I wszyscy oni przybyli na pogrzeb, nawet obaj jej zmarli synowie, czego świadkami były jasnowidzące kobiety w zgromadzeniu. Zastanawiały się, co to za chłopcy stoją pochyleni nad trumną już w czasie psalmu na wejście, zanim zorientowały się, że ich obrys był odrobinę jaśniejszy, a stopy unosiły się na szerokość palca nad ziemią.

Przybyły także wnuki i prawnuki, wyrosłe na całym świecie, osobliwie odświętnie ubrane istoty, mówiące wszystkimi możliwymi dialektami. Wnuki z Frankfurtu miały niemiecki akcent, a Amerykanie i Nowozelandczycy gadali po szwedzko-angielsku. Jedynymi, którzy jeszcze potrafili posługiwać się dialektem tornedalsko-fińskim, byli Niili i jego rodzeństwo, ale oni przeważnie milczeli. W pajalskim kościele zebrano się mrowie języków i kultur, namacalne podsumowanie tego, co mogła zapoczątkować jedna jedyna płodną tornedalska macica. (...)

„Książka jest literacką perłą, absolutne arcydzieło wibrujące życiem, humorem i przejmującym bólem” – napisano w wielkim szwedzkim dzienniku *Svenska Dagbladet*

Mikael Niemi (ur. 1959) jest szwedzkim pisarzem. Wydał dwa tomiki wierszy, potem odnosił sukcesy jako autor książek dla dzieci i młodzieży. W 2000 roku opublikował *Muzykę pop z Vittuli*, za którą otrzymał nagrodę August Priset – prestiżową szwedzką nagrodę literacką, odpowiednik polskiej NIKE.



Wydawnictwo Jacek Santorski & Co



patroni medialni:



książki

Gazeta Studencka

www.jsantorski.pl